TYGODNIK POWSZECHNY

SENS ZAMIAST SENSACJI

Rok z Trumpem: on się dopiero rozkręca

NATO w kryzysie: gdzie szukać sojuszy

Iran: piekielna siła teokracji

Biografia Poświatowskiej: miłość i upór życia

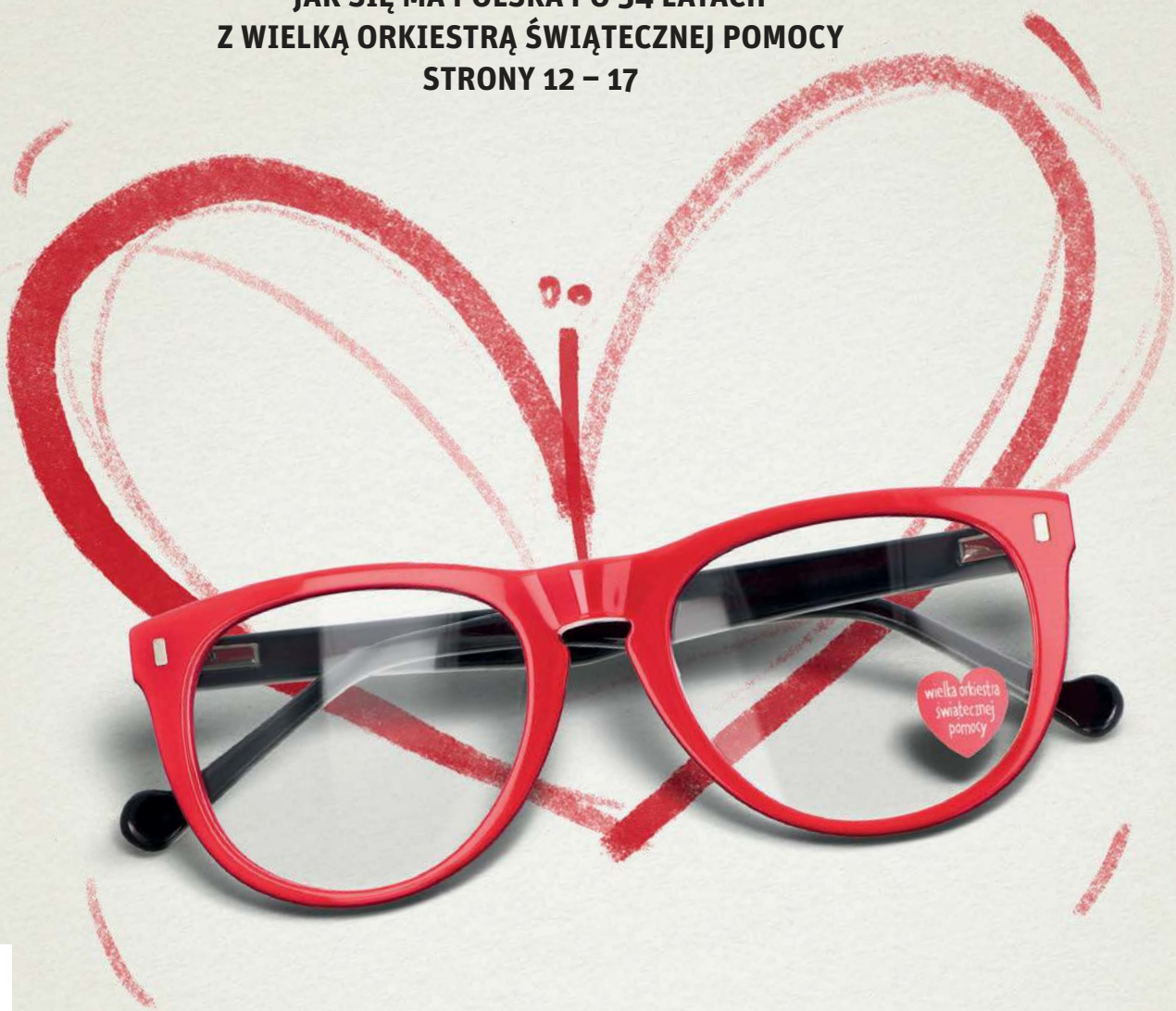
Justyna Dąbrowska: sztuka bycia babcią

Katolickie pismo społeczno-kulturalne | TygodnikPowszechny.pl
Kraków 21 – 27 stycznia 2026 | nr 04 (3994)
cena 16 zł (w tym 8% VAT)

Efekt Owsiaka

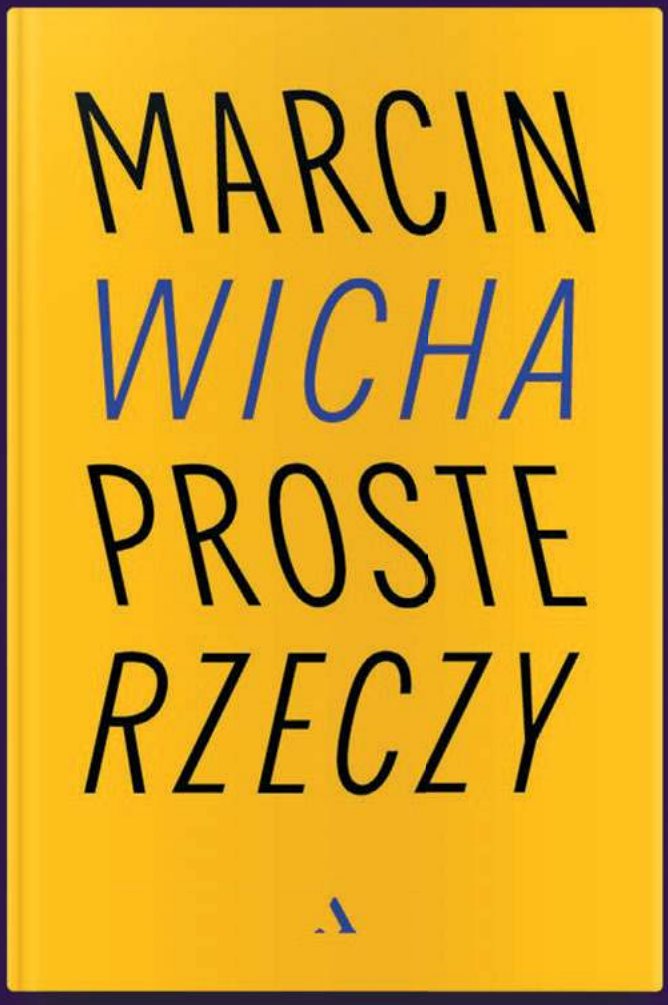
JAK SIĘ MA POLSKA PO 34 LATACH Z WIELKĄ ORKIESTRĄ ŚWIĄTECZNEJ POMOCY

STRONY 12 – 17



ISSN 0041-4808 NR INDEKSU 379425

O świecie,
który
kryje się
w rzeczach.
I o rzeczach,
które
kryją się
w nas.



Marcin Wicha obserwuje świat przez pryzmat rzeczy celnie punktując paradoksy otaczającej nas rzeczywistości. Z filozoficzną głębią i melancholijnym humorem chwyta zwykłą codzienność, z której wyłania się portret pokolenia żyjącego między radioodbiornikiem a chmurą danych.

REKLAMA

CZYTASZ W PAPIERZE? ZAJRZYJ NA KULTURALNY SKLEP.PL **WOLISZ EBOOKI/ AUDIOBOOKI?** ZAPRASZAMY NA publio.pl

www.wydawnictwoagora.pl

Wydawnictwo Agora

KS. ADAM

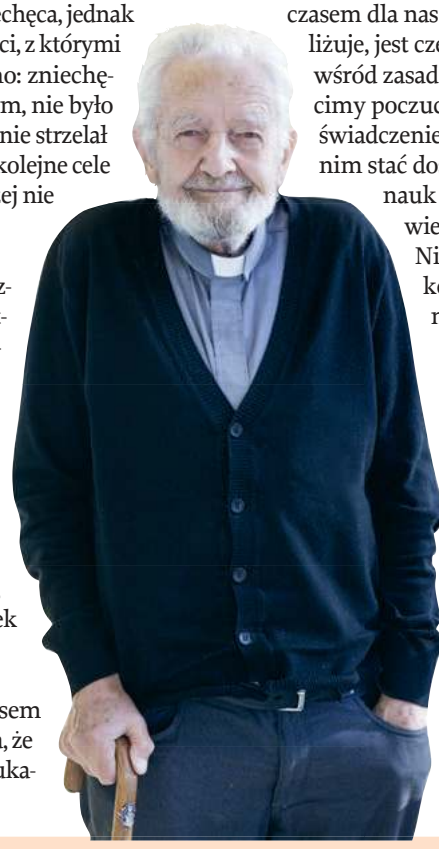
Boniecki: *Owsiak i my*

Jerzy Owsiak jest, istnieje, i to tak intensywnie, że na nic się zdały wysiłki tych, którzy chcieliby to istnienie zanegować. Kto jest ciekaw jego biografii, niech poszuka: nie streszczam jej, bo nie jest szczególnie osobliwa. Osobliwy jest sam przypadek trafienia przez człowieka w coś, w czym się okazał niezwykły. Nie był to ślepy zbieg okoliczności, ale wybór, i to bynajmniej nie oczywisty. Nie przypadek, ślepy los, tylko połączenie determinacji, psychicznej odporności i (rzecz jasna) indywidualnych talentów.

Owsiak nie jest też jedną z efemeryd, które się pojawiają i znikają. Próbował w życiu różnych zajęć, ale musiało w nim być pragnienie czegoś większego niż wszystko, co dotąd robił – i w końcu na to coś trafił. Wielu trafia, ale szybko się zniechęca, jednak nie on. Myślę, że znamy tylko część trudności, z którymi musiał się uporać. Jedno wiemy na pewno: zniechęcenie, które towarzyszy śmiałym pomysłom, nie było w stanie go powstrzymać. No i jeszcze coś: nie strzelał bez prochu. Przykład? Zanim proponował kolejne cele zbiórek, konsultował się z lekarzami. Inaczej nie byłby tak skuteczny.

O działalności Wielkiej Orkiestry Świątecznej Pomocy sporo napisano. Nie ma wątpliwości, że jest ona przedmiotem całorocznej pracy rzeszy ludzi. Pracy tej (i ludzi współpracujących z Owsiakiem) w miarę upływu lat i rozwoju akcji przybywa. Oby tak było nadal. Z pewnością nie jest to w Polsce jedyna praca dla chorych: działają na ich rzecz rodziny, przyjaciele, lekarze, pielęgniarki, także służby kościelne. Ale Orkiestra jest niezwykłym przykładem tego, ile osób może porwać za sobą jeden człowiek z sercem i głową.

Zastanawia wrogość wobec tej akcji. Czasem płynie ona z autentycznego niedowierzania, że ktoś może tak poświęcić się dla innych. Szukanie w tym działaniu nieczystych intencji stopniowo się jednak wypala. Skrupulatna dokumentacja paraliżuje ataki. Obawa zaś, że ta działalność mogłaby przesłonić poczynania opatrzone pieczęcią chrześcijaństwa, jest wyrazem niezrozumienia chrześcijaństwa. Chrystus wyraźnie mówi o miłosierdziu, które nawet bez pieczątki „chrześcijańskie" zawsze jest miłe Bogu, nawet jeśli czyniący miłosierdzie nie uważa się za chrześcijanina.



GRAŻYNA MAKARA

Można mieć poczucie, że dziś dominują inne stany psychiki niż miłosierdzie – np. egoizm, rozmaite roszczenia, skłonność do wygody i mała odporność na przeciwności losu oraz myślenie o sobie. Oczywiście tak nie jest, człowiek tak bardzo się nie zmienia. Poczucie troski o innych jest w nas i ujawnia się, czasem dla nas samych niespodziewanie. Tym, co nas paraliżuje, jest często świadomość własnej niemożności. Żyjąc wśród zasad i systemów nastawionych egoistycznie, tracimy poczucie sprawczości. Wystarczy jednak jakieś doświadczenie w tej materii, byśmy z tego wyszli. Może się nim stać doświadczenie twórcy WOŚP. Nie wygłaszając nauk moralnych o miłości bliźniego pokazuje, jak wiele może zdziałać jeden człowiek dla drugiego. Nie wiem, czy ta wielka liczba współpracowników Owsiaka nie wynika właśnie z tego. To jest nauka o tym, co znaczy „bliźni".

Powiedzmy to jasno: nie każdy może być Owsiakiem. Jednak równie jasno należy stwierdzić, że każdy jest (poniekąd) autorem swojego losu. Nie twierdzę, że każdy ma iść drogą Owsiaka, warto jednak, by każdy postawił sobie pytanie, w jaki sposób może być przydatny w tym miejscu, w którym żyje. Przydatny także innym, nie tylko sobie. ©℗

Ks. Adam Boniecki, dziennikarz i duszpasterz, jest redaktorem seniorem „Tygodnika Powszechnego"

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

TP

ZAPRASZAMY DO UDZIAŁU W KRÓTKIEJ ANKIECIE

POWIEDZ NAM, CO SĄDZISZ!

Odpowiedź zajmie Ci dosłownie minutę, a Twoje zdanie jest dla nas bardzo ważne.
Żeby wziąć udział w ankiecie, **zeskanuj** zamieszczony obok kod
lub wejdź na adres **powszech.net/ankieta**

Od czasu do czasu chcemy prosić Czytelników o opinię na wybrane tematy dotyczące drukowanego wydania.
Twoje odpowiedzi pomogą nam w pracy nad tym, żeby „Tygodnik" był jeszcze lepszy.

DZIĘKUJEMY, ŻE NAS CZYTASZ!

Staliśmy na granicy izraelsko-syryjskiej na wysokości Al-Kunajtira, na wschodnim krańcu Wzgórz Golan. Eyal – izraelski działacz humanitarny, organizator leczenia dla ofiar syryjskiej wojny – wskazał na pas sadów i upraw w pobliżu oraz rude pustkowie za nim. „Łatwo poznać, gdzie biegnie granica – podkreślał. – Tam, gdzie się kończy zielone. Od razu widać, czym się różnią dobrze i źle zarządzany kraj".

Nie wspomniał, że po syryjskiej stronie olbrzymie połacie pól i pastwisk są zaminowane. Tylko w ubiegłym roku, gdy Syryjczycy zaczęli wracać z uchodźstwa do swoich gospodarstw, liczba ofiar min przeciwpiechotnych wzrosła trzykrotnie: w 865 wypadkach zginęło 585 osób, a 1007 zostało rannych. Jak podkreśla UNMAS, służba ONZ ds. rozminowania, rolnictwo jest najniebezpieczniejszym dziś zajęciem w Syrii.

Nie wspomniał też, że izraelska armia wkroczyła do Syrii, przejmując kontrolę – a tym samym odpowiedzialność – nad tamą Al-Mantara, kluczową dla nawodnienia południowo-zachodnich obszarów kraju. W tym regionu Daraa, gdzie panuje niszczycielska susza. W najnowszym numerze „Tygodnika" dokumentuje ją **FOTOREPORTAŻ AMADEUSZA ŚWIERKA**.

Wspominam Eyala, szlachetnego przecież człowieka, gdy myślę o niuansach pomagania. O wyborach – komu? jak? – i o tym, jak w postawy wobec potrzebujących wkracza polityka. O tym, że hojność i wielkoduszność nie musi wykluczać protekcjonalności, a nawet ksenofobii. **PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI** w okładkowym artykule o **WOŚP** – być może najpiękniejszym dokonaniu Polaków ostatniego 30-lecia – pisze, że „top trzech tematów kruszących nasze serca to od lat prawa zwierząt, choroby i bieda", a odmawiamy datków na prawa mniejszości czy rozwój demokracji. Jak pokazuje Barometr Humanitarny 2025, rekordowo mało z nas chce dziś pomagać uchodźcom i migrantom. Ponad połowa uważa, że pomoc powinna trafiać przede wszystkim do Polaków.

Stany Zjednoczone, które w ubiegłym roku zamknęły USAID – największą agencję pomocową świata – parę dni temu wycofały się też z przeszło 60 organizacji, w tym ONZ-owskich ciał na rzecz demokracji, praw kobiet czy klimatu. Według Trumpa działają one wbrew interesom USA. Wielka Orkiestra Światowej Pomocy milknie. Zagłuszają ją fałsze i pienia koncertu mocarstw. ©℗

MICHAŁ KUŹMIŃSKI
REDAKTOR PROWADZĄCY



Dziennikarz i redaktor działu Kultura, twórca podkastu „TP", współautor powieści kryminalnych i wywiadu rzeki „Ścigając zło", autor popularnonaukowej książki „Nauka w kuchni".



40 Piekielna siła teokracji
MAREK KĘSKRAWIEC
Trudno znaleźć inny kraj, którego społeczeństwo tak długo i często buntowałoby się przeciwko autorytarnej władzy – nigdy nie odnosząc sukcesu. Dlaczego reżim ajatollahów jest aż tak żywotny?



64 Żeby żyć
KALINA BŁAŻEJOWSKA, BIOGRAFKA HALINY POŚWIATOWSKIEJ:
Przy pierwszym wydaniu „Upartego serca" byłam zła na łatkę poezji kobiecej przypinaną Poświatowskiej. Teraz wiem, że od kategorii płciowych nie da się uciec.



78 Babo, czyli babciu
JUSTYNA DĄBROWSKA, PSYCHOTERAPEUTKA:
W byciu babcią chodzi o to, by ktoś wierzył, że młoda matka sobie poradzi. By dawał podparcie, ale nie rywalizował. A dla dziecka dziadkowie to ktoś od mądrości i radości.

GRAŻYNA MAKARA // MORTEZA NIKOUBAZL / NURPHOTO / AFP / EAST NEWS // ALEKSANDRA GRACZYK // ARCHIWUM PRYWATNE

■ ■ OBRAZ TYGODNIA

6 Dzieci w sieci Big Techów
SYLWIA CZUBKOWSKA

7–11 Komentarze i informacje

■ ■ KRAJ

18 Oś północ–południe
ZBIGNIEW PARAFIANOWICZ: *Jakie sojusze powinna zawierać Polska w epoce Donalda Trumpa?*

23 Musimy bić na alarm
ROZMOWA Z DR. BERNARDEM WAŚKĄ, DYREKTOREM PAŃSTWOWEGO ZAKŁADU HIGIENY *o systemie finansowania ochrony zdrowia*

26 Metoda na pigułkę
DOROTA STAŃCZAK: *Mimo rosnącej świadomości odurzanie kobiet, często w celu wykorzystania seksualnego, wciąż pozostaje poważnym problemem*

■ ■ ŚWIAT

30 Trump dopiero rozwija skrzydła
ROZMOWA Z PETEREM D. FEAVEREM, POLITOLOGIEM I URZĘDNIKIEM ADMINISTRACJI GEORGE'A W. BUSHA: *Karmienie ego prezydenta USA tylko dodało mu apetytu*

34 Susza w Daraa
FOTOREPORTAŻ AMADEUSZA ŚWIERKA: *Rekordowe susze pustoszą region, który jest „spichlerzem" wolnej już Syrii*

36 Polityka z krwi i kości
MAREK RABIJ: *Gdzie radykalny wegetarianizm staje się sprawą polityczną – tyle że prawicową*

■ ■ ESEJ

40 Piekielna siła teokracji
MAREK KĘSKRAWIEC

44 Tygodnik Czytelników

TEMAT TYGODNIKA

12
Efekt Owsiaka
PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI

Karnawał pomagania. Zmieniająca się dobroczynność. Cywilizacyjny skok w medycynie. Polaryzacja i wyniszczające spory przyjaciół. W historii „pana w czerwonych okularach" i jego Orkiestry odbija się III RP.

PAWEŁ WODZYŃSKI / EAST NEWS



■ FELIETONY ■

11 BARTOSZ MINKIEWICZ
28 OLGA DRENDA **54** ZUZANNA RADZIK
76 PAWEŁ BRAVO **82** TOMASZ STAWISZYŃSKI

GRAFIKA NA OKŁADCE:
KUBA SOWIŃSKI DLA „TP"
/ FOT. NEW VISION OPTICA, PARTNER WOŚP

■ ■ WIARA

46 Chrzest z sensem
MARTA GLANC: *Czy dorastające pokolenie zmienia oblicze katolickiej od wieków Polski?*

49 Ewangelia a pokusy przemocy
ROZMOWA Z JERZYM SOJKĄ, TEOLOGIEM: *Rozplątanie splotu religii, polityki i siły kiepsko nam idzie*

52 Wolność za murem
MARTYNA LESZCZYŃSKA *o filmie „Niedziele"*

55 Czytania
O. WACŁAW OSZAJCA
KARD. GRZEGORZ RYŚ

■ ■ NAUKA

56 Bariera, której nie było
ROZMOWA Z JOSEPHINE QUINN, HISTORYCZKĄ: *Dzieje dawnych społeczeństw są historią kulturowego zapożyczania*

■ ■ HISTORIA

60 Pastor z Gniazda Wilków
ALEKSANDER R. MICHALAK *o węgierskim duchownym, który ratował dzieci żydowskie, potem także dzieci nazistów*

■ ■ KULTURA

64 Żeby żyć
ROZMOWA Z KALINĄ BŁAŻEJOWSKĄ, BIOGRAFKĄ HALINY POŚWIATOWSKIEJ

68 Nasze historie
JACEK WAKAR: *Miniony rok w teatrze*

71 Czeska Miedzianka
ZBIGNIEW ROKITA: *Powieść o Śląsku, którą przeczytało już pół miliona Czechów*

74 Inny sposób na Szekspira
ANITA PIOTROWSKA *o filmie „Hamnet" Chloé Zhao*

75 Ballada z Grochowa
LEKTOR *o książce Pawła Sołtysa „Monolok"*

■ ■ PSYCHE

78 Babo, czyli babciu
ROZMOWA Z JUSTYNĄ DĄBROWSKĄ, PSYCHOTERAPEUTKĄ

TYGODNIKPOWSZECHNY.PL

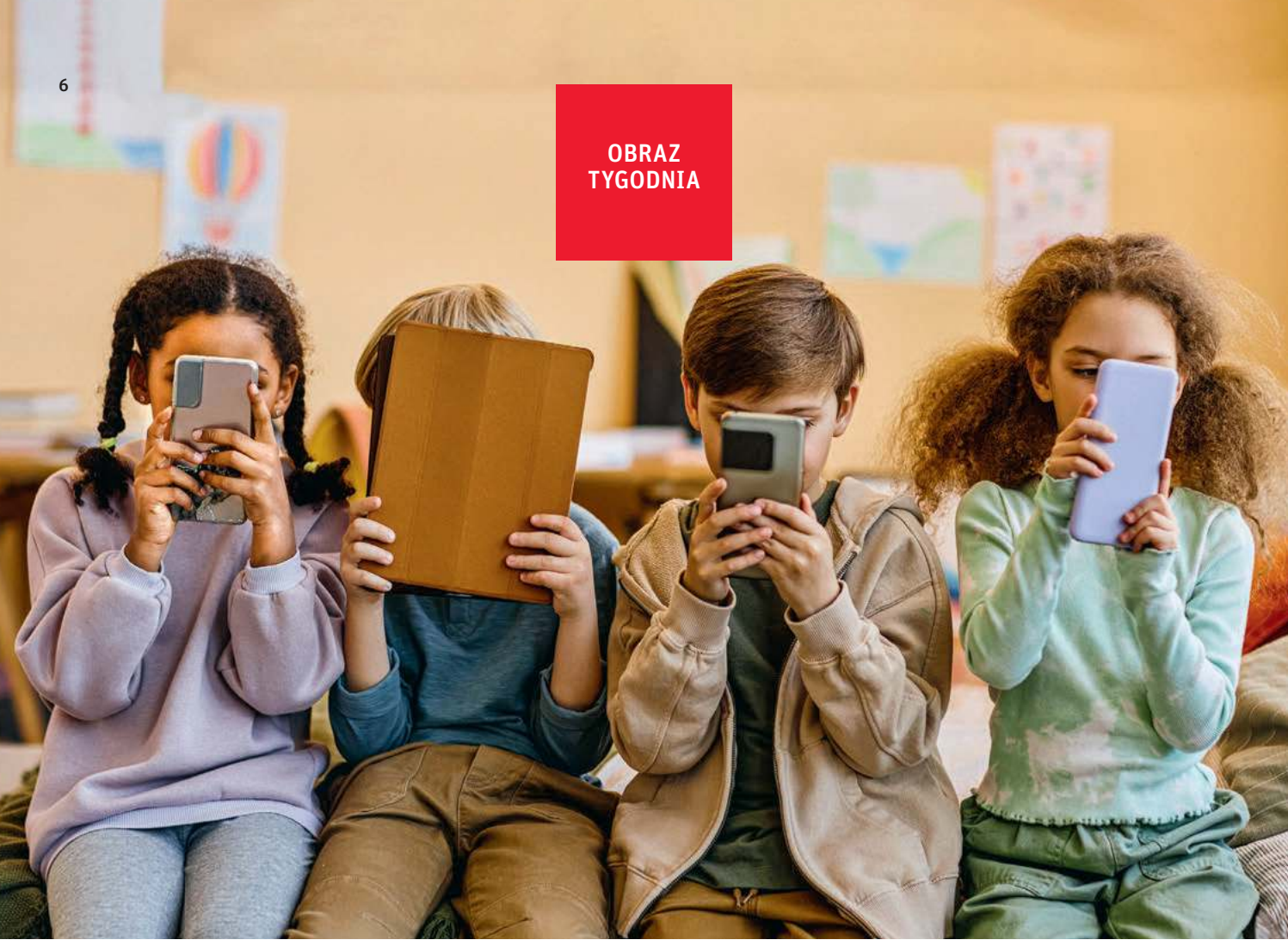
„TYGODNIK" JUŻ CZEKA NA CIEBIE...
TO JEST MOŻLIWE – SPRAWDŹ AKTUALNĄ OFERTĘ NA STRONIE 29

Zapisz się na newsletter
POWSZECH.NET/NEWSLETTER

Słuchaj podkastów
POWSZECH.NET/PODKAST

/TYGODNIKPOWSZECHNY ■ /TYGODNIK ■ /TYGODNIK ■ YouTube /TYGODNIKPOWSZECHNY ■ /TYGODNIKPOWSZECHNY

OBRAZ TYGODNIA



DZIECI W SIECI BIG TECHÓW

Na razie mamy dyskusję o czymś w rodzaju regulacji Schrödingera. „Zakaz platform cyfrowych do 15. roku życia" zapowiedział klub Koalicji Obywatelskiej jako projekt poselski. To, że szykować mają go wspólnie Barbara Nowacka i Roman Giertych, raczej budzi wątpliwości, niż uspokaja. Szczególnie gdy przypomnimy sobie najgłośniejsze reformy, jakie wyszły z ich gabinetów, czyli „zakaz prac domowych" Nowackiej i „nakaz mundurków" Giertycha. Obie nieudane i zniechęcające do odgórnie narzucanych pomysłów, które muszą realizować szkoły i rodzice.

A NAJNOWSZA REFORMA jest wielokrotnie ważniejsza niż poprzednie. Dotyczy bowiem pokoleń zaplątanych w świat już nawet nie mediów społecznościowych (bardziej zresztą: antyspołecznościowych), a wielkich cyfrowych platform, które przyszłych wiernych konsumentów wychowują sobie od ich najmłodszych lat.

W próbach regulowania dostępu do platform cyfrowych chodzi o dobrostan dzieci wychowanych w świecie algorytmów i targetowania behawioralnego. Przy okazji warto sprawdzić, czy nasze państwa są suwerenne wobec Big Techów.

SYLWIA CZUBKOWSKA

Choć zgodnie z polityczną logiką obiecano szybkie (do końca lutego) pokazanie szczegółów projektu, powinno się go dobrze przemyśleć. Jeżeli bowiem politycy zechcą pójść po linii najmniejszego oporu i ogłosić coś w rodzaju: „zobowiążemy szkoły do wsparcia rodziców w ograniczeniu dzieciom możliwości prowadzenia kont w serwisach", to... najlepiej niech od razu odpuszczą. Zamiast realnego rozwiązania skończy się na zrzuceniu odpowiedzialności na nieprzygotowanych nauczycieli i niechętnych rodziców. Dorosłych postawi w pozycji wrogów dzieci, odbierających im dostęp do TikaToka, Discorda czy YouTube'a (oczywiście politycy będą mogli nagrać ileś rolek o tym, jak są świadomi cyfrowych wyzwań, jak wstają z kolan przed Big Techami i jak dbają o dzieci).

Jeżeli jednak miałoby z tego wyjść coś konkretnego, to warto się przyjrzeć rozwiązaniom już wdrażanym i temu, jakie napotykają problemy.

NAJGŁOŚNIEJ JEST wokół Australii. 10 grudnia otworzyła ona nową erę: demokratycznego państwa, które uznało, że nieletni tak jak nie mają pełni wolności politycznej, ekonomicznej czy autonomii prawnej w sferze seksualnej, tak nie powinni jej mieć w kwestiach decyzji technologicznych.

4,7 mln – tyle kont australijskich nastolatków zostało zablokowanych lub zdezaktywowanych w ciągu miesiąca od wejścia w życie prawa, które w tym państwie wprowadziło 16. rok życia jako granicę dostępu do platform cyfrowych. Australijski regulator, czyli eSafety Commissioner, przedstawia te dane jako dowód, że prawo zaczęło działać, a odpowiedzialność faktycznie została przeniesiona na firmy technologiczne.

Nie otwierałabym jednak jeszcze szampana. Owszem, wiele wskazuje na to, że australijskie prawo – które nie zakazuje dostępu do platform cyfrowych, tylko odracza ten dostęp do 16. urodzin – faktycznie zaczęło działać. Ale sukcesem będzie jego utrzymanie, oparte na konsensusie, że przynosi korzyści i dzieciom, i całemu społeczeństwu. Na tyle duże, że to społeczeństwo uzna, iż koszty, jakie przy okazji trzeba ponieść, po prostu się opłacają. Co więcej, musi to przekonać także dzieci i nastolatki.

NA RAZIE WIDAĆ nie tyle społeczną rewolucję, ile technologiczną i instytucjonalną próbę sił między demokratycznym państwem a globalnymi platformami.

Symbolicznym przykładem stała się reakcja Mety. W pierwszych dniach obowiązywania przepisów firma dezaktywowała ok. 544 tys. kont na Instagramie, Facebooku i Threads. Dezaktywowała, choć mogła tylko zablokować, czyli odroczyć do nich dostęp. Oficjalnie wygląda to na ścisłe stosowanie prawa. Tyle że przy okazji wysłano do setek tysięcy dzieci – za chwilę przecież wyborców – sygnał, że to opresyjne państwo tak kazało.

A przecież rozwiązania z Australii są maksymalnie wychylone w stronę platform. Nie ma zakazu, więc ani dzieci, ani rodzice nie są zagrożeni jakimikolwiek karami, gdyby jednak nieletni skorzystał z platform. Podobnie jak u nas dziecko i rodzice nie ponoszą odpowiedzialności za zakup przez nieletniego papierosów czy alkoholu. Odpowiedzialny jest tylko sprzedawca/dostawca.

Zakres regulacji jest wąski – dotyczy kont na konkretnie wskazanych platformach, a nie całej ich oferty. W przypadku YouTube'a oznacza to, że nastolatki wciąż mogą oglądać publicznie dostępne filmy bez logowania (bez konta nie da się subskrybować, komentować, lajkować, tworzyć playlist, publikować). Czy to oznacza, że nie ma prób obejścia systemu? Ależ oczywiście, że są: alternatywne aplikacje i sposoby omijania weryfikacji wieku od razu zaczęły się pojawiać.

TO JEDNAK NIE JEST najważniejszy problem. Podobnie jak problemem na masową skalę nie stały się podrabiane dowody, by kupić sobie fajki. Kluczowe stało się budowanie atmosfery zgody lub niezgody na takie ograniczenia swobód. A tę – w sytuacji, gdy platformy dzierżą ogromną władzę poprzez wpływ na algorytmy pozycjonujące treści, które stanowią główne źródło informacji dla miliardów ludzi – będzie łatwo ustawić na odpowiednich dla korporacji torach.

I to używając narracji dopasowanych do różnych grup. Dla prawicy będzie to sprzeciw wobec weryfikacji tożsamości, bo ta przecież może ograniczyć wolność słowa. Dla liberałów – skok na wolność decydowania o wychowaniu dzieci przez rodziców. Dla lewicy – odcięcie od relacji ze społecznościami dzieci w spektrach czy z mniejszości. To już mocno rezonuje, także w Polsce. ©

Autorka jest współautorką podkastu Techstorie w Tok FM, ostatnio wydała książkę „Bóg techy".

SEVENTYFOUR / ADOBE STOCK



Gdy Zachód obieca

JACEK STAWISKI

Irański reżim zdołał, przynajmniej na jakiś czas, stłumić największy bunt przeciwko teokracji i dyktaturze od powstania Islamskiej Republiki w 1979 r. Reakcja była niezwykle brutalna – co najmniej kilka, może kilkanaście tysięcy ludzi zginęło. Tysiące uwięziono. Skala ofiar i represji być może nigdy nie będzie znana.

Jeszcze przed krwawą rozprawą reżimu z protestującymi prezydent USA Donald Trump wezwał Irańczyków, by wytrwali w proteście, ponieważ „nadchodzi pomoc". Z pewnością część protestujących miała nadzieję na wsparcie Ameryki. Ale pomoc nie nadeszła. Owszem, sytuacja jest dynamiczna (i może nawet ten komentarz jest częściowo nieaktualny, gdy Państwo go czytacie), ale wszystko wskazuje na to, że prezydent Trump zadowolił się odwołaniem jednej egzekucji młodego opozycjonisty. Naiwna wiara amerykańskiego prezydenta, że odwołanie jednej egzekucji oznacza koniec egzekucji uczestników buntu w ogóle, jest przygnębiająca.

Najważniejsze jest to, że mimo swych zapowiedzi prezydent Trump nie przyszedł z pomocą irańskim obywatelom wtedy, gdy protesty trwały i rozpoczynały się masakry. Interwencja USA, jeśli nadejdzie, może być już spóźniona i niewiele zmieni.

To nie pierwszy raz, gdy Ameryka zapowiada interwencję w obronie ludności, a potem nie realizuje tych obietnic.

Prezydent Barack Obama zapowiadał ukaranie syryjskiego reżimu Baszara al-Asada za użycie broni chemicznej przeciw ludności cywilnej, po czym się z tego wycofał, a reżim nadal takiej broni używał. Z kolei prezydent George Bush senior w 1991 r. poparł bunt irackich Kurdów i irackich szyitów przeciwko Saddamowi Husajnowi w chwili, gdy międzynarodowa koalicja z Ameryką na czele prowadziła wojnę z Irakiem o wyzwolenie Kuwejtu. Kurdowie i szyici nie doczekali się pomocy. Iracki dyktator nakazał krwawy odwet. Wreszcie, w 1956 r. z Zachodu szła zachęta dla Węgrów do wypowiedzenia posłuszeństwa Moskwie. Wielu uwierzyło, że pomoc nadejdzie, ale nie nadeszła. Zginęło kilka tysięcy ludzi.

Nie jest tak, że Zachód jest w stanie pomóc każdemu narodowi w walce o swoje prawa. Czasem się udaje – np. Albańczykom w Kosowie. Ale już np. próba pomocy Ujgurom w Chinach mogłaby wywołać wojnę światową. Zachodni przywódcy, jeśli już obiecują pomoc, powinni być pewni, że jej udzielą. Obietnice łatwo się składa. Jednak gdzieś na świecie tysiące, może miliony ludzi naprawdę w nie wierzą. ©℗

Więcej o Iranie na str. 40



Ziobro w azylu

MICHAŁ OKOŃSKI

Wśród szeregu nie do końca klarownych komunikatów, jakie Zbigniew Ziobro wygłosił w niedawnej rozmowie radiowej z Tomaszem Terlikowskim (nie potrafił odpowiedzieć m.in. na proste pytania, czy posiada dokument potwierdzający nadanie mu azylu na Węgrzech, a jeśli tak, to kiedy został wydany), jedno nie ulegało wątpliwości: były minister sprawiedliwości został wyleczony z ciężkiej choroby nowotworowej. „Z groźniejszym przeciwnikiem wygrałem" – mówił, nawiązując do zarzutów, jakie stawia mu prokuratura w związku z nieprawidłowościami w Funduszu Sprawiedliwości, i zaiste: trudno się nie cieszyć, że ze zdrowiem bliźniego już wszystko w porządku.

Bardziej złożone emocje wywołuje sama wiadomość o azylu. Jakimikolwiek wzniosłymi frazami wiceprezes PiS próbowałby uzasadnić swoją rejteradę przed oskarżeniem o sprzeniewierzenie dziesiątków milionów złotych i kierowanie zorganizowaną grupą przestępczą, oznacza ona koniec jego politycznej kariery.

Powściągliwe reakcje liderów prawicy na wieść o pozostaniu Ziobry na Węgrzech świadczą zresztą wyraźnie, że dla swojego środowiska jest obciążeniem.

O tym, że Fundusz Sprawiedliwości zamienił w partyjną skarbonkę, mówili i pisali w zasadzie wprost jeszcze w czasach, gdy byli u władzy: czy to Ryszard Terlecki w jednym z radiowych wywiadów, czy Mateusz Morawiecki w korespondencji wykradzionej ze skrzynki mailowej Michała Dworczyka.

Pal licho jednak kwestie wizerunkowych obciążeń – chodzi o zwyczajną konsekwencję. Zbigniew Ziobro był mocny w gębie, gdy oglądaliśmy go podczas posiedzeń sejmowej komisji śledczej ds. afery Rywina. Był też mocny w konfrontacji z członkami sejmowej komisji śledczej ds. afery Pegasusa. Swoich oponentów z lubością nazywał „miękiszonami" („miękiszon to jest ten, który się poddaje wtedy, kiedy można walczyć" – dopowiadał) albo „fujarami" („Liczę na was. Mam nadzieję, że nie okażecie się takimi fujarami, jak za czasów Trybunału Stanu" – wołał z sejmowej trybuny w reakcji na okrzyki „Będziesz siedział", nawiązując do nieudanej próby postawienia go przed TS). Skoro dziś porównuje się do „żołnierzy niezłomnych próbujących stawić czoło okupantowi", mógłby po prostu niezłomnie stanąć przed wymiarem sprawiedliwości, którego obecna kondycja (to też kwestia konsekwencji...) jest w ogromnej mierze efektem jego ośmioletniego nadzoru. ©℗



Mróz jak drony

WOJCIECH PIĘCIAK Z UKRAINY

Tamtego dnia, pod koniec grudnia, Andrij zemdlał. Był w okopie, gdy nagle, jak mówi, urwał mu się film. Miał dużo szczęścia: akurat na niebie nie było rosyjskich „ptaszków", dronów, koledzy mogli więc wezwać „ewak", pojazd ewakuacyjny. Ten dostarczył Andrija do „stabika" – wysuniętego punktu medycznego, gdzie ranni i chorzy są ogrzewani (większość jest w stanie hipotermii) i stabilizowani. Tak, aby następnie można było ich odesłać na tyły, do szpitala polowego.

W szpitalu u Andrija zdiagnozowano ciężkie zapalenie płuc. „Przechodzone", jak orzekł lekarz, gdy stwierdził stan zagrożenia życia. Jedno płuco przestało pracować, drugie było częściowo zajęte.

Już pod kroplówką, ogrzany i napojony (jeść przez pierwsze dni nie mógł), Andrij zadzwonił do „rotnego", dowódcy kompanii. Zrobił awanturę. Nakrzyczał, że nie tylko on jest chory, że mniej lub bardziej choruje każdy z chłopaków. Tych, za których on, 30-letni Andrij, odpowiada – jako dowódca dwóch pozycji obronnych na flance frontu charkowskiego.

Krzyczał też, że należy im się w końcu rotacja, zluzowanie – po tym, jak spędzili kilka tygodni na pozycji. W „blindażach", ziemiankach, kryjąc się stale przed okiem „ptaszków". Przy temperaturach coraz bardziej poniżej zera, z możliwością ogrzania się tylko tzw. świecami okopowymi. Tu, na „zerówce", to sposób złapania ciepła – obok „grzejek", ogrzewaczy chemicznych do stóp i rąk. Tu nie można palić ogniska (dym zdradziłby pozycję) ani uruchomić agregatu (byłby za głośny).

„Rotny" wysłuchał i powiedział, że Andrij ma rację. Ale że musi zrozumieć: ludzi na zmianę nie ma. O tym wiedzą wszyscy: w piechocie brakuje żołnierzy. Swoje racje mają jednak też frontowi lekarze: z ich relacji słyszymy, że zimno zbiera dziś równie duże żniwo jak kule i drony.

– Ranni umierają częściej od wychłodzenia podczas transportu niż od skutków obrażeń – mówi „Tygodnikowi" Ludwik, lekarz z punktu stabilizacyjnego na odcinku pokrowskim.

W sobotę 17 stycznia do „stabika", gdzie pracuje Ludwik, dotarła pomoc sfinansowana przez czytelników „Tygodnika" i Inicjatywę Sąsiedzką, i dostarczona przez nas na Ukrainę: urządzenie do ogrzewania ludzi w hipotermii IOB 505, koce grzewcze, agregat, lampa do szybkiego ogrzewania sali operacyjnej i starlink (dla zabezpieczenia komunikacji między „stabpunktem" a „ewakami").

Pomoc z tego transportu otrzymało łącznie 14 punktów medycznych wzdłuż linii frontu. Nasza akcja trwa nadal. ©℗

Ratowanie rannego w punkcie stabilizacyjnym doktora Ludwika na odcinku pokrowskim. Ukraina, 17 stycznia 2026 r.



ARCHIWUM WOJCIECHA PIĘCIAKA

NA PUNKTY

SKOMPLIKOWANE
W chwili zamknięcia numeru „TP" Rada Krajowa Polski 2050 wznawiała debatę nad kwestią, co teraz począć. Wcześniejsze obrady zakończyły się wyjściem zmęczonego Szymona Hołowni, a kontekstem zmęczenia było fiasko wyborów przewodniczącego (w trakcie głosowania online doszło do „problemów technicznych" i teraz nie wiadomo, czy nadal wybierać między Katarzyną Pełczyńską-Nałęcz i Pauliną Hennig-Kloską, czy poszerzyć listę kandydatów o zmieniającego zdanie także w tej sprawie Hołownię).

PROSTE
Jeśli powyższa nota brzmi niezrozumiale, to przynajmniej w PiS wszystko jasne: Onet pisze, że prezes Kaczyński po spotkaniach z socjologami szuka „względnie młodego" kandydata na premiera, co grzebie szanse Mateusza Morawieckiego.

DAWNE
O tym, że nie Morawiecki będzie jego rywalem, ktoś mógłby właściwie powiedzieć Donaldowi Tuskowi, który nawet chwaląc się zwodowaniem nowego promu, mówi o „słynnej rdzewiejącej stępce Morawieckiego". ©℗



Watykan wraca do gry

EDWARD AUGUSTYN

Stolica Apostolska negocjowała oddanie władzy przez Nicolása Maduro. Choć nie wiadomo, czy wiedziała o planach jego porwania przez komandosów Delta Force.

W ubiegłym tygodniu „Washington Post" ujawnił, że w wigilię Bożego Narodzenia amerykański ambasador przy Stolicy Apostolskiej został pilnie wezwany przez kard. Pietra Parolina (na zdjęciu). Watykański sekretarz stanu domagał się wyjaśnień, jaki jest prawdziwy cel amerykańskich nalotów na Wenezuelę – walka z handlarzami narkotyków czy obalenie dyktatora. Kard. Parolin miał zgodzić się z opinią, że Maduro musi odejść, nalegał jednak, by Amerykanie dali mu szansę i czas na dobrowolną rezygnację. Zadeklarował, że watykańskie służby dyplomatyczne spróbują przekonać prezydenta Wenezueli do ustąpienia i wyjazdu z kraju. Zapewniał, że Moskwa obiecała udzielić mu azylu politycznego.



Rzecznik prasowy Watykanu wyraził smutek, że doszło do ujawnienia „fragmentów poufnych rozmów, które nie odzwierciedlają dokładnie ich treści". A w obliczu oskarżeń, że Stolica Apostolska pomaga przestępcom w ucieczce, przekonywał, że jedynym celem spotkania było zapobieżenie rozlewowi krwi. Trudno zresztą podejrzewać ją o wspieranie komunizującego i antykościelnego dyktatora.

Nie wiadomo, kto odrzucił ofertę Watykanu – Amerykanie czy sam Maduro (dziesięć dni później porwany przez amerykańskich komandosów i postawiony przed sądem w Nowym Jorku). Ale informacja „Washington Post" pokazała, że dyplomacja Watykanu wraca do gry. Czego sygnałem była choćby niespodziewana wizyta w Watykanie Maríi Machado, przywódczyni wenezuelskiej opozycji, laureatki Pokojowej Nagrody Nobla, która rozmawiała z Leonem XIV na trzy dni przed swoim spotkaniem z prezydentem USA. Można się spodziewać, że o wsparcie amerykańskiego papieża będą zabiegać także przywódcy innych krajów, zwłaszcza Ameryki Łacińskiej, straszeni przez Donalda Trumpa amerykańską interwencją. ©℗

GRZEGORZ GAŁĄZKA / EAST NEWS



Nasze NATO ma koszmary

JUSTYNA GOTKOWSKA

W zeszły piątek Norwegia, Finlandia, Szwecja, Niemcy, Wielka Brytania, Dania i Francja wysłały na Grenlandię kilkudziesięciu wojskowych. Chodziło o demonstrację, że Dania z europejskim wsparciem zwiększa obecność wojskową w regionie w ramach odstraszania Rosji i Chin i jest w stanie bronić wyspy, której strategiczne znaczenie dla USA podkreśla prezydent Trump.

Kilka dni wcześniej o przyszłości wyspy z sekretarzem stanu Markiem Rubio i wiceprezydentem J.D. Vance'em rozmawiali ministrowie spraw zagranicznych Danii i Grenlandii. Zgodzono się wówczas na spotkania grupy roboczej dotyczące przyszłości wyspy, ale europejska misja nie spotkała się z dobrym przyjęciem w Białym Domu. W otoczeniu Trumpa na znaczeniu zyskują radykałowie, dążący do pełnej kontroli USA na zachodniej półkuli, czyli także na Grenlandii. Prezydent zapowiedział nałożenie cel na państwa biorące udział w misji wojskowej, dopóki USA nie zakupi Grenlandii.

Europa zaczyna zmieniać nastawienie wobec administracji Trumpa. Parlament Europejski przełożył głosowanie nad instrumentami wdrażającymi wynegocjowaną w ub. roku umowę handlową, gwarantującą USA zniesienie ceł w UE na towary przemysłowe oraz preferencyjne warunki eksportu wybranych amerykańskich produktów rolnych.

Toczy się także dyskusja o wykorzystaniu po raz pierwszy instrumentu ACI, dzięki któremu Unia może reagować na presję ekonomiczną ze strony państw trzecich poprzez podwyższenie ceł, ograniczenie dostępu do zamówień publicznych czy restrykcje wobec inwestycji lub usług. Byłaby to bezprecedensowa sytuacja w relacjach transatlantyckich. Zastosowanie mechanizmu ACI przez Unię i cła po stronie USA oznaczałyby *de facto* wojnę handlową.

Jednocześnie stawia to ogromne wyzwania przed NATO. Jego europejska część jest uzależniona od gwarancji bezpieczeństwa i zdolności największego sojusznika – a ten grozi innemu państwu członkowskiego. W naszym interesie jest, żeby NATO przetrwało tę burzę, nie wiadomo tylko, w jakim stanie Sojusz się po niej otrząśnie. ©

Skarby plebanii

OCHRONA ZABYTKÓW ■ Przez 80 lat nie było nawet pewne, czy ten obraz istniał. Okazało się, że późne dzieło Józefa Mehoffera, alegoryczny tryptyk „Powstanie Warszawskie" (na zdjęciu), spokojnie wisiał sobie na plebanii kościoła pw. św. Macieja w Andrychowie. W jadalni.

Takich historii było więcej: w listopadzie ub.r. historycy sztuki z UJ odkryli nieznane dzieło Wita Stwosza – 54-centymetrowy krucyfiks sprzed 1496 r., który, nie zwracając niczyjej uwagi, wisiał w zakrystii kościoła cystersów w Mogile. Ale najsłynniejsza to ta z 1964 r.: badaczki z PAN zobaczyły w pokoju proboszcza w Kosowie Lackim przedstawienie ekstazy św. Franciszka – pędzla El Greca. Ksiądz zresztą miał je ocalić spośród gratów do spalenia.



JAKUB WŁODEK / AGENCJA WYBORCZA.PL

– W naszych zbiorach mamy np. przepiękną gotycką figurę Madonny z XV w., odnalezioną w kawałkach na strychu jednej plebanii – mówi ks. dr Paweł Batory, dyrektor Muzeum Diecezjalnego w Rzeszowie.

Kościół posiada niezliczone dzieła sztuki i zabytki. Czy zawsze umie zadbać o ich stan i ekspozycję? W Polsce zabytkowe świątynie często zamknięte są na głucho, a wielkie dzieła chowa się za klauzurą. Choć są wyjątki. – Np. w Bieczu po kościele oprowadza miejscowe muzeum – opowiada ks. Batory. – Ale udało się to wypracować po latach i nie bez oporu proboszczów.

Jak dodaje, wciąż wielu księży odbiera nadzór konserwatorski jako opresję i próbuje go omijać. Poza dużymi ośrodkami turystycznymi problemem są też fundusze. Nawet dla muzeów diecezjalnych. – W świetle polskiego prawa nie są muzeami, lecz prywatnymi kolekcjami, co zamyka drogę do dotacji – wyjaśnia ks. Batory.

Historia sztuki w seminariach to tylko jeden semestr po 45 minut tygodniowo, w niektórych diecezjach mniej. W efekcie księżom może brakować nie tylko kompetencji, ale wręcz świadomości tego, czym się opiekują. Więc może cenniejsze obiekty powinny trafiać do muzeów?

– Idealnie, jeśli sztuka sakralna może być eksponowana *in situ* – mówi ks. Batory. – Gdy to niemożliwe, szuka się rozwiązania najlepszego, również dla dzieła.

Andrychowski tryptyk trafił do Domu Józefa Mehoffera, oddziału Muzeum Narodowego w Krakowie, gdzie można go już zobaczyć.

©℗ MICHAŁ KUŹMIŃSKI



MATERIAŁY PRASOWE

KATARZYNA KATANA, RADCZYNI PRAWNA FUNDACJI DAJEMY DZIECIOM SIŁĘ:

Sprawa Kamilka z Częstochowy wywołała zmianę społeczną bez precedensu

PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI: „Historyczny moment" – mówi rzeczniczka praw dziecka Monika Horna-Cieślak o decyzji sądu, który nakazał prokuraturze w Gdańsku ponownie przyjrzeć się działaniu instytucji ws. zabitego przez ojczyma Kamilka z Częstochowy. Rok temu prokuratura umorzyła sprawę.

KATARZYNA KATANA: Sąd podtrzymał wykładnię prokuratury, jeśli idzie o nauczycieli i lekarzy, nakazując ponowne rozpatrzenie sprawy w odniesieniu do prokuratorów, policjantów, kuratorów oraz pomocy społecznej. To absolutnie nie oznacza aktu oskarżenia, ani tym bardziej stwierdzenia winy. Pozytywne jest jednak to, że sąd w tej niezwykle ważnej sprawie wnikliwie się jej ponownie przyjrzał. Dzięki temu prokurator – być może już w innej jednostce, o co apeluje RPD – weźmie znowu pod lupę pracę służb.

Dziecko zmarło na skutek znęcania – m.in. oblewania wrzątkiem i rzucenia na piec. W czasie, gdy działa się tragedia, rodzina była pod opieką pomocy społecznej i kuratora.

Ta sprawa wywołała coś więcej niż oburzenie i żal – mówimy o ogólnopolskiej zmianie społecznej bez precedensu. Tzw. zwykły Kowalski – czy to mieszkający w sąsiedztwie dziecka, które może być krzywdzone, czy pracujący w przedszkolu – nie powie już: „Nie wiem, nie muszę, nie moja sprawa". Coraz częściej reagujemy na krzywdzenie dzieci, widzimy to też w naszej Fundacji. Liczba telefonów od rodziców i pracowników instytucji w sprawie bezpieczeństwa dzieci jest ogromna. Ludzie potrafią czekać na linii po dwie godziny, by skonsultować z nami – anonimowo i bezpłatnie – jakiś prawny aspekt bezpieczeństwa dziecka, które np. przyszło do szkoły z niepokojącymi śladami.

Efektem tej tragedii jest też tzw. lex Kamilek. Jego pierwsza część to powołanie zespołu analizującego przypadki drastycznego krzywdzenia dzieci.

Chodzi tu o analizę „z lotu ptaka" każdego przypadku śmierci dziecka lub wystąpienia u niego ciężkiego uszczerbku na zdrowiu, z ręki rodziców lub opiekunów. Taka analiza ma miejsce niezależnie od sprawy karnej i jej celem jest to, by zobaczyć, co w systemie nie działa. Np. w historii z Częstochowy zespół nie rozstrzygał o niczyjej winie, ale apelował np. o ustawowe usprawnienie przepływu informacji pomiędzy służbami.

Lex Kamilek to też słynne standardy ochrony małoletnich, które spotkały się z zarzutem, że zalały instytucje biurokracją.

Mam nadzieję, że z czasem uciążliwości, np. w zakresie zaświadczeń o niekaralności, zostaną zlikwidowane. Że zniesione zostaną opłaty za te zaświadczenia i będzie można je zdobyć cyfrowo w aplikacji mObywatel. Całościowo oceniam omawianą zmianę prawa za jednoznacznie pozytywną. Przez korytarze instytucji przetoczyła się bezcenna dyskusja o tym, jak te standardy wprowadzić w życie, a także namysł nad tym, które zachowania dorosłych mogą stanowić nadużycie oraz na jakie niepokojące objawy reagować. To wielki krok do przodu, bo dzięki temu naprawdę lepiej chronimy dzieci. ©℗

KATARZYNA KATANA *jest radczynią prawną, współpracuje z FDDS.*

Festiwal Conrada z nową dyrektorką programową



ALICJA RZEPA / KBF

Paulina Frankiewicz, nowa dyrektorka programowa Festiwalu Conrada

KRAKÓW ■ Stery 18. edycji Festiwalu Conrada przejmuje filozofka, aktywistka literacka i redaktorka, prezeska Polskiego Stowarzyszenia Alberta Camusa, Paulina Frankiewicz. Przez wiele lat związana z Łodzią, pełniła m.in. funkcję wicedyrektorki tamtejszego Domu Literatury. Frankiewicz była także właścicielką kameralnej księgarni Do Dzieła, promotorką wydawnictw filozoficznych Uniwersytetu Łódzkiego, sekretarzynią jednego z czasopism naukowych. Po przeprowadzce do Krakowa pracowała w Wydawnictwie Karakter. Prowadzi warsztaty i kluby książki, regularnie spotykając się z czytelniczkami i czytelnikami w różnych miejscach kraju.

Nowa dyrektorka podczas pracy nad programem nie chce koncentrować się jedynie na nowościach wydawniczych, lecz raczej tworzyć inspirujące konteksty lekturowe, pozwalające wybrzmieć głównej idei najbliższej edycji festiwalu (poznamy ją wiosną). W rozmowie z „Tygodnikiem" podkreśla, jak ważne jest dla niej odrzucenie podziałów na literaturę „ambitną" i „popularną", bo dobra opowieść, bez względu na swoją przynależność gatunkową, potrafi nas zaangażować: egzystencjalnie, moralnie i intelektualnie, zostawiając jednocześnie przestrzeń na interpretację i odniesienie do własnych doświadczeń.

– Dzięki literaturze możemy pełniej rozumieć rzeczywistość, Innego i siebie samych, zakorzeniać się w świecie, stawiać fundamentalne pytania, a wreszcie, głęboko w to wierzę, lepiej żyć – mówi.

Sam Festiwal jest dla niej szczególnym momentem zawieszenia codzienności: – To święto literatury; czas, w którym można uważniej pobyć z tekstem, otworzyć się na nowe lektury. Ważny jest nie tylko kontakt z twórczością, którą już się ceni, ale także element zaskoczenia i odkrywania nowych opowieści. Festiwal jest przestrzenią wspólnego doświadczania literatury, zaczynem późniejszych poszukiwań na własną rękę – opowiada.

Frankiewicz obiecuje, że istotnym elementem krakowskiego Festiwalu pozostaną kwestie systemowe i społeczne, związane z rynkiem książki i jego regulacjami: sytuacją autorek i autorów, oficyn wydawniczych i księgarń: – Te zagadnienia stanowią integralną część refleksji festiwalowej. Mają służyć zarówno środowisku branżowemu, jak i szerokiej publiczności. Dbając o transparentność procesów związanych z powstawaniem i obiegiem literatury, chcemy się przyczyniać do budowania społecznej świadomości osób czytających.

Funkcję dyrektora programowego Conrada w latach 2009-2023 pełnił Grzegorz Jankowicz, dziś szef Instytutu Książki. Gospodynią dwóch ostatnich edycji była pisarka i antropolożka Olga Drenda, która – z przyczyn osobistych – zmuszona jest zrezygnować ze swojego zaangażowania. Festiwal organizują wspólnie Miasto Kraków, Krakowskie Biuro Festiwalowe – operator programu Kraków Miasto Literatury UNESCO, oraz Fundacja Tygodnika Powszechnego. ©℗ **MONIKA OCHĘDOWSKA**

BARTOSZ MINKIEWICZ



Bartosz Minkiewicz jest rysownikiem i scenarzystą komiksowym, współautorem serii Wilq Superbohater.

TEMAT TYGODNIKA

EFEKT OWSIAKA

Karnawał pomagania. Zmieniająca się dobroczynność. Cywilizacyjny skok w medycynie. Polaryzacja i wyniszczające spory przyjaciół. W historii „pana w czerwonych okularach" i jego Orkiestry odbija się III RP.

PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI



PAWEŁ WODZYŃSKI / EAST NEWS

Wyrwa, próżnia. Odwołana wiosna, dom bez umeblowania – mówi o wyobrażonych dziejach III RP bez WOŚP Jakub Wygnański, jeden z liderów polskiego ruchu pozarządowego.

Rozmowę z samym szefem WOŚP zaczynam właśnie od tego: co by było, gdyby nie było Orkiestry? Gdzie byłby Jerzy Owsiak? Siedziałby w pracowni witrażowej, w której spędził lata? Waliłby w perkusję, którą też kocha? Mówił do ludzi przez radio z prędkością, jak porównał współautor ich książki Bartłomiej Dobroczyński, większą niż prowadzący licytację bydła w Teksasie? A może – to jego nieznane oblicze z lat 80., gdy przeszedł kurs na terapeutę – zamiast psuć sobie nerwy w polskim życiu publicznym, koiłby emocje klientów w gabinecie?

Widzimy się w drugim tygodniu stycznia w siedzibie WOŚP, na dwa tygodnie przed 34. Finałem Orkiestry. Za oknami biało i mroźno, Owsiak przyjmuje mnie w studio przystosowanym do radiowych i telewizyjnych wywiadów. Mamy rozmawiać o historii, więc pokazuję mu pierwszą i ósmą stronę „Tygodnika" z 16 listopada 1997 r. Na pierwszej jest głośny tekst ks. Stanisława Musiała o grzechu antysemityzmu „Czarne jest czarne", a w rubryce „Obraz Tygodnia" można m.in. przeczytać, że desygnowany na premiera Jerzy Buzek wygłosił exposé. U dołu zaczyna się artykuł „Witraż ze św. Jerzym" – zapis monologu Owsiaka. „Kiedy mam wszystkiego dość, myślę o powrocie do dwóch rzeczy: do perkusji i witrażu" – mówi świeży laureat prestiżowej nagrody „TP" – Medalu Świętego Jerzego.

– To zdjęcie z Jarocina – uśmiecha się do 40-letniego okularnika w chuście i t-shircie ze str. 8 tamtego wydania „TP" szef WOŚP. – A jeśli chodzi o moje alternatywne scenariusze, wszystkie by były możliwe. Może jednak perkusja byłaby moim światem, bo mocno się wokół niej zakręciłem. Jeszcze w poprzednich siedzibach WOŚP jedna leżała w piwnicy, w przerwach schodziłem i grzałem. W PRL-u próbowałem parę razy zdawać na ASP, bezskutecznie. Nigdy bym nie uwierzył, gdyby ktoś mi powiedział, że w 2025 r. jako szef WOŚP będę przemawiał na inauguracji roku ASP w Warszawie.

Wy też możecie dawać

Niedziela, 7 stycznia 1996 r., Mielec (półtora miesiąca wcześniej wybory wygrał Aleksander Kwaśniewski, a Polska żyła aferą wokół jego wykształcenia). Na zdjęciu widać stojącą po kostki w śniegu nastolatkę w ciepłej kurtce i grubej wełnianej czapce. W ręku wielka puszka, w tle ludzie wchodzący do ceglanego kościoła.

– Wtedy największe tłumy były pod świątyniami, więc szło się właśnie tam. W Mielcu w niedzielę nigdzie indziej nic się nie działo – opowiada Joanna Wardęga, wtedy licealistka i wolontariuszka WOŚP, dziś politolożka i mama licealisty, obecnego wolontariusza. – Pełna partyzantka: serduszek było za mało, niektóre się nie odklejały, puszki były np. z pojemników po farbie. Pieniądze w sztabie przeliczały panie z PKO.

Atmosfera? Joanna uwieczniła ją w pamiętniku prowadzonym w czasach liceum. „Najcudowniejszy dzień w moim życiu" – pisała. I dalej: „Wspaniałe, że Mielec zebrał prawie 150 milionów starych złotych, i to wszystko dla dzieciaków. Chciałabym zawsze być nastawiona do życia i ludzi jak dziś".

– Pamiętam, że w poniedziałek po przebudzeniu włączałam radiową Trójkę, by usłyszeć, ile pieniędzy zebrano – opowiada dziś. – I że nauczyciele zwalniali nas tego dnia z odpytywania.



Jerzy Owsiak podczas 31. Finału Wielkiej Orkiestry Świątecznej Pomocy w Warszawie, 29 stycznia 2023 r.

Joanna wspomina jeszcze coś: Orkiestra ze swoim karnawałem pomagania weszła w społeczną próżnię miasteczek połowy lat 90., gdy niewiele się działo, a mieszkańcy odczuwali upadek przedsiębiorstw organizujących ich życie przez lata, takich jak mielecki WSK-PZL. – To może nie była pustynia, bo sama należałam do harcerstwa, były też inne organizacje. Ale szukaliśmy czegoś spektakularnego, co można by robić dla innych ludzi. I w tę lukę weszła Orkiestra.

Co dała Polakom w latach 90.? Możliwość zagrania innej niż przez poprzednie półwiecze roli. „Nikt wcześniej nam na taką skalę nie powiedział: hej, stoicie już na nogach, wy też możecie dawać, bo dawanie jest poza wszystkim fajne, dowartościowujące, budujące. Owsiak pozwolił nam zobaczyć siebie na nowo. Zobaczyć w lustrze kogoś innego niż ubogiego kuzyna otwierającego paczkę z Ameryki" – mówiła mi dwa lata temu, też przy okazji Finału, Róża Rzeplińska, ekspertka ds. III sektora.

Jak zmieniała się ta pomagająca Polska przez lata? To historia bogacącego się społeczeństwa, które może już czasami spuścić wzrok z własnych lodówek i ogródków, a rozejrzeć się w poszukiwaniu kogoś potrzebującego. To również dzieje III sektora: od rozczulającej dziś prowizorki z wymiętymi banknotami na stołach WOŚP po obrazki, które widzę w Fundacji, czekając na spotkanie z Owsiakiem: tętniącej życiem, ale jednak ujętej w organizacyjne karby korporacji NGO z kilkudziesięcioma pracownikami i starannie rozpisanymi rolami.

W 2024 r. Polacy przekazali z tytułu 1,5 proc. podatku rekordowe 1,9 miliarda złotych. Coraz więcej dajemy też w darowiznach – z badań Stowarzyszenia Klon / Jawor wynika, że w roku 2024 udział datków w budżetach organizacji NGO wyniósł 15 proc., podczas gdy poprzednie pomiary pokazywały wartości jednocyfrowe. III RP to też krzywa wznosząca zaangażowania w pomoc. O ile w 2006 r. (pierwszy z cyklicznych pomiarów CBOS-u) wskaźnik wpłacających choć raz w roku na dobroczynność nie przekraczał 50 proc., w 2024 r. było to 72 proc. Podobnie jest z przekazywaniem rzeczy, np. ubrań (wzrost z ponad 40 do niecałych 60 proc.) i wolontariatem (z 5 do 10 proc.). Za ten ostatni wskaźnik musi zresztą w dużej mierze odpowiadać Orkiestra, angażująca przecież rokrocznie 120 tys. osób. ↦

↦ Tak, polskie pomaganie można – i to akurat się nie zmienia – uznać za akcyjne. Czy też, jak mówi Jakub Wygnański, insurekcyjne: nawet wolontariat, jak pokazują dane Klon / Jawor, jest dla większości osób w skali roku jednorazowym wyskokiem. – Ale Jurkowi udało się zaprząc tę insurekcyjność w ramy kalendarza: zryw, ale co roku o tej samej porze – zastrzega Wygnański. – Nawet jeśli insurekcja, to regularna, radosna i zwycięska.

Kolejna cecha naszej dobroczynności: w Polsce trudno o rozpoznawalną organizację bez rozpoznawalnego lidera – tę zasadę zdają się potwierdzać wyraziste postacie III sektora w III RP, jak Marek Kotański, Janina Ochojska czy wciąż aktywni Anna Dymna, Małgorzata Chmielewska i sam Owsiak. – Fenomen Jurka, nie licząc energii Stinga, którą nie wiadomo skąd bierze, polega też na jego subtelnej grze między luzem i pajacowaniem a powagą związaną z celami zbiórek – ocenia Wygnański. – Owsiak przylgnął do Orkiestry jak Święty Mikołaj do Bożego Narodzenia. A że w Polsce nie mamy zaufania do instytucji jako takich, zapowiadane przez niego powolne oddawanie obowiązków [szef WOŚP stwierdził, że „zrobił swoje" i będzie coraz mniej aktywny – red.] będzie dla Orkiestry wyzwaniem.

Sam Owsiak reaguje sprzeciwem na obie tezy: i tę o „zrywowym" pomaganiu, i tę głoszącą prymat lidera nad organizacją. – Nasze pomaganie ma się świetnie, a jeśli nie wychodzi, to z innych powodów – uważa szef Orkiestry. – Grzech numer jeden to brak konsekwencji w działaniu. Numer dwa: brak precyzyjnej informacji, co się dzieje ze zorganizowaną pomocą. Rzecz kolejna: wiele organizacji nie potrafi opowiadać o sobie ludzkim językiem. Sami uczymy lekarzy, by mówili: respirator to pudło z rurą, które daje człowiekowi oddech i życie. Ostatnio czekałem na wejście antenowe w jednej z telewizji, przede mną o ochronie zdrowia mówili politycy. To był taki bełkot, że nie dało się słuchać. Podobnie bywa z organizacjami.

Niektóre, co pokazują badania, mają jednak pod górkę: choć Polacy uchodzą za owładnięty polityką naród, konsekwentnie odmawiamy datków na cele z tą polityką kojarzone – prawa mniejszości czy demokrację. Top trzech tematów kruszących nasze serca to od lat prawa zwierząt, choroby i bieda, co tłumaczy też częściowo sukces takich marek jak WOŚP czy Szlachetna Paczka.



Orkiestra grała m.in. dla noworodków, dziecięcej kardiologii, okulistyki. Uruchomiła niedostępny w wielu krajach Zachodu ogólnokrajowy program badań przesiewowych słuchu noworodków.



KUBA SOWIŃSKI DLA „TP"

– Jestem jednym z założycieli Funduszu Obywatelskiego im. Henryka Wujca, który buduje społeczeństwo obywatelskie – opowiada Wygnański. – W kapitule były i są prawnicze sławy, jak prof. Zoll, prof. Łętowska czy prof. Strzembosz, a przez pięć lat zebraliśmy 5 mln zł. W kraju, w którym wydajemy 80 mld rocznie na gorzałę i inne alkohole! Zróżnicowanej filantropii musimy się nadal uczyć, podobnie jak zaufania.

Za nasze zdrowie

Grudzień 1991, telewizyjna Dwójka (pierwsza komercyjna, ogólnopolska stacja TV, czyli Polsat, powstanie za rok; Polska żyje upadkiem rządu Jana Krzysztofa Bieleckiego i powołaniem gabinetu Jana Olszewskiego). Trwa pierwsza emisja programu o absurdalnie długiej nazwie – „Róbta co chceta, czyli rockandrollowa jazda bez trzymanki" – i równie dziwnym przebiegu. 40-latek w okularach i żółtej koszuli siedzi w towarzystwie „sekretarki" (Agata Młynarska). Są w malutkim pomieszczeniu, do którego wpadają goście. Programowy chaos i abstrakcyjny dowcip, w przerwach muzyka, m.in. z Jarocina.

Owsiak wcześniej związany był z radiem, gdzie uzbierał stare 4 mln zł na chore dzieci, o których usłyszał w rozmowie Alicji Resich-Modlińskiej z lekarzami Centrum Zdrowia Dziecka. Teraz, będąc już w TVP, chce zebrać więcej, i mu się to udaje: na konta Centrum trafia 40 mln starych złotych. „Mamy czterdzieści baniek, jedno dziecko już żyje!" – tak Owsiak wspomni swoją reakcję na efekt zbiórki w wywiadzie-rzece ze wspomnianym Bartłomiejem Dobroczyńskim, opowiadając też, że namówił lekarzy na podanie orientacyjnego kosztu jednej operacji ratującej życie.

Od tych „czterdziestu baniek" można zacząć historię związków Owsiaka i WOŚP z polską służbą zdrowia. Historię znaczoną z początku brakiem infrastruktury, odrapanymi ścianami szpitali i przychodni, bałaganem i łapownictwem. „Cały czas jest we mnie taka chęć, żeby w którymś Finale powiedzieć: Lekarze, przestańcie brać łapówki, dobrze? Po prostu proszę, bo przychodzą do was



JAN BOGACZ / PAP

Pierwszy finał Wielkiej Orkiestry Świątecznej Pomocy prowadzą Jerzy Owsiak, Agata Młynarska i Walter Chełstowski (pierwszy po lewej). Warszawa, studio Telewizji Polskiej, 3 stycznia 1993 r.

często biedni ludzie" – pogrozi Owsiak w książce.

– Akurat pod tym względem, lekarskiej empatii, zmieniło się najmniej – mówi mi ponad ćwierć wieku później. – Nadal zdarzają się łapówy i znieczulica. Nadal nie uczymy lekarzy i studentów etosu zawodu. Do tego dochodzą szalone nierówności w zarobkach. Najbardziej zmieniły się wnętrza szpitali, w których można kręcić niemieckie telenowele o wspaniałej opiece zdrowotnej. I sprzęt, którego mogą nam zazdrościć bogate kraje.

Jakiej skali to postęp, tłumaczą mi dwaj lekarze związani z Orkiestrą: onkolog i hematolog dziecięcy prof. Wojciech Młynarski, a także ortopeda prof. Jarosław Czubak. – To są rewolucje. Właśnie tak, w liczbie mnogiej, bo mówimy o skokowym postępie co roku. Gdy mówię Amerykanom, że jesteśmy w stanie zebrać sto milionów dolarów na onkologię jednego dnia, ciężko im uwierzyć – słyszę od Młynarskiego.

Te „rewolucje" to życia, których przed 2015 r. nie udałoby się uratować. – Przed tą datą wszystkie przypadki ostrej białaczki limfoblastycznej, na którą w Polsce zapada 200-250 dzieci rocznie, leczyliśmy wedle podobnego schematu – referuje Młynarski. – A każdy z tych przypadków to może być inna zmiana genetyczna, która doprowadziła do choroby. By to specyficzne uszkodzenie wychwycić, potrzebujemy zaawansowanej technologii. Ona jest dostępna dzięki Orkiestrze od 2015 r. W roku kolejnym powstało centralne laboratorium OncoLab im. WOŚP. Dzięki temu po dekadzie wyniki leczenia tego schorzenia w Polsce są lepsze niż średnia unijna!

Jak mówi onkolog, przez dekadę wyleczalność samej białaczki limfoblastycznej w Polsce wzrosła u dzieci z ponad 80 do 95-96 proc., co oznacza kilkanaścioro dodatkowo uratowanych istnień rocznie. – A że podobny postęp dokonał się dzięki temu sprzętowi także w przypadku innych nowotworów, możemy mówić o około setce ocalonych dzieci każdego roku, czyli tysiącu w ciągu dekady – precyzuje Młynarski.

„Nie mógłbym wykonać połowy operacji ratujących życie dzieci, gdyby nie sprzęt otrzymany od Fundacji" – to z kolei zdanie wypowiedziane lata temu przez Jarosława Czubaka, które widnieje nadal na stronie WOŚP. – I tak też było w 2006 czy 2007 r., gdy byliśmy jako specjalizacja na zupełnie innym niż dzisiaj etapie, nie mając nawet wystarczającej liczby sal operacyjnych – mówi lekarz. – Pierwsza zbiórka, na której skorzystała dziecięca ortopedia, oznaczała nagły cywilizacyjny skok, podobnie jak każda kolejna. Mogliśmy na nowoczesnym poziomie leczyć deformacje kończyn, za sprawą WOŚP powstał krajowy program leczenia wad ubytkowych i wydłużania kończyn.

W 2024 r. prof. Czubak ogląda w Szwajcarii symulatory endoskopowe służące do nowoczesnego kształcenia lekarzy. Dzwoni do Owsiaka, ten zapala się do pomysłu kupienia ośmiu maszyn. – Dzięki takiemu symulatorowi, z wirtualnym światem stworzonym przez twórców gier, ortopeda może ćwiczyć operacje nieróżniące się właściwie od prawdziwych, ale bez udziału chorych! – tłumaczy ortopeda. I dodaje: – Wszystkie skoki cywilizacyjne w naszej specjalizacji były jakoś związane z WOŚP.

A to tylko dwie przykładowe dziedziny: Orkiestra przez trzy i pół dekady grała m.in. dla noworodków, dziecięcej kardiologii, okulistyki. Uruchomiła w 2002 r. – niedostępny w wielu krajach Zachodu – ogólnokrajowy program badań przesiewowych słuchu noworodków.

Mimo to WOŚP także na polu medycznym dorobiła się grupy sceptyków. Opisujących świat polityków wolących wyprać sobie wizerunek (określenie Jakuba Dymka w „Kanale Zero") podczas Finału, niż dosypać pieniędzy do NFZ. I rozleniwione przez Orkiestrę ministerstwo, które może traktować zbiórki jako alibi dla własnej bezczynności.

Eksperci i sam Owsiak odpowiadają na te głosy różnie. – Z mojego punktu widzenia są po prostu nietrafione – ocenia prof. Młynarski. – Relacja WOŚP–państwo to przykład synergii, a nie wyręczania. WOŚP kupuje bardzo szybko coś, czego zakup zgodnie z procedurami ministerialnymi trwałby dwa, trzy lata. A ministerstwo po jakimś czasie dostaje od Fundacji na tacy dane, jaka jest skuteczność ↦

↦ tego sprzętu czy technologii, i na tej podstawie podejmuje decyzję, czy daną terapię refundować.

– Owszem, jestem wściekły, gdy do protestujących na korytarzu Sejmu opiekunów osób z niepełnosprawnościami wychodzą politycy i mówią: „Przecież macie półtora procent" – przyznaje Jakub Wygnański. – Podobnie jak widzę, że rzadkie choroby, zamiast przez państwo, są leczone ze zbiórek na portalach, co wygląda czasami jak okrutny bazar, na którym jedno nieszczęście konkuruje z innym. Ale nie mamy dowodów, że gdyby nie było Orkiestry, nakłady na ochronę zdrowia byłyby większe. A co do „prania wizerunku", filantropia zawsze zawierała w sobie element ostentacyjnych, faryzejskich zachowań, z czego też nie robiłbym WOŚP-owi zarzutu.

Sam Owsiak mówi spokojnie: – Być może ci krytycy mają częściowo rację. Ale na pewno mamy nad NFZ jedną przewagę: oni 90 proc. środków przeznaczają na koszty, takie jak wypłaty, my możemy wydać wszystko na leczenie i sprzęt. Poza tym już 30 lat temu powiedzieliśmy sobie: nie bijemy piany, tylko działamy.

My tutaj, oni tam

Połowa lat 80.: od karnawału Solidarności już daleko, do przełomu 1989 r. jeszcze sporo. 30-letni witrażysta spotyka zupełnym przypadkiem uzdolnionego kontrabasistę zespołu Marek & Wacek. Ten pierwszy ma wielki samochód, drugi właśnie się przeprowadza – obu kojarzy więc ze sobą ich wspólny znajomy. Tak zaczyna się przyjaźń Owsiaka i Jana Pospieszalskiego, której burzliwy rozpad po ponad dekadzie będzie można uznać za symbol polskich podziałów przerywających nawet najmocniejsze więzi.

Ich drogi, połączone przez muzykę, zaczną się rozjeżdżać już w latach 90., a dwie dekady później prowadzący „Warto rozmawiać" będzie mówił o swoim byłym przyjacielu z niechęcią. Np. w kanale Otwarta Konserwa: o „demoralizacji" WOŚP-owych festiwali, o „upadku" i domniemanej wierze samego Owsiaka w bycie „zbawcą świata".

– Ach, Janek – wzdycha trochę z uśmiechem, trochę z zamyśleniem Jerzy Owsiak, gdy pytam go o Pospieszalskiego. – Mówię o nim często: „Przyjaciel, który jeszcze do nas wróci". Pamiętam taką scenę z pierwszego Finału. „Janek – pytam – muszę mieć czerwone spodnie, gdzie kupić czerwone spodnie?". Janek na to, że mam mu dać jakieś jasne dżinsy, a on już załatwi, że będą czerwone, bo zna „fantastyczną farbiarnię". I załatwił te spodnie! Wracam z Finału, rozbieram się, i wpadam w panikę, bo myślałem, że coś mi się stało – cały jestem we krwi! Dopiero później się okazało, że ta farba puściła. Dzwonię do Janka, mówię mu, co się stało, a on tylko: „Octu za mało".



Sceptycy wskazują na świat polityków wolących wyprać sobie wizerunek podczas Finału, niż dosypać pieniędzy do NFZ. I na rozleniwione przez Orkiestrę ministerstwo.

– Ilekroć słyszę Janka mówiącego o mnie te wszystkie rzeczy, odnoszę wrażenie, że wyszedł z jakiejś kabiny, w której się o mnie nasłuchał najgorszych rzeczy – dodaje Owsiak.

Co się w Polsce przez te trzy dekady z nami stało, że ciężko rozmawiać bliskim sobie kiedyś ludziom? – pytam szefa WOŚP. – Nie mam oporów, by się spotkać i pogadać, ale odpowiedzi na twoje pytanie nie mam. Chętnie sam bym się dowiedział – mówi.

Lata 90. i wczesne dwutysięczne to apogeum sporu Owsiaka z Kościołem. Jeśli szefa Orkiestry potraktować jako barometr społecznych zjawisk, pokaże z jednej strony ówczesną – dziś nieaktualną – siłę oddziaływania katolicyzmu, z drugiej jego zróżnicowanie. Owsiak będzie hołubiony przez część katolików otwartych (najpierw wspomniany Medal od „TP", później wizyta na Woodstocku abp. Józefa Życińskiego, jeszcze później innych duchownych), a odsądzany od czci i wiary przez kościelny mainstream (sam prymas Glemp powie o Woodstocku „Przystanek błoto").

– Sprzed jednego z kościołów przepędził nas ksiądz, chcąc na nas nasłać policję – wspomina Joanna Wardęga. – Interpretowaliśmy to wtedy jako reakcję na finansową konkurencję, co zresztą nie było dalekie od prawdy. Ludzie mówili: „Miałem dać na tacę, dam wam".

Jerzy Owsiak nie pozostaje Kościołowi dłużny: w 2003 r. wyrzuca oficjalny namiot „Przystanku Jezus" z festiwalu Przystanek Woodstock, nie chcąc nawet specjalnie słuchać tłumaczeń ks. Andrzeja Draguły, byłego rzecznika ewangelizacyjnej inicjatywy, który w ich wspólnym wywiadzie dla „Tygodnika" próbuje wykładać ugodowe nastawienie ewangelizatorów do Orkiestry.

– Ja pamiętam dobre rzeczy z relacji z duchownymi – mówi mi Owsiak po 22 latach od tamtych zdarzeń. – Np. świętej pamięci ks. Jana Kaczkowskiego, który przyjechał na Przystanek Woodstock. Skończył już występ na Akademii Sztuk Przepięknych, ale nadal siedzimy i rozmawiamy. „A ty nie musisz już jechać do domu?" – pytam, na co on: „Jeszcze się z wami napiję, posiedzę, tak mi tu dobrze". Albo wspomnienie z wczoraj. Przyszedł przedstawiciel sąsiadujących z nami dominikanów z pytaniem, czy może ktoś od nich wpaść do nas po kolędzie. Umówiliśmy się, wpadną. Innym razem przychodzą, pożyczają od nas defibrylator i gaśnicę na Jarmark Dominikański. Złych rzeczy pamiętać nie chcę.

Te złe rzeczy nie tracą jednak z czasem na sile. Jeśli coś się zmienia, to kanały anty-Owsiakowego hejtu: do tracącego na znaczeniu Kościoła, a także prawicowo-narodowych mediów doszły platformy społecznościowe, co uchwycił w styczniu raport Instytutu Monitorowania Mediów: na 20 najaktywniejszych profili na X, TikToku, FB i YouTubie wzmiankujących o Owsiaku tylko trzy opowiadały o nim pozytywnie.

Pytam Owsiaka o grubą skórę, mając w pamięci i jego kilkudniową rezygnację z szefowania WOŚP-em po śmierci prezydenta Adamowicza, i zamalowany całkiem niedawno przez kogoś płot na jego posesji. Pytam też, czy pamięta, by sam przesadził w publicznych wypowie-

dziach, np. popierając jedną ze stron politycznego sporu albo krytykując polityków PiS.

– Widzisz taki zabazgrany płot i serce ci staje – mówi Owsiak. – Zdarza mi się nie móc zasnąć, ale nawet nie z lęku, tylko dlatego że nie potrafię zrozumieć: kto i dlaczego może mnie tak nienawidzić? Sam nie mam poczucia, bym kiedykolwiek przesadził. Choć najbliżej do tego odczucia byłem wtedy, gdy skrytykowałem publicznie ówczesnego rzecznika praw dziecka Mikołaja Pawlaka, pisząc, by rodzice uważali na tego pana.

Nasze wnuki, nasi dziadkowie

Końcówka stycznia 2024, 32. Finał (miesiąc wcześniej Donald Tusk został po raz kolejny premierem). Kraków, Galeria Kazimierz niedaleko centrum, na zewnątrz wśród setek wolontariuszy z puszką stoi – w towarzystwie rodziców – 13-letni Jaś Wardęga. – Zbierał dwa razy, i dwa razy pod galerią, bo w odróżnieniu od Mielca lat 90. to właśnie tu gromadzi się najwięcej ludzi – opowiada jego mama. – Zmianą w stosunku do tzw. naszych czasów byłam nawet nieco rozczarowana: to chyba technologia sprawiła, że atmosfera nie jest już taka radosna i spontaniczna. Wiele osób tłumaczy, że wspiera WOŚP, ale już przelali pieniądze online i odchodzą. Choć zapamiętałam też uśmiechniętych ludzi, którzy wrzucają i mówią, że sami w tym wieku stali z puszką.



Jeśli coś się zmienia, to kanały anty-Owsiakowego hejtu: do tracącego na znaczeniu Kościoła, a także prawicowo-narodowych mediów doszły platformy społecznościowe.

EFEKT OWSIAKA // GRAF. KUBA SOWIŃSKI DLA „TP"

Na międzypokoleniowy wymiar Orkiestry zwraca też uwagę Jakub Wygnański: – To mógł być 10. Finał, mój syn był bardzo mały, poszliśmy razem do warszawskiego sztabu WOŚP. Jurek do nas podszedł, dostaliśmy koszulkę. Mój syn powiedział wtedy o nim: „pan w czerwonych okularach", i tak o nim nadal zdarza nam się mówić.

„Pan w czerwonych okularach" zdaje się nie mieć na kartach historii III RP odpowiednika. Te 36 lat to okres rozpoznawalnych sportowców, jak Małysz czy Lewandowski. Czas ikon popkultury, jak Bogusław Linda u zarania III RP, wielkich pisarzy i reżyserów, jak Szymborska, Tokarczuk, Wajda czy Holland, okres wymieniających się przez dwie dekady władzą Kaczyńskiego i Tuska. Nie ma jednak poza Owsiakiem bodaj nikogo, kto przez trzy i pół dekady utrzymałby na podobnym poziomie nie tylko tempo mowy, ale i rozpoznawalność oraz wpływ na polską rzeczywistość. Zatem nawet jeśli Owsiak jak niemal wszyscy znani dzieli Polaków światopoglądowo, łączy nas generacyjnie – któż poza nim jest dzisiaj nad Wisłą na równi rozpoznawalny przez 15-letnią „zetkę" i 90-latka urodzonego przed wojną?

Na odchodne czytam Jerzemu Owsiakowi jego własne słowa z wywiadu-rzeki – pytając o ciągi dalsze. „Proszę państwa, ja gram w drużynie pod tytułem Polska, a to są zawodnicy bardzo różni: bydło, złodzieje, piękni ludzie, bardzo czyści, bardzo wrażliwi (...) Taki jest ten kraj, i ja się go nie wypieram, ja chcę grać z taką drużyną" – mówił.

– Polska się zmieniła: świat podziwia nasz rozwój, nasze PKB, ale też naszą odporność na kryzysy – mówi Owsiak. – Powiem tak: Polska przez te 30 lat mnie pozytywnie zaskoczyła. Duch porządku, jaki widzę na naszym festiwalu, te zmieniające się miasta i miasteczka. Mimo PESEL-u, mimo deklaracji, że będę powoli oddawał zabawki, nadal chcę grać w tej drużynie.

©℗ PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI

TYGODNIK POWSZECHNY

Redaktor naczelny: Jacek Stawiski
Redaktor senior: ks. Adam Boniecki
Zastępcy redaktora naczelnego: Ewelina Burda, Michał Okoński
Dyrektor artystyczny: Marek K. Zalejski
Wiara: Edward Augustyn (kierownik), Monika Białkowska, Zuzanna Radzik, Artur Sporniak
Kraj: Anna Goc, Marek Kęskrawiec (kierownik), Marek Rabij, Przemysław Wilczyński
Świat: Patrycja Bukalska, Wojciech Pięciak (kierownik)
Historia: Wojciech Pięciak
Nauka: Łukasz Kwiatek (kierownik), Łukasz Lamża
Kultura: Tomasz Fiałkowski, Katarzyna Kubisiowska, Michał Kuźmiński, Piotr Mucharski, Monika Ochędowska (kierowniczka), Anita Piotrowska
Felietony: Wojciech Bonowicz, Paweł Bravo, Olga Drenda, Eliza Kącka, Dorota Masłowska, Bartosz Minkiewicz, Zuzanna Radzik, Tomasz Stawiszyński
Fotoedycja: Katarzyna Bułtowicz, Grażyna Makara (kierowniczka)
Skład: Agnieszka Cynarska-Taran, Zuzanna Kardyś, Andrzej Leśniak (kierownik)
Korekta: Katarzyna Domin, Sylwia Frołow, Magdalena Pawłowicz, Maciej Szklarczyk (kierownik)
Wydanie internetowe: Grzegorz Bogdał, Ewelina Burda (dyrektorka serwisu), Katarzyna Rutkowska, Jacek Taran
Dyrektor ds. rozwoju: Michał Bagiński
Marketing i promocja: Sławomir Bieniek, Jacek Napora, Michał Sowiński, Jakub Starzyk
Sklep: Karolina Biały
Dyrektorka ds. reklamy: Justyna Hernas
Reklama i sprzedaż: Mateusz Gawron, Michalina Kościelny, Anna Pietrzykowska, Barbara Ziajka
Dział IT: Piotr Muszyński, Katarzyna Rejdych, Bartłomiej Swojak
Redaktor wydań specjalnych: Michał Okoński
Stale współpracują: Elżbieta Adamiak, Klaus Bachmann, Marek Bieńczyk, Jan Błaszczak, Kalina Błażejowska, Wojciech Bonowicz, Wojciech Brzeziński, Beata Chomątowska, s. Barbara Chyrowicz, Justyna Dąbrowska, Bartek Dobroch, ks. Andrzej Draguła, Jakub Dymek, Jarosław Flis, Andrzej Franaszek, Anna Golus, Łukasz Grajewski, ks. Tomáš Halík, ks. Michał Heller, Bartosz Kabała, Agata Kaźmierska, Eliza Kącka, Marcin Kędzierski, Bartek Kieżun, Piotr Kłodkowski, Wojciech Konończuk, Małgorzata Kordowicz, Piotr Kosiewski, Dariusz Kosiński, Dorota Kozińska, Ryszard Koziołek, Wojciech Jagielski, Anna Łabuszewska, Magdalena Łanuszka, Szymon Łucyk, Józef Majewski, Paweł Marczewski, Paweł Musiałek, Maciej Müller, Marcin Napiórkowski, Małgorzata Nocuń, Magdalena Nowicka-Franczak, Piotr Oleksy, Olaf Osica, o. Wacław Oszajca, Zbigniew Parafianowicz, Piotr Paziński, ks. Jacek Prusak SJ, Karolina Przewrocka-Aderet, Jakub Puchalski, Adam Robiński, Dariusz Rosiak, kard. Grzegorz Ryś, Stefan Sękowski, Piotr Sikora, Tadeusz Sławek, Małgorzata Solecka, Andrzej Stasiuk, Krzysztof Strachota, Władysław Stróżewski, Marcelina Szumer-Brysz, Marcin Tusiński, Michał Walkiewicz, Piotr Wójcik, Marta Zdzieborska, Marcin Żyła

WYDAWCA Tygodnik Powszechny Sp. z o.o.
Zarząd: Jacek Ślusarczyk (prezes), Jacek Stawiski (wiceprezes), Edyta Płachta
Asystentka zarządu ds. prawnych: Sylwia Ligierska
Adres wydawcy i redakcji: ul. Dworska 1C/LU 3-4 30-314 Kraków, tel. 668 477 039
redakcja@TygodnikPowszechny.pl
Reklama, promocja: tel. 502 499 878
reklama@TygodnikPowszechny.pl
promocja@TygodnikPowszechny.pl
Prenumerata: tel. 668 479 075
prenumerata@TygodnikPowszechny.pl
Projekt graficzny: Marek Knap i Marek Trojanowski

Druk: Walstead Kraków Sp. z o.o.

REKLAMA

S-NET GRUPA TOYA
S-NET zapewnia wsparcie technologiczne dla „Tygodnika Powszechnego"

▪ REDAKCJA NIE ZWRACA TEKSTÓW NIEZAMÓWIONYCH ORAZ ZASTRZEGA SOBIE PRAWO ICH REDAGOWANIA I SKRACANIA. REDAKCJA NIE ODPOWIADA ZA TREŚĆ OGŁOSZEŃ. REDAKCJA MA PRAWO DO ODMOWY PUBLIKACJI OGŁOSZEŃ.

▪ **PRAWA AUTORSKIE I MAJĄTKOWE DO WSZYSTKICH MATERIAŁÓW** zamieszczonych w „Tygodniku Powszechnym" należą do Wydawcy oraz ich Autorów i są zastrzeżone znakiem © na końcu artykułu. Materiały oznaczone na końcu dodatkowym znakiem ℗ mogą być wykorzystane przez inne podmioty tylko i wyłącznie po uiszczeniu opłaty, zgodnie z Cennikiem i Regulaminem korzystania z artykułów prasowych, zamieszczonymi pod adresem www.TygodnikPowszechny.pl/nota-wydawnicza.

TygodnikPowszechny.pl



OŚ PÓŁNOC–POŁUDNIE

Jaka powinna być architektura naszych sojuszy w epoce Trumpa? Na wypadek „szaleństwa hegemona” trzeba tworzyć nowe koalicje. Rozpoczynamy cykl publikacji o przyszłości naszego bezpieczeństwa.

ZBIGNIEW PARAFIANOWICZ

Pohukiwania Donalda Trumpa na temat Grenlandii radykalnie psują Polsce perspektywiczną współpracę w dziedzinie bezpieczeństwa z państwami basenu Morza Bałtyckiego. Zarówno Dania, jak Szwecja, Norwegia, ale też do pewnego stopnia Finlandia muszą na nowo odpowiedzieć sobie na pytanie: po co są w NATO? I kto w zasadzie jest wrogiem, gotowym na ich terytorium wysłać „zielone ludziki”? Czy tylko Rosja? I jaki pomysł na tę sytuację ma Polska?

Debata, jaka przetacza się obecnie po nordyckiej Europie, ruszyła po publikacji w raczej mieszczańskim i unikającym skandalizujących tez szwedzkim dzienniku „Dagens Nyheter”. Gazeta pyta wprost, czy nadszedł już czas, aby państwa północy zaczęły myśleć o własnej głowicy nuklearnej. Może powinny zbudować ją razem, tak jak w przeszłości powołały do życia wspólne linie lotnicze? Publicyści dziennika zakładają, że w związku z nacjonalistyczną polityką Trumpa, Europa może niebawem utracić gwarancje bezpieczeństwa ze strony USA, które były podstawą szacowania ryzyka wojny.

Znany fiński serwis Yle pyta z kolei, czy nadal obowiązuje aksjomat o amerykańskim parasolu nuklearnym nad Europą? Eksperci wypowiadający się w materiale opublikowanym przez portal twierdzą, że nie ma co panikować, bo do tej pory Waszyngton nie dał ani jednego konkretnego sygnału o zwijaniu tego parasola. Z drugiej strony, czy Amerykanie muszą w ogóle ogłaszać taki komunikat? Czy nie jest nim *de facto* obecny nacisk na przekazanie przez Danię Grenlandii pod jurysdykcję USA?

Strategiczny odwrót

Amerykanie na pewno dali północno-wschodniej flance NATO – w tym Polsce – sygnał, że niezbyt interesują ich tzw. zagrożenia hybrydowe, za którymi w tym regionie stoi Rosja. Według informacji Reutera, Donald Trump zlikwidował stworzone przez administrację Joego Bidena i działające w ramach amerykańskich służb specjalnych grupy robocze, których celem była współpraca z europejskimi agencjami walczącymi z rosyjską dywersją. Tworzyli je oficerowie FBI, CIA, wywiadu wojskowego i urzędnicy Departamentu Sprawiedliwości. Dziś to już przeszłość.



PIOTR GUBERNAT / ZESPÓŁ REPORTERSKI DOWÓDZTWA OPERACYJNEGO RSZ

TU I NA NASTĘPNYCH STRONACH:
Spadochroniarze z 6. Brygady Powietrznodesantowej na Gotlandii. W manewrach Gotland Sentry we wrześniu 2025 r. polskie i szwedzkie wojska ćwiczyły obronę przed atakiem ze wschodu.

Do historii przechodzi też współpraca z USA w dziedzinie cyberbezpieczeństwa. Wraz z wyjściem USA z 66 organizacji międzynarodowych, Waszyngton zaprzestał także transatlantyckiej kooperacji z trzema europejskimi agencjami, stanowiącymi trzon tzw. tarczy cyfrowej, która właśnie przestaje istnieć. Kluczowa w tym układzie była zlokalizowana w Helsinkach Hybrid CoE, która próbowała koordynować współpracę w obronie przed Rosją między NATO i UE. Według Trumpa jej działalność była sprzeczna z zasadami wolności internetu. W Waszyngtonie pojawiła się nowa koncepcja – America First Cyber Doctrine.

Tym jednoznacznym, izolacjonistycznym krokom towarzyszą cięcia w programach pomocowych dla państw bałtyckich, które obejmowały dostawy sprzętu i amunicji dla sił specjalnych oraz współpracę wywiadowczą. Wszystko to razem każe zadać pytanie: jaka powinna być architektura polskich sojuszy wobec ograniczenia zaangażowania Stanów Zjednoczonych w Europie? I jak potraktować same USA, jeśli zażądają nie tylko suwerenności nad Grenlandią, ale również nad bazą w Redzikowie czy w rumuńskiej Konstancy?

Naciski, szantaże, transakcyjne podejście do sojuszy. Trump udowodnił już nie raz, że nie waha się traktować swych europejskich sojuszników na zasadach, które znamy z jego relacji z Wołodymyrem Zełenskim. Dlatego warto przyjrzeć się strategii, jaką przyjął Kijów – jej podstawowym składnikiem jest manifestowanie siły i sprawczości. Czy to w uderzeniach – paradoksalnie we współpracy z USA – na instalacje przemysłu petrochemicznego w Rosji, czy w realizacji programu celowanych zabójstw albo niszczeniu bombowców przenoszących pociski z głowicami nuklearnymi.

Polska bomba atomowa

Europa również tylko poprzez siłę będzie w stanie przekonać Trumpa do swoich racji. Taką siłą mogą być sojusze tych, którzy podobnie postrzegają regionalne ↦

↦ zagrożenia i samodzielnie rozwijają zdolności obronne, także te nuklearne. Jak w tym wszystkim odnajdzie się Polska? Czy rysuje nową mapę koalicyjną na wypadek „szaleństwa hegemona”? I czy ta nowa sieć powiązań wystarczy, aby obronić naszą niepodległość?

Debata o atomie w Szwecji nie jest przypadkowa. Sztokholm już w latach 60. XX w. prowadził badania nad własną głowicą; miała to być polityka neutralności na sterydach. Cytowany przez serwis Yle ekspert Fińskiego Instytutu Spraw Międzynarodowych Jyri Lavikainen twierdzi, że Szwecja jest najbliżej własnej bomby i należy się pod nią podpiąć w ramach wspólnego wysiłku bałtyckiego.

Przypomnijmy. Szwecja prowadziła zaawansowane badania nad własną bombą do 1972 r., a celem było zbudowanie 100 bomb o sile 20 kiloton każda. Taktyczne głowice nuklearne miały być zrzucane z produkowanych w kraju Saabów 36. Sztokholm ma też ogromne doświadczenie w zarządzaniu własnymi złożami uranu i kontrolowaniem ich przez państwo.

Czy w związku z tym, że mamy wspólne ze Szwedami interesy obronne na Bałtyku, powinniśmy podjąć z władzami w Sztokholmie choćby niejawny dialog w kwestiach nuklearnych? Włączając w to oczywiście potencjalną bałtycką koalicję chętnych?

Pora rozważyć na poważnie to zagadnienie, gdyż wraz z wycofywaniem się USA z Europy jedyną pewną obroną przed scenariuszami kreślonymi na Kremlu może okazać się własny program atomowy. Tym bardziej że np. w rachubach państw bałtyckich na przyszłość to właśnie szantaż atomowy ze strony Rosji ma prowadzić do ich kapitulacji. Mówił o tym otwarcie w rozmowie z „The Financial Times” urodzony w Wielkiej Brytanii były szef wywiadu Łotwy Janis Kazocins. Jego zdaniem Rosja po zakończeniu wojny w Ukrainie sięgnie po Bałtów, a będą temu towarzyszyć pogłębiające się podziały w świecie Zachodu, który nie będzie potrafił skutecznie zareagować na atak z zaskoczenia, połączony z groźbą nuklearną.

W Litwie, Łotwie i Estonii nie istnieje tabu w dyskusjach o planach Rosji. Nie ma go również przy debacie na temat regionalnego atomu, który chroniłby wschodnią flankę NATO. Jednak w Polsce, mimo ogromnych zakupów broni, wciąż nie prowadzi się poważnych rozmów o tej kwestii.



Tylko poprzez siłę możemy przekonać Waszyngton do swych racji. **Jej symbolem ma być sojusz państw Europy,** podobnie postrzegających regionalne zagrożenia i rozwijających swe zdolności obronne.

Zajazd na Litwie

Kraje bałtyckie są przez Warszawę postrzegane jako petenci w naszej polityce bezpieczeństwa, od których nie możemy zbyt wiele uzyskać – to raczej nasze wojska będą miały wkład w ich obronę. Jednym ze scenariuszy, które rozpatrywano w erze rządów Zjednoczonej Prawicy, było wysłanie na Litwę polskiej brygady pancernej. Miała ona stacjonować tam, gdzie obecnie zaczynają się lokować Niemcy z tworzoną od podstaw 45. Brygadą Pancerną, czyli w rejonie solecznickim przy granicy z Białorusią. Jest on zamieszkany przez mniejszość polską, cyklicznie oskarżaną przez władze w Wilnie o rusofilię, a nawet o agenturalne powiązania z Moskwą (nigdy nie udowodnione). Tamten pomysł zakładał, że polskie wojsko będzie czynnikiem nie tylko militarnym, ale też wzmacniającym wpływy w regionie, a zarazem swoistą ochroną naszej mniejszości.

Obecności wojskowej miała towarzyszyć koncepcja inwestycji Orlenu w media litewskie. Jak wynika z nieoficjalnych informacji „Tygodnika”, polski koncern paliwowy miał kupić dziennik „Lietuvos Rytas” i wraz ze studiem TVP Wilno zbudować małe imperium, działające przede wszystkim w internecie. Polska jednostka wojskowa, wpływ na opinię publiczną, a także Orlen jako największy na Litwie płatnik podatków – dawałyby Warszawie możliwość zbudowania tam ekspozytury interesów naszego państwa, także do wyprowadzenia obrony poza nasz kraj na wypadek rosyjskiego ataku na państwa NATO. Lecz pomysł z epoki PiS nie został zrealizowany; nie jest również kontynuowany przez rząd Donalda Tuska.

Premier wszedł jednak na poważnie we współpracę z Bałtami, państwami skandynawskimi oraz Finlandią w innym zakresie. Znalazło to swój wyraz już w *exposé* szefa rządu. „Po powrocie z Brukseli udam się następnego dnia do



PIOTR GUBERNAT / ZESPÓŁ REPORTERSKI DOWÓDZTWA OPERACYJNEGO RSZ X2

Tallina na spotkanie z premierami Litwy, Łotwy i Estonii. Tematy oczywiste – wojna, bezpieczna granica. Będziemy wzmacniali współpracę z państwami, które podzielają nasze poglądy w tej sprawie, a więc nie tylko z naszymi sąsiadami z Litwy, Łotwy, Estonii, ale oczywiście także z Finlandią, Szwecją, a spoza Unii także z Norwegią" – mówił w Sejmie Donald Tusk.

I rzeczywiście: szef MON Władysław Kosiniak-Kamysz rozpoczął rozmowy o sprowadzeniu do Malborka – w miejsce starych Migów-29, które przekazujemy Ukrainie – szwedzkich Gripenów. Również z tego kraju pochodzić mają trzy okręty podwodne; do połowy 2026 r. ma być podpisana w tej sprawie umowa wykonawcza. Pierwszy okręt A26 z pakietem uzbrojenia zostałby dostarczony do 2030 r., ale już w przyszłym roku nasi marynarze mają się szkolić na jednostce pomostowej. Jak zapewnia MON, umowa ma być połączona z zakupem przez Szwedów polskiego sprzętu wojskowego.

Nasi na Gotlandii

Lądowanie Gripenów w Malborku w ramach misji Air Policing i współpraca ze Szwedami na Bałtyku to realny krok we wzmacnianiu naszego wspólnego bezpieczeństwa. Podobnie jak lądowanie polskich spadochroniarzy z 6. Brygady Powietrznodesantowej na Gotlandii. W manewrach Gotland Sentry we wrześniu 2025 r. oba państwa ćwiczyły przede wszystkim obronę przed atakiem ze wschodu.

Podobny trend widać w stosunkach z Finlandią. W połowie ubiegłego roku fiński parlament przyjął nową strategię bezpieczeństwa, w której to Polska – obok krajów skandynawskich i USA – jest wskazywana jako główny partner w regionie. „Znaczące inwestycje Polski w zdolności obronne dają dodatkowe podstawy do wzmocnienia wzajemnej współpracy" – napisano w dokumencie. Dla Warszawy kluczową korzyścią w relacjach z Helsinkami może się okazać doświadczenie partnera w modernizowaniu własnego lotnictwa w oparciu o jedyny istniejący samolot piątej generacji, czyli amerykański F35. Jako że również Polska kupuje te maszyny, oba kraje nie kryją zainteresowania wykorzystaniem ich przy natowskim programie *nuclear sharing*. F35 to przecież samoloty podwójnego zastosowania; można pod nie podwieszać zarówno pociski konwencjonalne, jak te z głowicami nuklearnymi.

W ramach zacieśnienia tego sojuszu Polska rozważa udział naszych sił specjalnych w fińsko-natowskim projekcie Forward Land Forces, oznaczającym rozmieszczenie wojsk lądowych za kołem podbiegunowym w rejonie Arktyki, w bazach Rovaniemi i Sodankylä. Ich zadaniem jest obrona granicy fińsko-rosyjskiej. Co ciekawe, na czele FLF stoją Szwedzi, co ma podkreślać wielonarodowy charakter pomysłu. Akces do niego zgłosili też Brytyjczycy, którzy już wysłali za koło podbiegunowe 350 żołnierzy, a w jednym z ćwiczeń w regionie brały udział ich śmigłowce szturmowe AH64 Apache. Według informacji „Tygodnika", także Francja rozważa dziś dołączenie do FLF. Ma to być odpowiedź na militaryzację Arktyki, której właśnie dokonuje Rosja.

Obronić Baltic Pipe

W układance wokół Bałtyku najbardziej problematyczna jest Dania. Władze w Kopenhadze w przeszłości podejmowały decyzje, które najdelikatniej mówiąc, drażniły rząd w Warszawie. Chodzi przede wszystkim o cofnięcie wydanej w 2019 r. decyzji środowiskowej dla gazociągu Baltic Pipe, na terenie lądowego odcinka biegnącego przez Danię. Inwestycja miała zagrażać środowisku, głównie myszom i nietoperzom. Finalnie pozwolenie przywrócono po ataku Rosji na Ukrainę, a inwestycję uruchomiono we wrześniu 2022 – po cichu zamykając temat małych zwierząt. Gazociąg biegnie dziś przez trzy kraje: Polskę, Danię i Norwegię, co siłą rzeczy wymusza współpracę przy jego ochronie. ↦

↦ Zarazem ten sam gazociąg ogranicza Polsce pole manewru w przypadku złych dla Danii decyzji USA dotyczących Grenlandii. Władze w Warszawie, traktujące jak aksjomat sojusz z USA, lokują się tutaj między młotem a kowadłem. Z jednej strony jest gazociąg, będący (wraz z gazoportem w Świnoujściu i planowanym terminalem pływającym w Zatoce Gdańskiej) częścią szerszego projektu energetycznego, czyli tzw. Bramy Północnej – z drugiej zaś mamy strategicznego sojusznika zza oceanu, zaopatrującego nas w F35 i systemy obrony powietrznej Patriot.

Co ciekawe, Amerykanie mimo sporu z Danią o Grenlandię, jak dotąd nie zahamowali dostaw F35 zamówionych przez Kopenhagę. Zarazem jednak – powołując się na zbyt niską podaż – wycofali się we wrześniu ubiegłego roku z dostaw systemów obrony powietrznej Patriot. Wymusiło to na Duńczykach zakupy u francusko-włoskiego konsorcjum zestawów SAMP/T. Nie wiadomo, na ile decyzja USA była podyktowana świadomością, że za chwilę Waszyngton wejdzie w spór z Kopenhagą o Grenlandię. Nie można wykluczyć, że zerwanie rozmów przez USA wynikało z kalkulacji geopolitycznych, a nie biznesowych.

Problem z Danią nie dotyczy tylko rodzajów uzbrojenia. To w zasadzie szczegół. Pytaniem podstawowym jest to, czy w układance sojuszy na Bałtyku Stany Zjednoczone nie będą próbowały wymuszać na koalicjantach – takich jak Polska – posłuszeństwa i czy nie spróbują doprowadzić do porzucenia przez nas kooperacji z Danią, która ma przecież ogromne znaczenie w kwestii kontroli i obrony strategicznie położonych cieśnin morskich. W takim wariancie chyba jedyną sensowną opcją jest jak najdłuższe lawirowanie pomiędzy USA a naszymi sojusznikami w Europie. Finalnie największą korzyścią byłoby utrzymanie dobrych relacji z Danią, Szwecją, Norwegią i Finlandią, aby potraktować je jako silną walutę w stosunkach z USA. Jeśli Polska ma być wasalem USA w polityce bezpieczeństwa (którym w sumie i tak jest), byłoby dobrze pozostać wasalem z prawem do transakcji. Czyli chłopem z ziemią, odpracowującym pewną pańszczyznę, ale nie wolnym najmitą, pozostającym poza wszelkimi układami, na łasce hegemona.

NATO JEST W GŁĘBOKIM KRYZYSIE. USA, najważniejszy gwarant porządku zrodzonego po II wojnie światowej, traktuje półkulę zachodnią jako swoją strefę wpływów: nie chce dalej zapewniać bezpieczeństwa Europie ani wspierać Ukrainy w jej walce z Rosją.

JAK MA SIĘ ZACHOWAĆ POLSKA w tej sytuacji? Wciąż stawiać na Stany Zjednoczone, wierząc, że w momencie próby wypełnią swe zobowiązania? Skupić się na zacieśnieniu współpracy z europejskimi członkami NATO? Grać na czas, budując alternatywną koalicję państw, które – jak my – czują się zagrożone przez Rosję Putina?

ROZPOCZYNAMY DEBATĘ o polskiej strategii bezpieczeństwa artykułem Zbigniewa Parafianowicza, publicysty i autora książki „Polska na wojnie".

W NAJBLIŻSZYM NUMERZE tekst analityka Piotra Oleksego.

Reflektor na Ankarę

Wolnym najmitą nie jest żadne państwo skandynawskie ani też nordycka Finlandia. Nie jest nim również Turcja, która kontroluje sytuację na Morzu Czarnym. Z racji podobnych interesów w zakresie bezpieczeństwa racją stanu dla Polski są więc inwestycje w funkcjonalne sojusze na całej osi północ–południe. To zaś oznacza również bliską kooperację z Turcją, która w naturalny sposób szkodzi Rosji w państwach południowego Kaukazu, wchodząc w rolę brokera porozumień między Azerbejdżanem a Armenią, czy też rozszerzając swoje wpływy gospodarcze na Turkmenistan czy Uzbekistan.

W basenie Morza Czarnego to Turcja była pierwszym krajem, który przechwytywał łączność rosyjską jeszcze przed aneksją Krymu i dysponował ekskluzywną wiedzą na temat zamiarów Kremla. Ankara w naturalny sposób zainteresowana jest też przyszłością półwyspu z powodu bliskiej etnicznie ludności – Tatarów krymskich, których lokalne FSB traktuje nie lepiej niż przedstawicieli Państwa Islamskiego.

W sposób naturalny Turcja staje się więc potencjalnym partnerem dla Polski. Zresztą, po agresji Rosji na Ukrainę w 2022 r. Ankara złożyła władzom w Warszawie nieformalną propozycję budowy wspólnej fabryki amunicji 155 mm, którą odrzuciliśmy. Do pewnego stopnia miało to wówczas swoje uzasadnienie, ale czy w długiej perspektywie stać nas na abstrahowanie od „czynnika tureckiego"? Biorąc pod uwagę ewolucję USA pod rządami Trumpa, raczej nie. Zapewne dlatego w grudniu wicepremier Kosiniak-Kamysz pojechał do Ankary, by podpisać porozumienie w zakresie dostaw broni i rozwijania przemysłu obronnego (chodzi m.in. o kontrakty na tureckie systemy rozpoznania i walki elektronicznej), a także współpracy służb wywiadowczych i wspólnych ćwiczeń wojskowych.

Jeśli uczciwie analizować narastający chaos w globalnej grze o władzę, niewykluczone, że europejska oś północ–południe będzie jeszcze ważniejsza niż polska inwestycja w Ukrainę. Kijów najpewniej się obroni, a rezultatem wojny stanie się zgniły kompromis z poszatkowanym niczym Bośnia Donbasem. Wojska rosyjskie stać będą nadal 1000 km od naszych granic, a jeśli nawet pewnego dnia władze na Kremlu zdecydują się przenieść je bliżej nas, nie będziemy musieli prosić prezydenta Ukrainy (ktokolwiek by nim był) o utrzymywanie przy gorącej granicy z Rosją znacznego kontyngentu wojskowego. Każdy bowiem ruch osłabiający obecność rosyjską będzie dla Kijowa zachętą do dokonania rekonkwisty utraconych w Donbasie czy Zaporożu terytoriów. Dlatego też w razie zagrożenia Polski ze strony Rosji nie będziemy musieli prosić o cokolwiek Kijowa. Będzie on szachował Moskwę i tak.

Biorąc to wszystko pod uwagę, o wiele ważniejszą inwestycją są więc dziś sojusze Polski ze Szwecją, Finlandią, Danią i Turcją. Być może przy włączeniu do tej koalicji kolejnego „wolnego najmity", czyli Rumunii, która na razie nie prowadzi kreatywnej i w pełni suwerennej polityki bezpieczeństwa. Ta nowa układanka mogłaby stać się kluczem do zrównoważenia dzisiejszego amerykańskiego szaleństwa. Współpraca z poważnymi państwami dysponującymi realną siłą i realną gospodarką to najważniejsze narzędzie, którym możemy znacznie powiększyć ograniczony kapitał, jakim dysponuje dziś Polska.

© ZBIGNIEW PARAFIANOWICZ



PIOTR KAMIONKA / REPORTER

Miejska siłownia w Parku Kilińskiego w Łodzi

Musimy bić na alarm

BERNARD WAŚKO, DYREKTOR PAŃSTWOWEGO ZAKŁADU HIGIENY:

OCHRONA ZDROWIA | Nie da się prowadzić polityki zdrowotnej państwa za pomocą cokwartalnych pielgrzymek ministra zdrowia do ministra finansów.

JERZY DZIEKOŃSKI: Czy publiczna ochrona zdrowia będzie wpadać w coraz większe tarapaty?

DR BERNARD WAŚKO: Widząc, co się w niej dzieje, przygotowaliśmy prognozę dotyczącą na lata 2025-2027 i ona się sprawdza, a uwidocznione problemy narastają. Dlatego postanowiliśmy sporządzić kolejną, długoterminową prognozę dotyczącą przyszłości finansów NFZ, wykorzystując udostępnione przez WHO narzędzia analityczne.

Pierwsza część naszego raportu dotyczy sytuacji do 2040 r., druga – do 2060. Warto podkreślić, że nasze ustalenia są zupełnie neutralne politycznie i wybiegają daleko poza wszelkie możliwe do przewidzenia cykle wyborcze.

Prawa demograficzne i zjawiska gospodarcze, na których opierają się nasze wyliczenia, są nieubłagane. Model uwzględnia procesy przyrostu długości życia, starzenia się polskiego społeczeństwa oraz odejścia z rynku części siły roboczej, czyli opiera się na analizie zarówno kosztów sytemu, jak i przychodów ze składki zdrowotnej.

Budując scenariusz alternatywny, dodaliśmy jeszcze grupę czynników ryzyka, które wystąpiły w okresie ostatnich trzech lat, i wciąż silnie oddziałują na stronę kosztową NFZ, szczególnie krótkoterminowo.

Takimi czynnikami są zapewne tzw. nadwykonania za świadczenia nielimitowane, na które rokrocznie NFZ nie ma pieniędzy. Cyklicznie pod koniec roku w mediach pojawiają się alarmujące informacje o tym, że szpitale wstrzymują przyjęcia. To już chyba stały scenariusz?

Jedna rzecz się w nim zmienia. Symptomy trudności finansowych NFZ w odniesieniu do płatności za nielimitowane nadwykonania pojawiały się zwykle w ostatnim kwartale, na koniec roku. Od dwóch lat problemy te występują coraz wcześniej, a na dodatek skumulowały się dwa niekorzystne zjawiska. ↦

↦ Po pierwsze NFZ opóźnił wypłatę za świadczenia nielimitowane z pierwszego kwartału 2025 r., ponieważ przeznaczył fundusze na nierozliczone świadczenia jeszcze z IV kwartału 2024 r. Obecnie zresztą wygląda to bardzo podobnie.

Druga bezprecedensowa sytuacja dotyczy składki – po raz pierwszy od kilkunastu lat zaplanowane w planie finansowym NFZ na 2025 r. przychody były w rzeczywistości niższe od oczekiwanych.

Mam wrażenie, że decydenci nadający kształt ochronie zdrowia mają uśpioną czujność. Ich wyobraźnia nie sięga po horyzont roku 2040, czy tym bardziej 2060. Wybieganie w przyszłość brzmi dla nich jak *science fiction*, a to przecież kwestia najbliższych 15 lat. Pamiętam, jak demografowie ostrzegali, że nadciąga geriatryczne tsunami – i nic się nie stało. Tymczasem ono już tu jest, już nas zalewa.

Mało tego! Pojawiły się zjawiska, których nikt nie był w stanie przewidzieć i w ogóle nie były prognozowane, jak choćby to, że w ciągu trzech czy czterech lat o jedną trzecią spadnie nam liczba porodów. Proszę zwrócić uwagę, że w Polsce do 2021 r. średnio rodziło się blisko 400 tys. dzieci rocznie, a ubiegły rok to ledwie 240 tys. urodzeń! Nie przewidywały tego żadne modele demograficzne. Ale to się stało, w dodatku szybciej i bardziej niż sądziliśmy.

I musi mieć to przełożenie na wiele aspektów sytuacji w kraju.

Na przykład na żłobki czy przedszkola, gdzie już teraz bywa, że jest więcej zatrudnionego personelu niż dzieci do opieki. I na oddziały położnicze, gdzie rodzi się np. setka dzieci rocznie, czyli jedno na kilka dni. Za chwilę podobne problemy będą jeszcze mocniej dotykać oddziałów pediatrycznych – tam już jest za dużo łóżek. Czy mamy na to dalej nie reagować? Zamykać oczy i udawać, że nic się nie dzieje?

Systemowe zmiany są jednak niepopularne.

Za to niepodejmowanie decyzji będzie jeszcze bardziej kosztowne i nie mam na myśli tylko kosztów materialnych.

Zmodernizowana infrastruktura, wzrost kadry, mnóstwo nowych leków, ale zasadniczego problemu nie rozwiązano: **kolejek do specjalistów i dalekich terminów zabiegów.**

Minister zdrowia, Jolanta Sobierańska-Grenda zasugerowała pewne rozwiązania, np. współpłacenie przez pacjentów za niektóre świadczenia. Lewica wyszła z projektem zastąpienia składki podatkiem. Jakie mogą być recepty na tę kryzysową sytuację?

W raporcie przedstawiliśmy nasze rekomendacje i podzieliliśmy je na kategorie krótko- oraz długoterminowe. Krótkoterminowo NFZ wymaga doraźnej i szybkiej stabilizacji finansów. Potrzebne są decyzje nie tylko Ministerstwa Zdrowia, ale także Ministerstwa Finansów i w ogóle rządu.

Tylko skąd wziąć pieniądze w obecnej sytuacji budżetowej?

Wiem, że sytuacja budżetu jest bardzo trudna, więc może pora zastanowić się nad emisją obligacji, czyli dodatkowym długiem publicznym, albo nad przesunięciem funduszy z innych wydatków. Jest to problematyczne choćby dlatego, że w czerwcu 2024 r. znaleźliśmy się w uruchomionej przez Komisję Europejską procedurze nadmiernego deficytu – mamy go redukować w budżecie państwa, a nie powiększać.

Myślę, że potrzebny jest zespół różnych rozwiązań. Samymi oszczędnościami na pewno nie rozwiążemy problemu, podobnie jak poprzez dosypanie pieniędzy, bo w ten sposób kupimy sobie jedynie kilka dodatkowych miesięcy i obudzimy się za chwilę z identycznymi kłopotami. System w zbyt wielu obszarach jest niewydolny i marnotrawi pieniądze.

Najczęściej ze strony środowiska lekarskiego słyszymy głosy, że głównym problemem systemu jest permanentne niedofinansowanie. Nieco ponad 6 proc. PKB wydawanego na zdrowie w porównaniu do 10 proc. PKB średniej unijnej to zdecydowanie za mało, żeby mieć nowoczesną i dostępną dla wszystkich medycynę.

W mojej ocenie nie jesteśmy daleko od średniej unijnej. Jeżeli uwzględnimy również wydatki prywatne, okaże się, że wychodzi powyżej 8 proc. PKB. Sektor prywatny w Polsce jest szacowany na dobre kilkadziesiąt miliardów złotych, więc jeżeli porównujemy się z innymi państwami wskaźnikami PKB, to róbmy to rzetelnie. Dane Eurostatu uwzględniają bowiem wszystkie wydatki, publiczne i prywatne.

Ponadto, jeśli kluczem ma być zwiększenie nakładów publicznych, to dlaczego – mimo kilkukrotnego ich wzrostu na przestrzeni ostatnich lat – nie udało się rozwiązać tak wielu problemów? Przecież w roku 2005 publiczne nakłady na zdrowie wynosiły 40 mld zł i w przełożeniu na odsetek PKB stanowiły ok. 4 proc.

Do roku 2015 kwota ta podwoiła się nominalnie do 80 mld zł, a w 2025 r. osiągnęliśmy 240 mld zł. Oznacza to wydatki na poziomie mniej więcej 6,5 proc. PKB. I co osiągnęliśmy poprzez podwojenie funduszy w pierwszym dziesięcioleciu, a w kolejnym przez potrojenie wydatków?

Myślę, że sporo się zmieniło. Mamy odremontowane, nowoczesne szpitale, nowoczesny sprzęt, dostęp do innowacyjnych leków, diagnostyki...

Tak jest! Osiągnęliśmy na pewno znaczną modernizację infrastruktury i poprawę warunków. Mamy stabilny wzrost kadry medycznej i praktycznie zerową migrację, bo rocznie do krajów UE wyjeżdża kilkadziesiąt polskich pielęgniarek i równie niewielka liczba lekarzy. Mamy mnóstwo zarejestrowanych nowych leków i dostępne nowe metody leczenia. Kłopot w tym, że zasadniczy problem nie został rozwiązany – nadal istnieją kolejki do specjalistów i dalekie terminy niektórych zabiegów.

Obywatelowi Polski trudno to pojąć.

Popatrzmy na obiektywne wskaźniki w zakresie zdrowia publicznego. Mam na

myśli oczekiwaną długość życia, długość życia w zdrowiu oraz zgony możliwe do uniknięcia. To są podstawowe, obiektywne parametry, które służą monitorowaniu stanu zdrowia populacji, a więc pośrednio również systemu ochrony zdrowia.

O ile do 2015 r. mieliśmy stosunkowo dynamiczny wzrost i poprawę tych wskaźników, tak w kolejnej dekadzie nastąpiło spłaszczenie i spowolnienie trendu. Wiem, nie wszystko może rosnąć w nieskończoność, ale akurat w okresie, kiedy trzykrotnie więcej wydawaliśmy na ochronę zdrowia, nastąpiła stagnacja.

Wniosek jest prosty, dalszy pościg za nakładami na medycynę interwencyjną bez inwestycji w zapobieganie chorobom to jazda wprost na ścianę. Na dłuższą metę, przy tak silnej potrzebie zadbania o bezpieczeństwo kraju ze względu na zagrożenia zewnętrzne, państwo nie jest w stanie udźwignąć tego ciężaru.

Jak mogę to odczytywać?

Że liczba wydanych złotówek nie może wyłącznie definiować celu, jaki chcemy osiągnąć w zdrowiu. Jeśli będziemy dążyć do wydatków publicznych na poziomie 7, 8 czy 9 proc. PKB, i tylko licytować się politycznie w obietnicach tempa dojścia do tych wskaźników, to będziemy mieli w systemie albo więcej tego samego, albo to samo, tylko drożej. A chyba nie o to nam chodzi.

Tak zwana inflacja medyczna poszybowała w ostatnich latach w górę i przekracza o ok. 2,5 punktu procentowego inflację konsumencką. Pierwszym impulsem do skokowego wzrostu wydatków w wielu krajach był covid, a potem efekt „postcovid", czyli utrzymanie w systemach ochrony zdrowia niektórych rozwiązań z czasów pandemii, m.in. poziomu wynagrodzeń, czy nawet ich wzrostu.

Jakich zmian długoterminowych wymaga w takim razie system?

Potrzebne jest stworzenie mieszanego systemu składkowo-budżetowego, w którym część dotacyjna będzie określona konkretnymi parametrami, przewidywalna i stabilna. Skoro premier jasno zadeklarował, że nie ma zgody na podniesienie składki zdrowotnej, to konsekwencją takiej deklaracji jest wskazanie innych dodatkowych źródeł przychodów.



MATERIAŁY PRASOWE

DR BERNARD WAŚKO,
dyrektor Narodowego Instytutu Zdrowia Publicznego – Państwowego Zakładu Higieny

NARODOWY INSTYTUT ZDROWIA PUBLICZNEGO

– Państwowy Zakład Higieny, wspólnie z Federacją Przedsiębiorców Polskich przy wsparciu WHO opublikował raport „Luka finansowa w ochronie zdrowia – wyzwania długoterminowe". Kreśli on dwa scenariusze: ten pesymistyczny zakłada wzrost kosztów leczenia na poziomie ostatnich kilku lat i wycenia lukę w finansach NFZ na 171 mld zł w 2040 r. oraz na 434 mld zł w 2060 r.

Scenariusz zakładający mniejszą presję kosztów prognozuje dziurę w budżecie NFZ w wysokości 112 mld zł w 2040 r. i 315 mld zł w 2060 r. Różnice te wynikają z tempa wzrostu kosztów leczenia, liczby osób potrzebujących opieki i wielkości wpływów z podatków.

Przy prognozach ogromnego spadku liczby ludności w wieku produkcyjnym (od 25 do 40 proc.), może to doprowadzić to trwałej nierównowagi finansowej systemu, a może nawet jego katastrofy.

Tylko to nie może wyglądać tak, że co kwartał minister zdrowia pielgrzymuje do ministra finansów, by cokolwiek uzyskać. W ten sposób nie da się prowadzić polityki zdrowotnej państwa.

Krótko mówiąc, potrafimy przecież policzyć, ile będziemy mieli pieniędzy ze składki, ile potrzeba na zaspokojenie potrzeb, i ile musimy dołożyć z budżetu. W pierwszym naszym raporcie pokazaliśmy, że w 2025 r. luka finansowa NFZ wyniesie 31 mld zł, tymczasem dodatkowo do kasy NFZ trafiło 32 mld zł.

Na kolejny rok założyliśmy, że będzie to ok. 40 mld zł. W planie finansowym NFZ na 2026 r. dotacja podmiotowa z budżetu wynosi 26 mld zł, ale NFZ już deklaruje, że będzie potrzebował jeszcze ponad 20 mld na przyszły rok.

Czy to możliwe, że system ochrony zdrowia w pewnym momencie się zawali? Że machina NFZ zatnie się, pieniądze na świadczenia nie będą wypłacane, a szpitale przestaną leczyć.

Opisane przez pana bankructwo systemu publicznego na pewno nie nastąpi, ale jeżeli płatnik publiczny, który ma twarde zobowiązania, nie może ich realizować w terminie już kolejny kwartał z rzędu, to co mogłoby stać się bardziej alarmującym dowodem na powagę sytuacji? Większe opóźnienia w płatnościach za świadczenia? Czy opóźnienia dwu- lub trzymiesięczne są jeszcze akceptowalne, a półroczne już nie?

Niewypłacalność systemu ochrony zdrowia nie jest realnym scenariuszem, podobnie jak w przypadku ZUS, o którym mówi się, że nie może zbankrutować, ale wiemy, że bez dotacji z budżetu państwa nigdy nie będzie w stanie się utrzymać i wypłacać emerytur.

System ubezpieczeń społecznych był zawsze prezentowany jako coś, co wymaga dotowania i w związku ze starzeniem się społeczeństwa będzie coraz większym wyzwaniem. Natomiast nigdy wcześniej nie mówiono o tym, że obciążeniem dla budżetu jest również ochrona zdrowia.

Tymczasem okazuje się, że ma ona o wiele poważniejsze problemy. W ZUS-ie dotacja budżetu wynosi mniej więcej 15 proc. wydatków rocznie. W NFZ już w 2025 r. było tyle samo, a w 2026 r. dotacja sięgnie aż 20 proc.

© Rozmawiał JERZY DZIEKOŃSKI



LORDN / SHUTTERSTOCK

Metoda na pigułkę

DOROTA STAŃCZAK

PRAWO | Utrata kontroli, lęk oraz głęboko naruszone poczucie bezpieczeństwa. Mimo rosnącej świadomości społecznej odurzanie kobiet, niejednokrotnie w celu wykorzystania seksualnego, to wciąż poważny problem.

Nie ma oficjalnych statystyk podobnych przypadków, ale z ustaleń policji wynika, że zdarzają się one nie tylko w największych miastach, ale też w mniejszych ośrodkach, jak Skarżysko-Kamienna. Przed miesiącem celnicy z Gdyni odkryli przemyt beczek zawierających środek o nazwie GBL, z którego można sporządzić niemal milion „pigułek gwałtu".

Sprawcy wykorzystują różne, często trudne do wykrycia substancje, a objawy bywają mylone z przemęczeniem lub działaniem alkoholu. Jedno pozostaje niezmienne: osoba odurzona nigdy nie jest winna temu, co ją spotkało – odpowiedzialność zawsze spoczywa na sprawcy. Dla ofiary najważniejsze jest to, by nie została ze swą traumą w samotności.

– Popularna klubokawiarnia na warszawskim Muranowie, wieczorna potańcówka. Wcześniej pracowałam w tym miejscu jako kelnerka, więc cała obsługa lokalu oraz część klientów była mi dobrze znana – wspomina Wiktoria, studentka jednej z warszawskich uczelni. – Zamówiłam drinka i rozmawiałam z koleżanką, która stała wtedy za barem. W pewnym momencie podeszło do nas dwóch chłopaków, wydawali się mieć najwyżej 25 lat. Z jednym mogłabym się nawet umówić, bo sprawiał wrażenie miłego mężczyzny. Spędziliśmy razem trochę czasu, potem było wyjście na szybkiego papierosa. Gdy wróciłam, po pewnym czasie całkowicie straciłam świadomość. Nie pamiętam, jak dotarłam do domu.

O tym, że Wiktorii zamówiono taksówkę, dowiedziała się następnego dnia od koleżanki z klubokawiarni. Zaczęła się zastanawiać: to był przecież tylko jeden drink. Jeden. A mężczyźni, z którymi rozmawiała, wyglądali zupełnie normalnie. Nic nie wzbudzało podejrzeń. – Cieszę się, że w tej okropnej sytuacji znajdowałam się w miejscu, gdzie byli życzliwi ludzie, którzy mnie z nimi nie zostawili. Uratowała mnie kobieca solidarność, moja koleżanka zareagowała od razu, oni zaś szybko sobie poszli. Gdyby nie ona, mogłoby się to dla mnie źle skończyć.

Środki odbierające wolność

Do najczęściej używanych substancji należą GHB, GBL oraz ketamina, czasem też dostępne na receptę benzodiazepiny. Kobiety, które doświadczyły odurzenia, wskazują wspólne mianowniki: nie widziały nic podejrzanego i nie czuły momentu, w którym straciły kontrolę nad własnym ciałem.

– W przypadku GHB, czyli kwasu gamma-hydroksymasłowego, wykorzystywany jest fakt, że łatwo rozpuszcza się on w cieczy, szybko wchłania i niemal natychmiast działa, powodując spowolnienie, zaburzenia mowy oraz brak koordynacji ruchowej. Ofiara odurzona substancją psychoaktywną bywa często mylona z osobą w stanie upojenia alkoholowego – mówi dr Eryk Matuszkiewicz, toksykolog ze Szpitala Miejskiego im. F. Raszei w Poznaniu. – Kluczowa jest jednak gwałtowność objawów. W relacjach pacjentek, które wypiły nawet jeden kieliszek wina, powtarzają się informacje o zamazanym polu widzenia i gwałtownym pogorszeniu świadomości, a dzieje się to już po kilkunastu minutach. Alkohol działa inaczej, stopniowo, od efektu euforycznego po stopniowe odurzenie – wyjaśnia lekarz, dodając, że „pigułka gwałtu" działa szybko, ale równie prędko ulega metabolizmowi i znika z organizmu. Okno diagnostyczne bywa zaskakująco krótkie. – Obecność GHB we krwi możemy stwierdzić do około ośmiu godzin, a w moczu do około dwunastu. Co istotne, ofiara odzyskuje świadomość dość nagle, bez stopniowego wybudzania się – podkreśla dr Matuszkiewicz.

Ta „ulotność" chemiczna sprawia, że wiele ofiar, próbujących zrozumieć, co się wydarzyło, nie podejmuje działań od razu. Tymczasem szybkie zgłoszenie przestępstwa uruchamia procedury, które mogą pomóc zebrać ślady, sprawdzić monitoring, udzielić wsparcia i zapobiec kolejnym atakom. Warto więc natychmiast pojechać na SOR lub do przychodni. Trzeba też zgłosić sprawę policji, nawet przy braku pełnych wspomnień.

Takie małe ukłucie

Do znanych metod odurzania dołączyło ostatnio nowe, niepokojące zjawisko – *needle spiking*, czyli podanie substancji za pomocą drobnego ukłucia igłą. Objawy to nagłe pieczenie w ramieniu lub nodze, a następnie zawroty głowy, dezorientacja i obniżenie napięcia mięśniowego. Ślad po ukłuciu bywa niemal niewidoczny, przypomina ugryzienie komara. Podejrzewając taką metodę, przed zgłoszeniem sprawy nie powinno się myć miejsca ukłucia i nie zmieniać ubrania.

Choć potwierdzenie takich przypadków jest trudne (z uwagi na błyskawiczny metabolizm substancji), schemat działania znany jest ze środowisk klubowych oraz imprez masowych w Wielkiej Brytanii, Niemczech i Francji, gdzie w czerwcu 2025 r. zatrzymano 12 podejrzanych o zastosowanie tej „broni" przeciwko co najmniej 145 osobom podczas muzycznego festiwalu.

Niezależnie od metody podania, relacje osób odurzonych mają wspólne elementy: zwykły wieczór, często znajome miejsce, brak zachowań ryzykownych lub nierozsądnych – a mimo to nagła utrata świadomości.

– Nigdy nie byłam typem klubowiczki, ale przyjaciółka namówiła mnie na wyjście, bo była świeżo po rozstaniu. Czułam się pewnie, to przecież Warszawa, ulica Mazowiecka. Miały być dwa drinki, trochę tańca i do domu – wspomina Marta, dodając, że obie czuły się pewnie, bo miał do nich dołączyć jeszcze znajomy, a klub wyglądał na bezpieczny. Zamówiły po drinku, trochę rozmawiały z innymi ludźmi. – Mam wrażenie, że nie spuszczałam szklanki z oka. Wypiłam może trzy czwarte, gdy zaczęłam czuć się dziwnie. Najpierw było mi duszno, potem naprzemiennie gorąco i zimno. Ciało zaczęło odmawiać posłuszeństwa – wspomina Marta.

Po chwili poszła do toalety opłukać twarz zimną wodą. Tam wszystko potoczyło się błyskawicznie. W lustrze zobaczyła rozszerzone źrenice, jej nogi zaczęły się uginać. W pewnym momencie otworzyły się drzwi do toalety i wszedł mężczyzna. – Chwycił mnie za rękę i pociągnął do jednej z kabin. Nie byłam w stanie się bronić, bo ciało przestało reagować. Próbował mnie rozebrać. Byłam jak sparaliżowana – mówi drżącym głosem. – Pamiętam, że w pewnym momencie ktoś zaczął walić w drzwi. To była moja przyjaciółka, która szukała mnie zdenerwowana. Mężczyzna uderzył ją drzwiami i uciekł.

Około szóstej rano Marta zaczęła gwałtownie wymiotować. Rodzice zawieźli ją do szpitala, gdzie badania potwierdziły obecność GHB. Wtedy zupełnie przestała chodzić do klubów. – Zawsze czuję napięcie, gdy jestem w tłumie albo w miejscu, gdzie nie mam pełnej kontroli nad otoczeniem. Podejrzewam, że mężczyzna, który to zrobił, współpracował z barmanem. Najbardziej przeraża mnie to, że zrobiłam wszystko „zgodnie z zasadami", a i tak zostałam ofiarą – dodaje.

Sprawdź swojego drinka

W ślad za podobnymi historiami pojawiają się w Polsce nowe rozwiązania mające zwiększyć bezpieczeństwo kobiet. Np. bransoletki i testy barwne pozwalające sprawdzić, czy napój został skażony substancją psychoaktywną. Wystarczy nanieść kroplę płynu na specjalną powierzchnię; zmiana koloru to sygnał alarmowy.

– Świadomość kobiet bardzo się zmieniła. Znają i korzystają z narzędzi, które pomagają im się bronić. Testy „Check Your Drink" są małe i można je zawsze mieć przy sobie. Tyle że problem dotyczy nie tylko klubów. Zdarzają się mężowie odurzający swe żony albo mężczyźni dosypujący koleżankom te substancje w pracy – mówi Magdalena Białkowska, prowadząca instagramowy profil edukujący kobiety w zakresie bezpieczeństwa. Jak podkreśla, w Polsce powoli udaje się przełamywać kulturowo zakorzenione przeświadczenie, że kobiety przesadzają, są zbyt emocjonalne i podejrzliwe. – Zawsze też powtarzam obserwatorkom mojego profilu, jak ważna jest świadomość otoczenia, idąca w parze z pewnością siebie. Wyprostowana sylwetka, donośny ton głosu. Ważna jest czujność i asertywność w pewnych sytuacjach, choćby wtedy, gdy nieznany mężczyzna prosi kobietę o pomoc.

Zdaniem Białkowskiej, przydatne jest posiadanie przy sobie akcesoriów do samoobrony, ale tylko takich, których potrafimy używać. Gazy pieprzowe trzeba przetestować, by wiedzieć, jaka musi być siła nacisku, jak daleki i gęsty jest wyrzut. Dostępne są też dyskretne alarmy osobiste, odstraszające sprawcę głośnym dźwiękiem, a także małe paralizatory, które w Polsce są legalne. – Wokół nich stworzyło się kilka mitów, choćby przekonanie, że jeśli sprawca będzie miał rozrusznik, to go zabijemy. Totalna nieprawda – podsumowuje Magdalena Białkowska.

Hasło dla anioła

Kilka lat temu angielska organizacja działająca na rzecz walki z przemocą wobec kobiet, The Lincolnshire Rape Crisis, stworzyła koncepcję hasła bezpieczeństwa w formie nazwy drinka. „Angel shot" jako komunikat skierowany do obsługi lokalu ma chronić przed przemocą seksualną. Do Polski trafił niedawno, ale coraz więcej lokali deklaruje chęć jego wdrożenia. Ostatnio również festiwal Open'er poinformował, że uczestniczki tej imprezy będą mogły wykorzystać hasło, jeśli poczują się zagrożone lub zdezorientowane.

Jeden z wrocławskich barów zdecydował się wywiesić w damskiej toalecie instrukcję „zamawiania" trzech wariantów anielskiego „drinka". Angel Shot – wezwanie taksówki; Angel Shot z lodem – odprowadzenie do niej przez ochronę; Angel Shot z limonką – prośba o wezwanie policji. Właściciele i klienci lokalu są przekonani, że już samo to manifestacyjne ogłoszenie może wpływać zniechęcająco na sprawców. Oby jak najwięcej lokali poszło tym śladem. ©

GDZIE SZUKAĆ POMOCY

- **Telefon Zaufania dla Ofiar Przemocy**
  800 120 002
- **Linia Pomocy Pokrzywdzonym**
  22 230 99 00
- **Telefon Zaufania dla Dzieci i Młodzieży**
  116 111
- **Fundacja Feminoteka**
  888 883 388
- **Centrum Praw Kobiet:**
  Warszawa 600 070 717
  Kraków 780 079 988

OLGA

Drenda: *Literaliści*



A więc tak może wyglądać nowe średniowiecze, pomyślałam, kiedy dowiedziałam się o tej wymianie zdań. Oto osoba publiczna A, krytykując przeciwnika w publicystycznym zapale, użyła sformułowania „zachowywać się jak pies Pawłowa". Tę wypowiedź relacjonowała później osoba publiczna B, mówiąc, że „osoba A porównała człowieka do psa". Trudno odczytać to inaczej niż celowe przeinaczenie w złej wierze, ale takie traktowanie cudzych wypowiedzi jest niestety naszą smutną rzeczywistością od długiego czasu i nie o tym tu będzie mowa. Ważne jest to, co pozostało w wypowiedzi osoby B. Dodajmy, że wykształconej i wygadanej, więc z pewnością świadomej, że „pies Pawłowa" to frazeologizm dotyczący odruchów warunkowych, a nie samego psa.

W oskarżeniu rzuconym przez osobę publiczną B nie ma znaczenia to, co naprawdę zostało powiedziane, w jakim kontekście, czy była to krytyka zasadna. To sprawy z innego, nowoczesnego porządku, a tu trzeba przyłożyć perspektywę myślenia magicznego. Osoba B wyciągnęła z całej wypowiedzi jedynie „zniewagę symboliczną" dokonaną przy pomocy użycia słowa „pies", które zinterpretowała obraźliwie, jakby był to staropolski „psubrat". Uraza symboliczna to jakby „skażenie przez kontakt", trochę w myśl zasady magii zaraźliwej: co się ze sobą zetknie, pozostaje połączone na zawsze. Czyli ponieważ adresat i metaforyczny pies znaleźli się w jednym zdaniu, to adresat jakby mocą klątwy stał się psubratem. Jest to zarzut absurdalny, ale by móc go odeprzeć, trzeba nauczyć się mówić i rozumować również w taki sposób.

Umberto Eco, a potem Slavoj Žižek zaproponowali hipotezę „nowego średniowiecza", czyli właściwości zglobalizowanego świata, które przypominałyby raczej dawne wieki niż rzeczywistość po oświeceniu. Miałoby to dotyczyć nie tylko rozdrobnienia lojalności politycznych wewnątrz umownego wspólnego świata, przywiązania do rozdrobnionych tożsamości czy wzrostu znaczenia bytów innych niż państwa, ale także jednoczesnego funkcjonowania niekompatybilnych ze sobą modeli rozumienia świata. W tym takich, które z oświeceniowym kryterium rozumu nie mają nic wspólnego i które można zbyć terminem „irracjonalne". Nie trzeba ich szanować, ale skoro istnieją w tym samym świecie, należy brać ich istnienie pod uwagę nawet dla własnego dobra – nigdy nie wiadomo, czy nie będziemy mieć z nimi do czynienia.

Niektóre sytuacje nadal można określić tylko jako głupie jak but z lewej nogi



OLGA DRENDA

Nasze nowe średniowiecze zapowiada się przy tym na znacząco głupsze i gorsze od oryginalnego i obawiam się, że nie przyniesie nam nowej, powiedzmy, świętej Hildegardy. Bowiem w średniowieczu właściwym nadawca i odbiorca jakiegoś skrótu myślowego, rzeźby zdobiącej portal, ilustracji w manuskrypcie czy pieśni, porozumiewali się mniej więcej tym samym kodem, opartym na znajomości Biblii, języku symboli czy elementach wiedzy starożytnej. I choć dzieła podlegały wówczas nieustannym, dość swobodnym remiksom, to bazowy kod był ogólnie zrozumiały. Teraz zmierzamy raczej w kierunku płaskiej dosłowności i myślenia magicznego wykorzystywanego tylko instrumentalnie.

Dzisiaj poczucie bycia „skażonym" przez związek frazeologiczny lub metaforę opiera się na tym, co Olga Tokarczuk nazwała literalizmem, czyli odmową rozumienia znaczeń przenośnych, symboli, ilustrowania poprzez przykład. Gdy poseł Kowalski głosił, że wyrażenie „nóż się w kieszeni otwiera" oznacza zapowiedź napaści bronią białą, to nie tylko testował możliwości udawania Greka czy popularnej dziś figury polityka-klowna. Zakładam, że prawdopodobnie nie poważa noblistki, ale postanowił uczyć się od swych wrogów, a to cenna umiejętność. I choć przeholował, to niestety prawdopodobnie miał trafne intuicje. Literalizm – przemyślne, strategiczne udawanie, że się czegoś nie rozumie, przeinaczanie w celu udowodnienia, że ktoś podle ugodził nas w samo sedno naszego jestestwa i godności, ma przed sobą zapewne wielką przyszłość.

Osoba B z wyrażenia „pies Pawłowa" wyciągnęła jedynie „psa". To jawnie urąga kompetencjom ludzkiego umysłu i wyobraźni „zwierzęcia symbolicznego", jak człowieka określił filozof Ernst Cassirer. Jakby nie istnieli Ezop, Krasicki, średniowieczne bestiariusze i szereg przysłów, powiedzeń, porzekadeł, herbów, totemów, bajek i baśni. To część naszego bazowego oprogramowania, że umiemy stosować umowne analogie, w tym celu porównując się nie tylko np. do psa, mrówki, gdy jesteśmy pracowici, lub ptaka, gdy czujemy się wolni, ale także do roślin albo wręcz do bytów nieożywionych.

Możliwe zatem, że świat będzie „na nowo zaczarowany", ale może zostać zaczarowany pokracznie, brzydko. Cóż jednak zrobić – trzeba sobie z tym radzić. Kiedyś istniała w internecie strona o nazwie „Wyjdź z domu, może na twoim podwórku nap... się magowie". Aby umieć zwyciężyć w takiej konfrontacji, warto poczytać nowoczesne księgi. I zacząć np. od „Czystości i zmazy" Mary Douglas. ©

Olga Drenda jest etnolożką, pisarką i instagramerką. Wydała m.in. „Duchologię polską", „Wyroby" (Nagroda Literacka Gdynia 2019) oraz „Słowo humoru".

TYGODNIK POWSZECHNY

Prenumeruj „Tygodnik Powszechny”



fot. Grażyna Makara

Wiarygodność stała się nadrzędnym dobrem.
I o nią głównie staramy się dbać.
Naszą marką jest suwerenność: sami odpowiadamy
za publikowane tu treści i nikt poza Wami, Czytelnikami,
nie ma na nie wpływu.

Ks. Adam Boniecki

Dziękujemy, że są Państwo z nami – z pismem, które szuka sensu tam, gdzie inni widzą sensację.
Dzięki Państwa wsparciu możemy co tydzień tworzyć przestrzeń do rozmowy o społeczeństwie, kulturze i duchowości – o świecie, który ma wiele stron, a każdą z nich warto przeczytać ze zrozumieniem.



PREZENT!

– dostęp do wydania cyfrowego na czas trwania prenumeraty*

OFERTA CENOWA:

InPost	Roczna	cena **686 zł**
	Półroczna	cena **366 zł**

Zamówienia prenumeraty z dostawą przez Paczkomat InPost można dokonać **TYLKO** przez konto w serwisie TygodnikPowszechny.pl

Poczta	Roczna	cena **687 zł**
	Półroczna	cena **367 zł**

prenumerata.TygodnikPowszechny.pl

Rachunek bankowy do wpłat: Bank Pekao SA, nr konta: **49 1240 4533 1111 0000 5431 1987**

„Tygodnik Powszechny”,
ul. Dworska 1C/LU 3–4, 30-314 Kraków
tel. 668 479 075 (w godz. 12:00-15:00),
adres e-mail w sprawie prenumeraty:
prenumerata@TygodnikPowszechny.pl

**ABY GO AKTYWOWAĆ:*
- *Zamów i opłać prenumeratę „Tygodnika Powszechnego”.*
- *Jeśli nie masz konta, załóż je w serwisie internetowym „Tygodnika Powszechnego”.*
- *Z adresu e-mail przypisanego do konta wyślij wiadomość na* ***bok@TygodnikPowszechny.pl*** *z tematem: „Dostęp do serwisu TP w prezencie”, a w treści podaj adres pocztowy, na który zamówiono i opłacono prenumeratę.*

Po spełnieniu powyższych warunków dostęp zostanie przyznany w ciągu 14 dni.

Razem tworzymy „Tygodnik”

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY



TRUMP DOPIERO ROZWIJA SKRZYDŁA

PETER D. FEAVER, POLITOLOG, URZĘDNIK ADMINISTRACJI GEORGE'A W. BUSHA:

W minionym roku większość krajów unikała konfrontacji z Trumpem, obchodząc się z nim jak z jajkiem i karmiąc jego ego. To tylko dodało mu apetytu na przesuwanie kolejnych granic.

LUIS M. ALVAREZ / AP / EAST NEWS

MARTA ZDZIEBORSKA: Donald Trump zaczął rok 2026 od ataku na Wenezuelę i gróźb siłowego przejęcia Grenlandii. Spodziewał się Pan takiego „imperializmu na sterydach”?

PETER. D. FEAVER: Zupełnie nie. Pojmanie Nicolása Maduro to najbardziej ryzykowne działanie Trumpa od początku jego drugiej prezydentury. To przebiło nawet jego szarżę celną, którą mógł korygować w zależności od reakcji poszczególnych państw. Gdy Chiny uderzyły pięścią w stół, Trump robił krok w tył. Miał w tej sytuacji jakieś wyjście awaryjne. W przypadku Wenezueli nie może cofnąć czasu. Nie przywróci Maduro na urząd prezydenta.

Trump chciał go obalić już w trakcie pierwszej kadencji. Jednak to teraz wysłał do Caracas komandosów, którzy ponoć dosłownie wyciągnęli Maduro z sypialni. Zaryzykował, bo w 2028 r. nie będzie ubiegać się o reelekcję?

Nie znam odpowiedzi na to pytanie. Ale mam kilka teorii. Pierwsza jest taka, że Trump nabrał ochoty na większe ryzyko, bo ani amerykański Kongres, ani inne kraje nie stawiały mu w zeszłym roku większego oporu. Za wyjątkiem Chin, większość państw unikała bezpośredniej konfrontacji z Trumpem, obchodząc się z nim jak z jajkiem i karmiąc jego ego.

A to tylko dodało mu apetytu na przesuwanie kolejnych granic. To jest o tyle łatwiejsze, gdyż prezydent dobrał sobie lojalnych doradców, którzy raczej nie ostrzegą go przed konsekwencjami jego działań. Są mocno oddani sprawie, w niektórych kwestiach nawet bardziej niż Trump.

Jakiś przykład?

Weźmy Stephena Millera, który odpowiada za politykę migracyjną, albo sekretarza obrony Pete'a Hegsetha, przeciwnika liberalnych porządków w armii USA. Trudno tu o trzeźwe myślenie. O kogoś, kto powie: „panie prezydencie, stop, pora się zatrzymać”.

Mówi Pan, że Trump nabrał chęci na większe ryzyko. A może ten apetyt wynika z potrzeby przykrycia problemów wewnętrznych i niespełnionej obietnicy, że szybko zakończy wojnę w Ukrainie? Czy to przypadek, że Trump zaserwował światu pokaz siły w Wenezueli akurat na niecałe trzy tygodnie przed pierwszą rocznicą objęcia urzędu?

Gdybyśmy mieli do czynienia z tradycyjnym prezydentem, można by uznać, że to była główna motywacja Trumpa. Ale to nie jest Joe Biden, Barack Obama czy Bill Clinton. To polityk budzący skrajne emocje, który już dawno stracił poparcie wielu Amerykanów. Wyjątkiem jest wierny mu ruch MAGA, który do tej pory odwrócił się od niego w zasadzie tylko w jednej sprawie, tej dotyczącej Jeffreya Epsteina.



Po miesiącach uników Trump ugiął się przed żądaniami ruchu MAGA i podpisał ustawę o ujawnieniu akt w sprawie Epsteina, nieżyjącego już finansisty i pedofila. To musiało go mocno zaboleć.

Trudno mi jednak uwierzyć, że atak na Wenezuelę miał odwrócić uwagę od jego kryzysu wizerunkowego. Nie mieści mi się to w głowie. To, że do pojmania Maduro doszło niedługo po ujawnieniu akt w sprawie Epsteina [stało się to w drugiej połowie grudnia 2025 r. – red.], wydaje się przypadkiem.

Jaki jest długofalowy cel interwencji USA wobec Wenezueli? To, że Trump chce dobrać się do złóż ropy w tym kraju, jest jasne. Ale czy myśli o nich także jako o narzędziu służącym do osłabiania Chin albo Rosji?

Odpowiem, czego mogą chcieć doradcy Trumpa. Stephen Miller dąży zapewne do zacementowania amerykańskiej strefy wpływów na zachodniej półkuli. Z kolei sekretarzowi stanu Markowi Rubio zależy na rozprawieniu się z reżimem na Kubie [Rubio jest Amerykaninem o kubańskich korzeniach – red.]. Gdyby to się udało w trakcie jego urzędowania, byłby to dla niego ogromny sukces.

W ramach tej kalkulacji Kuba, odcięta od dostaw wenezuelskiej ropy, pogrąża się w coraz większych problemach gospodarczych, a to podsyca antyrządowe nastroje. Czego Trump chce więc od Wenezueli oprócz ropy?

Nie sądzę, żeby miał tu jakąś dalekosiężną strategię. Po prostu chciał łatwego zwycięstwa i myślę, że tak mu został przedstawiony plan operacji w Wenezueli: obalimy rządy prezydenta Maduro i zyskamy dostęp do wenezuelskiej ropy bez konieczności okupowania kraju.

Myślę, że gdyby doradcy podszepnęli Trumpowi, że lepiej zaatakować Kolumbię, to właśnie tam wysłałby komandosów. Choć inna sprawa, że Wenezuela jest atrakcyjniejsza właśnie ze względu na ropę. To taki tort z większą liczbą wisienek.

Jednak na zjedzenie tego tortu trzeba długo poczekać, bo wenezuelski przemysł naftowy wymaga ogromnych inwestycji, a amerykańskie firmy nie garną się, by wejść na ten rynek.

Dla Trumpa to są technikalia. Najważniejsze jest dla niego, że mógł obwieścić sukces operacji w Wenezueli.

Na łamach czasopisma „Foreign Affairs” dziwi się Pan, że to zachodnia półkula, a nie Chiny są w centrum polityki zagranicznej Trumpa. Ale czy te dwie kwestie się nie łączą? Stany muszą przecież torpedować chińskie wpływy w Ameryce Łacińskiej. Wybrzmiało to po ataku na Wenezuelę: Rubio mówił, że USA nie pozwolą, ↦

↦ **by zachodnia półkula była przyczółkiem dla działań ich rywali.**

To tylko retoryka. Nie sądzę, żeby to był główny motor działań administracji Trumpa. Jeśli Stany rzeczywiście chciałyby ograniczyć wpływy Chin na zachodniej półkuli, to zwiększyłyby inwestycje w tym regionie i nie wstrzymałyby pomocy rozwojowej w ramach USAID.

To, jak Trump patrzy na Chiny, pokazuje nowa strategia bezpieczeństwa narodowego USA. Dużo jest w niej o rywalizacji ekonomicznej, ale nie mówi się otwarcie o zagrożeniach militarnych ze strony Pekinu. To dobrze oddaje mentalność Trumpa. On nie jest jastrzębiem w sprawie Chin.

Co innego wynikało ze strategii bezpieczeństwa narodowego za jego pierwszej kadencji. Tam dużo mówiło się o zagrożeniach ze strony Pekinu.

Prace nad tamtą strategią nadzorował Herbert Raymond McMaster [generał, w latach 2017-18 doradca Trumpa ds. bezpieczeństwa – red.]. To był prawdziwy jastrząb w sprawach chińskich. Ale to były czasy, gdy Trump miał wokół siebie sporo doradców z tradycyjnego skrzydła Partii Republikańskiej.

Dziś Trump zapewne myśli o Chinach, podpisując umowy na wydobycie surowców, w tym metali ziem rzadkich, kluczowych dla uniezależniania się Stanów właśnie od chińskich dostaw. Zrobił to m.in. przy okazji starań o pokój między Rwandą a Demokratyczną Republiką Konga, gdzie prężnie działają chińskie firmy wydobywcze.

Gdyby naszej rozmowie przysłuchiwał się teraz ktoś z administracji Trumpa, to powiedziałby, że jesteśmy niesprawiedliwi i że błędnie oceniamy działania Białego Domu. Bo przecież Trump wierzy, że dzięki tym wszystkim „dealom" Ameryka będzie jeszcze bogatsza i silniejsza, co zapewni jej dalszą przewagę nad Chinami.

Pierwszy rok drugiej prezydentury Trumpa dobitnie pokazał, że Ameryka nie chce być globalnym policjantem i skupia się na realizacji własnych interesów. Co to będzie dalej oznaczało dla Europy?

Zacznę od spraw budzących nadzieję. W reakcji na politykę Białego Domu Europa stawia na wzmacnianie swoich zdolności obronnych. Europejczycy nie powiedzieli sobie: „Skoro Ameryka nie będzie chciała nas chronić, to my się poddajemy".

Z drugiej strony, pomimo licznych gróźb i traktowania prezydenta Wołodymyra Zełenskiego w skandaliczny sposób, Trump nie wstrzymał pomocy wojskowej dla Ukrainy. Owszem, to nie jest duża czy solidna pomoc, ale przynajmniej nie wyciągnął całkowicie wtyczki. Jednocześnie jego ostatnie wypowiedzi na temat Grenlandii głęboko podważają morale i spójność NATO.

Aby rozpocząć operację w nowym miejscu, amerykańskie wojsko musi najpierw przegrupować tam siły. **I taki dylemat ma teraz administracja Trumpa od Wenezueli po Nigerię, Syrię, Iran i Grenlandię.**

Biały Dom oświadczył, że interwencja wojskowa jest jedną z opcji rozważanych w celu przejęcia duńskiej Grenlandii. Czy to tylko retoryka mająca zmiękczyć Duńczyków, by sprzedali wyspę lub poszli na inne ustępstwa?

Podczas spotkania z członkami Kongresu sekretarz stanu Marco Rubio miał powiedzieć, że Stany nie szykują się do militarnego przejęcia Grenlandii. Że ich celem jest zakup tej wyspy. Tak przedstawia to Rubio. Z kolei Stephen Miller, wspomniany już wpływowy doradca Trumpa, patrzy na to inaczej.

W wywiadzie dla CNN Miller – dociskany, czy Ameryka rozważa siłowe przejęcie wyspy – odparł, że Grenlandia powinna być częścią Stanów i że „nikt nie będzie walczył zbrojnie z USA o jej przyszłość".

Na koniec i tak w tej sprawie decyduje Trump i nie sądzę, żeby był już pewien, co zrobi. Myślę, że to w dużej mierze zależy od rozwoju wypadków w Wenezueli. Na razie plan Białego Domu dla Wenezueli jest taki: tamtejszy reżim utrzymuje pokój w kraju, a Amerykanie skupiają się na maksymalizacji zysków z wydobycia wenezuelskiej ropy.

Jeśli jednak reżim w Caracas zacznie tracić kontrolę nad sytuacją i kraj pogrąży się w chaosie, który doprowadzi dodatkowo do kryzysu uchodźczego, to Biały Dom pomyśli dwa razy, zanim wykona kolejny ryzykowny ruch.

Widać to na przykładzie polityki wobec Iranu. Trump jednego dnia sugeruje, że skłania się do ataku na ten kraj, a już nazajutrz łagodzi retorykę, mówiąc, że dostał zapewnienie, iż reżim odwołał plany egzekucji demonstrantów.

Ameryka jest jedyną potęgą zdolną do przeprowadzania operacji wojskowych na całym świecie, ale nawet ona nie może pozwolić sobie na kilka działań jednocześnie. Aby rozpocząć operację w nowym miejscu, amerykańskie wojsko musi najpierw przegrupować tam siły. Oczywiście, zawsze można otworzyć kolejny front, ale to będzie wiązało się z podjęciem znacznie większego ryzyka. I właśnie taki dylemat ma teraz administracja Trumpa, rozważająca interwencję lub kontynuację działań na całym świecie – od Wenezueli po Nigerię, Syrię, Iran i Grenlandię. Jednocześnie Ameryka nie może osłabić swojej obecności na Indo-Pacyfiku, bo to kluczowe dla odstraszania Chin. To wyzwanie nawet dla najlepszych zespołów ds. bezpieczeństwa narodowego.

Wróćmy do Europy. Trump będzie dalej zmniejszał liczbę amerykańskich żołnierzy na kontynencie, pomimo utrudniających mu to obostrzeń w ustawie o wydatkach na obronność?

Nie sądzę, żeby ta ustawa mogła powstrzymać Trumpa, jeśli będzie zdeterminowany, by doprowadzić do upadku NATO. Przepisy, o których mówimy, nie są na tyle silne, by realnie związać ręce prezydenta w sprawie redukcji wojsk. Ale sam Trump może być tu głównym hamulcowym, jeśli jego doradcy – ci prona-

towscy – przekonają go, że doprowadzenie do upadku NATO będzie jego wielką strategiczną porażką.

Pamiętajmy, że za pierwszej prezydentury Trump zrezygnował z wycofania wojsk USA z Afganistanu, bo doradcy uświadomili mu, że to położy się cieniem na jego dorobku. Gorzką pigułkę związaną z wycofaniem żołnierzy połknął następny prezydent, Joe Biden.

Jak ten strach przed porażką może przełożyć się na kwestię wojny w Ukrainie? Były ostatnio momenty, gdy Trump wyraźnie tracił cierpliwość do Putina. Ale czy ostatecznie nie wygra tu chęć ekonomicznego „resetu" z Rosją?

Niewykluczone. Myślę, że Trump uważa – podobnie jak jego poprzednicy, no, może za wyjątkiem Bidena – że odbudowa relacji z Rosją byłaby dużym osiągnięciem. Do tego Putin dobrze rozumie Trumpa, mówi jego językiem i już wielokrotnie zdołał odwieść go od bardziej proukraińskiego stanowiska, do którego Trump już-już dał się przekonać swoim doradcom.

Z drugiej strony trudno mi wyjaśnić ostatnią decyzję Waszyngtonu, aby przechwycić tankowiec pod rosyjską banderą, który próbował wcześniej dotrzeć do Wenezueli. To konfrontacyjny ruch wobec Rosji.

Za to Trump jest spójny w jednej sprawie: w przekonaniu, że świat wykorzystuje Amerykę i że pora wystawić za to rachunek.

Każdego amerykańskiego prezydenta to frustrowało, ale każdy dochodził do wniosku, że trzeba przymknąć na to oko, bo ważniejsze są relacje z sojusznikami. Trump nie zamierza tu odpuścić i to jest podstawowa różnica.

Skupmy się na samych Stanach, gdzie Trump również testuje granice swojej władzy. Co najbardziej zapadło Panu w pamięć w minionym roku?

Odwołanie członków kilku niezależnych agencji regulacyjnych. Trump zrobił to, choć mają oni zagwarantowaną częściową niezależność od władzy wykonawczej. Drugi mocny przykład to wysyłanie żołnierzy Gwardii Narodowej na ulice amerykańskich miast.



PETER D. FEAVER / ARCHIWUM PRYWATNE

PETER D. FEAVER (ur. 1961) jest politologiem na Uniwersytecie Duke'a (w Karolinie Północnej). W latach 2005-07 pracował w administracji republikańskiego prezydenta George'a W. Busha, był członkiem Rady Bezpieczeństwa Narodowego jako doradca ds. planowania strategicznego i reform instytucjonalnych. W Radzie tej zasiadał również wcześniej za prezydentury Billa Clintona (1993-94), jako dyrektor ds. polityki obronnej i kontroli zbrojeń. Autor książek o wojskowości oraz analiz, które ukazują się w czasopismach „Foreign Affairs" i „Foreign Policy".

Trump robił to bez zgody gubernatorów stanów. Gdy jednak Sąd Najwyższy podważył jego decyzję o skierowaniu gwardzistów do Chicago, Trump ogłosił, że rezygnuje z wysyłania ich do tego miasta, a także do Los Angeles i Portland. Czy obawy o kryzys konstytucyjny w USA są na wyrost?

Do tej pory system działa dość dobrze. Gdy sądy lub Kongres stawiają opór Trumpowi, on się zazwyczaj dostosowuje.

Dużą próbą dla amerykańskiej demokracji będzie oczekiwany wkrótce werdykt Sądu Najwyższego w sprawie legalności polityki celnej Trumpa. Jeśli orzeczenie będzie nie po jego myśli, co byłoby dla niego ogromną porażką, to prezydent może mieć pokusę, by stawiać opór. A to byłaby prosta droga do kryzysu konstytucyjnego.

Wciąż rozmawiamy, jaki Trump jest zły. A co dobrego zrobił dla Ameryki i świata?

Współpracował z Kongresem, by zwiększyć wydatki na obronność w tegorocznym budżecie, i właśnie ogłosił, że chce jeszcze większych funduszy na obronę w 2027 r.

Jeśli chodzi o politykę zagraniczną, dobrym ruchem był zeszłoroczny atak na obiekty nuklearne w Iranie, co opóźniło prace nad irańskim programem atomowym. Dobrym ruchem było też doprowadzenie przez Trumpa do porozumień pokojowych w kilku konfliktach. Wprawdzie niektóre nie przyniosły trwałego zakończenia walk, ale należy docenić te starania.

Jeśli idzie o ekonomię, Trump na szczęście zachował zdrowy rozsądek i nie trzymał się sztywno ogłoszonych przez siebie stawek celnych na towary importowane do USA. Był elastyczny w negocjacjach z innymi państwami. Amerykańska gospodarka jest dziś w lepszym stanie, niż prognozowano jeszcze w kwietniu 2025 r.

Czy im bliżej będzie do wyborów do Kongresu w listopadzie tego roku, tym bardziej Trump będzie skupiać się na polityce wewnętrznej, by nie zaszkodzić swojej partii? Wyborcy chcą niższych kosztów życia, a nie realizacji imperialistycznych ambicji Białego Domu.

Na pewno Trump będzie więcej mówić o sprawach wewnętrznych, ale niekoniecznie przełoży się to na realne działania. Przy dzisiejszym rozkładzie sił w Kongresie przepychanie reform jest trudne. Wyjątkiem jest polityka migracyjna, tu na pewno Trump będzie prężnie działał. Z całą pewnością będzie jednak dalej mocno skupiać się na polityce zagranicznej, bo to właśnie na arenie międzynarodowej może zdziałać więcej.

Czyli nie przystopuje, choć w przypadku wygranej w listopadowych wyborach Demokraci mogą zaserwować mu kolejny proces impeachmentu, tym razem w związku z atakiem na Wenezuelę?

Nie sądzę, by Trump przystopował. Chyba że sytuacja w Wenezueli stanie się dla Stanów tak dużym obciążeniem, jak kiedyś Irak. W przeciwnym razie prezydent będzie mógł dalej rozwijać skrzydła w swojej polityce zagranicznej.

© Rozmawiała MARTA ZDZIEBORSKA

Autorka jest dziennikarką „Press" i byłą korespondentką w USA. Stale współpracuje z „Tygodnikiem".



Susza w Daraa

AMADEUSZ ŚWIERK Z SYRII

Rekordowe susze pustoszą region, który jest „spichlerzem” wolnej już Syrii. Zmiany klimatyczne i wojna wpłynęły niszcząco na rolnictwo na południu kraju.



Autor jest fotografem dokumentalnym z Wrocławia. Interesują go tematy mniejszości społecznych, etnicznych, religijnych oraz relacji człowiek–środowisko.



Przez wieki region Daraa produkował żywność. Dziś potrzebuje pomocy: zmiany klimatu, wojna domowa i wtargnięcie Izraela zamieniają ten zielony „spichlerz” w pustynną krainę.

Tutejsi rolnicy coraz częściej mówią o opuszczeniu Daraa. W miejscu, gdzie ziemia nie jest już w stanie ich utrzymać, może zacząć się kolejna fala klimatycznej migracji.



Od nielicznych dostępnych źródeł wody do pól uprawnych prowadzone są kilometry rur. Od lat uprawia się tu głównie oliwki i granaty, odporne na suszę. Ale także one już umierają.

Podczas wojny domowej zniszczono infrastrukturę nawadniającą, rolnicy desperacko wiercą więc studnie. Bogatsi zaciągają na to kredyty. Większość odwiertów nie znajduje wody.



REGION DARAA TO JEDNO Z NAJŻYŹNIEJSZYCH MIEJSC W SYRII. Jego pola i sady od wieków dostarczają warzyw, owoców i mięsa. Rozwinięty system nawadniania pozwalał rolnikom prosperować przez pokolenia. Dziś rolnictwo walczy tu o przetrwanie za sprawą rekordowo niskich opadów. Ale nie tylko dlatego jest to dziś jeden z najbardziej cierpiących z braku wody regionów Syrii.

Od końca lat 90. XX w. Daraa doświadcza susz. Wysychają jeziora; wody brakuje też w rzece Jarmuk, która zasila południową Syrię i Jordanię. Ponadto, korzystając z chaosu podczas obalania dyktatury Asada w grudniu 2024 r., Izrael wtargnął do Syrii i zaczął okupować tamę Al-Mantara, kluczową dla hydrologicznego bezpieczeństwa. Według tutejszej Dyrekcji Zasobów Wodnych, w 2024 r. po zimie w zbiornikach regionu zmagazynowane było 33 mln metrów sześciennych wody, a w 2025 r. tylko 3 miliony.

Dzieje się to w miejscu, gdzie wiosną 2011 r. narodziła się syryjska rewolucja. Tu, w regionie Daraa, młodzi ludzie wyszli na ulice, buntując się przeciw reżimowi Asada. Zostali aresztowani. Gdy starsi upomnieli się o nich, usłyszeli od władz słynne zdanie: „Zapomnijcie o tych dzieciach, zróbcie sobie nowe". Bunt szybko rozprzestrzenił się na cały kraj, dając początek 13-letniej wojnie domowej. Podczas wojny region był twierdzą rebeliantów, a walki z siłami rządowymi i Państwem Islamskim doprowadziły do dużych zniszczeń. System nawadniający został częściowo zrujnowany, a kontrola nad zasobami wodnymi stała się narzędziem wojennym.

Obecny stan wydaje się nieodwracalny. „Spichlerz Syrii" wchodzi w końcową fazę swego istnienia, a kraj uzależnia się od importu żywności. ©

Polityka z krwi i kości

MAREK RABIJ

SPOŁECZEŃSTWO | Gdy w Polsce prawica nie potrafi odkleić polskości od kotleta, jej ideowi pobratymcy z Indii pracują nad nową tożsamością narodową. Taką, której wyznacznikiem jest radykalny wegetarianizm.

W indyjskich mediach społecznościowych to jedno z najczęściej przywoływanych nagrań ostatnich miesięcy. Bynajmniej nie dlatego, że wygląda niemal jak inscenizacja biblijnej sceny wygnania handlarzy ze świątyni.

Widać na nim mężczyzn, którzy krążą pomiędzy stoiskami rybnymi na targu w Ćittarandżan Park – dzielnicy Delhi, stolicy Indii – i żądają od sprzedawców, by jak najszybciej zabrali „swoje cuchnące kramiki" sprzed oblicza bogini. Bóstwem, któremu rzekomo przeszkadza takie sąsiedztwo, jest Kali, jedna z najważniejszych figur hinduistycznego panteonu. Jej świątynia wznosi się opodal targowiska.

Kolor szafranu

Mężczyźni mają na sobie koszule w kolorze jaskrawopomarańczowym, który każdemu Indusowi kojarzy się jednoznacznie z hinduizmem. Szaty w kolorze szafranu często noszą sannjasinowie, świątobliwi mężowie, którzy zgodnie z wedyjską tradycją na pewnym etapie życia porzucają dobra doczesne, aby oddać się wyłącznie sprawom ducha.

Szafranowy to także barwa organizacyjna Raśtrija Swajamsewak Sangh, Narodowej Unii Ochotników, która niedawno obchodziła stulecie istnienia. To ona w znacznej mierze ukształtowała współczesny indyjski pannacjonalizm, usiłujący wtłoczyć kulturową, etniczną i religijną mozaikę tego kraju w ramy jednego nowoczesnego narodu, zjednoczonego wokół jednej religii – hinduizmu. Ideowym synem tej organizacji jest sam Narendra Modi, premier Indii i lider Bharatija Dżanata Party, Indyjskiej Partii Ludowej (BJP), która wprost odwołuje się do dziedzictwa Ochotników.

Internauci szybko zidentyfikowali hałaśliwych mężczyzn z nagrania – to lokalni aktywiści BJP. Tylko dlaczego mięsożernej bogini Kali, którą podczas popularnego święta Durga Pudża wyznawcy czczą ofiarami z kozłów i drobiu, nagle miałoby przeszkadzać sąsiedztwo straganów z rybami?

Dynamika konfliktu

Kali Bari, czyli świątynia Kali wnosząca się na pagórku opodal targowiska, funkcjonuje w tym miejscu od ponad półwiecza. Także tutejsi handlarze od lat regularnie składają się na jej utrzymanie. W większości wywodzą się z Bengalu Zachodniego, prowincji Indii sąsiadującej z Bangladeszem, w której kult Kali jest szczególnie silny.

Początkowo stała tutaj kapliczka poświęcona Śiwie, ale wraz z rosnącą liczbą migrantów z Bengalu osiedlających się w tej okolicy, kult Kali zyskiwał na znaczeniu. Pierwszą Durga Pudża zorganizowano w świątyni w 1977 r., trzy lata przed powstaniem partii BJP, której aktywiści każą się teraz wynosić z targu tym, którzy handlują rybami.

Aby zrozumieć dynamikę tego konfliktu, nie trzeba jednak cofać się aż do lat 80. XX w. Niespełna pięć lat temu, w 2021 r., w wyborach stanowych w Bengalu Zachodnim rządząca krajem BJP przegrała z kongresem TMC, który zdobył blisko 48 proc. głosów i utworzył – opozycyjny wobec New Delhi – rząd stanowy (w indyjskim ustroju prowincje mają sporą autonomię).

Ugrupowanie Narendry Modiego zajęło jednak drugie miejsce, w tym regionie sensacyjne, zwiększając z trzech do aż 77 liczbę swych regionalnych deputowanych. Indyjska Partia Ludowa, która jeszcze na początku ubiegłej dekady nie liczyła się w bengalskiej polityce, nagle wyrosła tu więc na jej kluczowego gracza.

Stan zapalny

Bez wątpienia pomogło jej w tym sukcesie sprawowanie władzy na szczeblu krajowym – zwłaszcza fakt, że premier Modi składał w kampanii liczne obietnice, zapowiadając szereg inwestycji centralnych w lokalną infrastrukturę i nowe miejsca pracy.

Z powyborczych analiz wynika jednak niezbicie, że w tej pogranicznej prowincji – gdzie ok. 27 proc. mieszkańców stanowią muzułmanie, a która sąsiaduje z blisko 200-milionowym muzułmańskim Bangladeszem – hasło „hindukonsolidacji", z którym działacze BJP objeżdżali zwłaszcza mniejsze ośrodki Bengalu, padło na podatny grunt. Modi i jego ludzie zwyciężyli w zachodnich dystryktach tego stanu, gdzie odsetek wyznawców islamu nie przekracza 20 proc. Na wschodzie, gdzie muzułmanie często stanowią większość, wygrał natomiast kongres TMC.

Bengalczycy z delhijskiego targowiska odegrali więc jakby rolę ofiary zastępczej w politycznym teatrze, zorganizowanym pod miejscową ksenofobiczną publikę. Fakt, że o obrazę uczuć religijnych oskarżono tu ludzi wyznających dokładnie tę samą religię, nie był przeszkodą. Ich „winą" było samo pochodzenie z prowincji, w której żywioł muzułmański nie chce się stopić z hinduistyczną większością.

No i to, że w odróżnieniu od współwyznawców z północnych i środkowych regionów Indii, chętnie sięgają po mięso.

Hinduizm kontra szaszłyki

Z ostatniego raportu mumbajskiego Centre for Study of Society and Secularism wynika, że w 2024 r. w Indiach aż o 84 proc. wzrosła liczba zamieszek i pogromów o podłożu religijnym.

Z 59 odnotowanych przypadków aż 49 miało miejsce w prowincjach, gdzie rządzi BJP (samodzielnie lub w koalicji). Partia Modiego w całym kraju jest przy władzy w 16 z 28 stanów, z czego samodzielną większość ma jedynie w 12.

Trudno więc interpretować wyniki badania CSSS czysto statystycznie: zwłaszcza że w znakomitej większości zamieszki wymierzone były w muzułmanów.

Spośród 11 śmiertelnych ofiar linczów o podłożu religijnym, odnotowanych w 2024 r., aż dziewięć stanowili wyznawcy islamu. Siedmiu zabili „strażnicy krów" – tak nazywa się osoby dopuszczające się samosądów na podejrzanych o je-



DIVYAKANT SOLANKI / EPA / PAP

Aktywiści PETA w barwach indyjskiej flagi zachęcający do rezygnacji z jedzenia mięsa. W Indiach działa też wiele mniejszych organizacji pozarządowych, które za pieniądze władz łączą prowegetariańską agendę z mową nienawiści wobec muzułmanów. Bombaj, 24 stycznia 2025 r.

dzenie wołowiny. Ich ofiarą padają nawet kierowcy samochodów chłodni, wiozących mięso z rzeźni. Do ataków dochodzi głównie w północnych i północno-środkowych prowincjach, zwanych *cow belt*, gdzie dieta wegetariańska tradycyjnie góruje nad mięsną.

W hinduizmie – dominującej religii, wyznawanej przez 70 proc. mieszkańców Indii – próżno by szukać jednoznacznego wskazania na wegetarianizm. Istnieje w nim jednak wiele nurtów i tradycji, z których część uważa pokarmy mięsne za nieczyste, nadmiernie pobudzające. Hinduizm od stuleci walczy też w Indiach o rząd dusz z innymi wyznaniami, które zalecają powstrzymywanie się od jedzenia mięsa. Post stanowi ważny element religijnej tożsamości sikhów.

Restrykcyjnie wegetariański jest też dżinizm, praktyka duchowa, z którą hinduizm dzieli zakaz stosowania przemocy, zwłaszcza odbierania życia (*ahinsā*). Ortodoksyjni dżiniści miotełkami czyszczą przed sobą teren, by nie nadepnąć na jakieś żyjątko, i nie posilają się po zmroku, by przypadkiem nie zjeść czegoś, co wpadnie im do miski. Stanowią mniej niż jeden procent społeczeństwa Indii, ale są społecznością wykształconą i bogatszą od reszty.

Dżinizm wywodzi się zresztą z braminizmu, pierwotnej praktyki religijnej aryjskich Indii, która legła u podstaw tamtejszego systemu kastowego, formalnie zniesionego dopiero w 1950 r. Bramini, kapłańska elita społeczeństwa, byli zdeklarowanymi jaroszami, a potomkowie rodzin wchodzących w skład tej elitarnej ongiś *varny* do dziś często praktykują wegetarianizm dla pokreślenia swej wyjątkowości.

Wszystko to sprawia, że części społeczeństwa dieta jarska może się jawić jako symbol statusu. Z pewnością mogą też tak traktować ją liderzy Indyjskiej Partii Ludowej, wśród których – jak podliczył serwis informacyjny The Print – przeważają przedstawiciele dwóch najwyższych *varn*, czyli bramini i kszatrijowie (sam Modi wywodzi się z rodziny kupieckiej należącej do trzeciej kasty zwanej *wajśja*).

Wśród 765 kluczowych działaczy BJP zaledwie dwóch było dalitami – „niedotykalnymi", przedstawicielami najniższej z czterech *varn*, tradycyjnie zajmującej się obróbką mięsa, pochówkami i innymi „nieczystymi" profesjami.

Dieta państwowa

Partia Modiego formalnie nie ma jednej dietetycznej agendy. Premier, sam wegetarianin, oficjalnie odcina się od radykałów domagających się wyrugowania mięsa z codzienności. W praktyce – w imię specyficznie rozumianej tożsamości narodowej – kierowane przez niego państwo coraz jawniej faworyzuje tych, którzy mięsa nie jedzą, i utrudnia życie tym, którzy nie zamierzają zeń rezygnować.

Podczas większości uroczystości i rautów państwowych gościom od pewnego czasu serwuje się menu wyłącznie wegetariańskie. Ze stołówek w wielu szkołach publicznych zniknęły jajka; coraz rzadziej pojawiają się tam i potrawy mięsne, co dyrekcje zwykle tłumaczą troską o dietę uczniów.

W grudniu 2024 r., w trakcie prestiżowego Akhila Bharatha Kannada Sahitya Sammelana – dorocznego zjazdu poświęconego kulturze i językowi *kannada* – organizatorzy tego festiwalu (finansowanego z budżetu stanowego) zaskoczyli uczestników zakazem sprzedaży i konsumpcji mięsa na jego terenie. Tak się składa, że stanem Karnataka, gdzie odbywa się zlot, rządzi BJP.

Rząd Modiego chętnie mówi o Indiach – często zwanych największą demokracją świata – jako o największej jarskiej społeczności globu. Z populacją liczącą już 1,4 mld ludzi może faktycznie zasługują na takie miano, ale nie można zapominać, że restrykcyjnie po wegetariańsku żywi się tu najwyżej 20 proc. ludności. Takie dane przyniosła ostatnia, prowadzona w latach 2019-2021, edycja ogólnokrajowego badania Narodowego Zdrowia Rodzinnego.

Jarosze nie są większością nawet wśród hinduistów: według ostatniego spisu powszechnego niemal trzech na czterech ↦

↦ wyznawców tej religii sięga czasem po produkty odzwierzęce. Potrawy mięsne zajmują ważne miejsce zwłaszcza w tradycji drawidyjskiego południa kraju. Próby wypreparowania tutejszej kuchni z baraniny, drobiu czy nawet ryb to dla miejscowych wręcz atak na ich tożsamość i tradycję.

Gang pożeraczy baranów

Dietetyczna ofensywa rządu Modiego wymierzona jest jednak głównie w muzułmanów – drugą pod względem liczebności społeczność wyznaniową Indii (14 proc. populacji).

W narracji Modiego i BJP – narracji spod znaku *hindutvy*, ideologii stawiającej hinduizm ponad inne religie – hindusi podlegają podstępnej indoktrynacji ze strony muzułmanów. Popularnym straszydłem w tym teatrzyku jest *love jihad*, czyli rzekomo odgórnie zaplanowana i realizowana strategia uwodzenia dziewcząt z rodzin hinduistycznych przez przystojnych muzułmanów. Cały proces prowadzić ma do tego, by zgodnie z indyjską tradycją dzieci z takiego związku przyjęły religię ojca.

Odsetek wyznawców Proroka w indyjskim społeczeństwie istotnie rośnie wskutek wyższego przyrostu naturalnego w rodzinach muzułmańskich, ale demografowie mają na to szereg wyjaśnień, które nie potrzebują oparcia w teorii spiskowej. Najczęściej tłumaczy się to siłą islamskich społeczności: zapewniają one młodym rodzicom większe wsparcie niż to, na które mogą liczyć ich rówieśnicy z rodzin hinduskich.

Na płaszczyźnie kulinarnej muzułmanie, często prowadzący restauracje i bary, mają z kolei pozwalać sobie na *spit jihad*: zdradziecką kontaminację posiłków śliną z jamy ustnej, w której regularnie gości przecież wołowina.

Władze oficjalnie nazywają takie oskarżenia folklorem. W praktyce często stają po stronie oskarżycieli. W październiku 2025 r. w miasteczku Uttarkashi aktywiści BJP oskarżyli muzułmańskich właścicieli restauracji Zaika o sprzedaż placków *roti* z ciasta, do którego kucharze rzekomo domieszali ślinę. Policja przeszukała kuchnię, przesłuchała personel oraz rzekomych świadków i odstąpiła od dalszych czynności. Lokal jednak zamknięto, oficjalnie w trosce o bezpieczeństwo właścicieli – tłum groził im linczem.

Działacze i urzędnicy na prowincji starannie wsłuchują się w głosy z New Delhi, które coraz bardziej jednoznacznie ustawiają wektor społecznego resentymentu. W kwietniu 2024 r. sam Modi zarzucił „mogolską mentalność" opozycyjnym politykom, którzy w trakcie świąt hinduistycznych rzekomo ostentacyjnie obżerają się baraniną (muzułmańscy Mogołowie przez setki lat rządzili Indiami). Dieta – jak zastrzegł premier – jest prywatną sprawą, dopóki nie pichci się z niej politycznych happeningów, które urażają uczucia religijne hinduistów.

Modi regularnie krytykuje też przemysłową produkcję mięsa, czym zyskuje poklask wśród uboższych wiejskich wyborców. Drobni rolnicy obawiają się, że wielkie fermy pozbawią ich dostępu do wody i wykupią grunty orne.

„Krowa jest naszą matką"

Tymczasem tempo, w jakim indyjskie rolnictwo osiąga skalę przemysłową, jest już nie do przeoczenia. Kraj, w którym dzieci uczą się języka hindi z przyśpiewki *„gay hamaari maata hai"* („krowa jest naszą matką"), w ciągu zaledwie kilkunastu lat awansował do pierwszej piątki największych eksporterów wołowiny. Co roku Indie produkują jej ponad 4,5 mln ton i właśnie wyprzedziły pod tym względem Brazylię i Australię. Od początku rządów Modiego prawie podwoiły też wielkopowierzchniową produkcję drobiu i jajek.

W efekcie w ciągu ledwie dekady, która minęła od pamiętnej wygranej parlamentarnej BJP z 2014 r., odsetek zdeklarowanych wegetarian wśród Indusów zmniejszył się aż o 9 punktów procentowych. Modi powinien w zasadzie poczytać to za swój sukces, bo częstsza obecność mięsa w menu obywateli świadczy o wzroście zamożności. *Dainik murgee* – wiejska kurka skubiąca robaczki na podwórku – kojarzy się dziś Indusom zgoła inaczej niż Europejczykom: jako symbol biedy, a nie zdrowej żywności.

Elity Indyjskiej Partii Ludowej mogą widzieć w tej zmianie zagrożenie dla specyficznie rozumianej tożsamości narodowej. W wielu sferach życia postęp i sekularyzacja zaszły ich zdaniem za daleko. Sytość może kłócić się z typowo hinduskim pragnieniem wyzbycia się wszelkich pragnień.

Zafarul-Islam Khan – indyjski publicysta i aktywista, reprezentujący tutejszą społeczność muzułmańską – twierdzi jednak, że w gruncie rzeczy może chodzić także (jeśli nie głównie) o coś bardziej prozaicznego. O to, że 90 proc. indyjskiego rynku produkcji i handlu mięsem kontrolują dziś wyznawcy islamu.

© MAREK RABIJ

FOT. GRAŻYNA MAKARA // OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

TYGODNIK POWSZECHNY

Posłuchaj podkastu: Wojciech Jagielski o protestach w Iranie

Protesty ogarnęły cały kraj, reżim odpowiedział siłą. Co będzie dalej?
Czy interwencja wojskowa USA to realna groźba, czy polityczny blef?
Na wyprawę do Teheranu, Maszhadu i Isfahanu
zapraszają **WOJCIECH JAGIELSKI** i **KRZYSZTOF STORY**



STRONA ŚWIATA – JAGIELSKI & STORY
Słuchaj na TygodnikPowszechny.pl/podkast
oraz Spotify i innych platformach podkastowych.

MELISANA
Klosterfrau
Original

Dostępna bez recepty.

200 *lat tradycji* w leczeniu:*

- BÓLU BRZUCHA I WZDĘĆ NA TLE NERWOWYM
- WSPOMAGAJĄCO PRZY OBJAWACH PRZEZIĘBIENIA I GRYPY
- POWYSIŁKOWEGO BÓLU MIĘŚNI
- TRUDNOŚCI Z ZASYPIANIEM





HISTORIA MELISANY

* Historia Melisany sięga 1815 roku i legendarnej bitwy pod Waterloo. To wtedy zakonnica Maria Clementine Martin opracowała recepturę na bazie leczniczych ziół, pomagającą żołnierzom w stanach napięcia i bólu. Jej preparat zyskał uznanie króla Prus i stał się podstawą kultowej formuły produkowanej nieprzerwanie do dziś.

MEL.2025.06.02.2

Melisana Klosterfrau Original, płyn doustny, płyn na skórę. Produkt złożony. Wskazania do stosowania: Stosowanie doustne: w stanach złego samopoczucia o podłożu psychosomatycznym z objawami nadmiernej wrażliwości na zmiany pogody, w celu ułatwiania zasypiania, w zaburzeniach czynności żołądka i jelit na tle nerwowym (wzdęcia, bóle brzucha), wspomagająco jako produkt leczniczy zmniejszający odczuwanie objawów towarzyszących przeziębieniu i grypie. Stosowanie miejscowo, na skórę: do wcierania w skórę w mniej nasilonych nerwobólach i powysiłkowych bólach mięśni. Podmiot odpowiedzialny MCM Klosterfrau Healthcare Sp. z o.o.

Tradycyjny produkt leczniczy roślinny z określonymi wskazaniami wynikającymi wyłącznie z długotrwałego stosowania.

To jest lek. Dla bezpieczeństwa stosuj go zgodnie z ulotką dołączoną do opakowania. Nie przekraczaj maksymalnej dawki leku. W przypadku wątpliwości skonsultuj się z lekarzem lub farmaceutą.

REKLAMA

ESEJ

PIEKIELNA SIŁA TEOKRACJI

Trudno znaleźć inny kraj, którego społeczeństwo tak długo i często buntowałoby się przeciwko autorytarnej władzy – nigdy nie odnosząc sukcesu. Dlaczego reżim ajatollahów jest aż tak żywotny?

MAREK KĘSKRAWIEC



Od rewolucji w Iranie minęło 47 lat, a władze tego państwa właśnie rozprawiają się z kolejną, najgwałtowniejszą w historii islamskiej republiki falą rozruchów. Dokładnej liczby ofiar śmiertelnych pewnie nigdy nie poznamy, bo władze 93-milionowego państwa zdecydowały o całkowitym odcięciu go od internetu – ale jest ich co najmniej kilkanaście tysięcy.

Blokada kraju ma trwać do pierwszego dnia wiosny, który w Iranie obchodzi się jako najważniejsze w roku święto, Nowruz. Co ciekawe: pochodzi ono jeszcze z czasów starożytnych, gdy mieszkańcy tych ziem wyznawali zoroastryzm.

To jeden z licznych dowodów skomplikowania sytuacji w państwie będącym jedyną w świecie konstytucyjną teokracją, a jednocześnie kultywującym pamięć o imperialnej przeszłości starożytnej Persji. Wykrzykującym – ustami swoich parlamentarzystów – życzenia śmierci dla Ameryki i Izraela, a równocześnie tolerującym działalność kilkudziesięciu synagog i zezwalającym Żydom na posiadanie swojego reprezentanta w parlamencie. Oraz produkującym filmy nagradzane na najważniejszych festiwalach świata.

Strażnicy systemu

Wszystko to oczywiście przejaw hipokryzji reżimu, który w tym samym czasie nie pozwala na działalność zorganizowanej opozycji. Każdy, kto miałby szansę stać się jej liderem, albo ginie, albo ląduje w więzieniu. Brutalność represji i niechęć ajatollahów do dzielenia się władzą jest tak wielka, że jeśli w końcu naród obali reżim, to w wyniku kolejnej, krwawej rewolucji.

System nie odda władzy bez walki, gdyż opiera się na zindoktrynowanej, półmilionowej islamskiej milicji basidżów, a przede wszystkim na 120-tysięcznym, wydzielonym z regularnej armii, elitarnym Korpusie Strażników Rewolucji. Mowa nie tylko o zbrojnym ramieniu islamskiej republiki, ale o strukturze przenikającej państwo i czerpiącej z niego ogromne zyski: dowódcy Korpusu wraz z duchownymi stoją na czele przedsiębiorstw, zarabiają na eksporcie ropy i gazu, a nawet tworzą handlowe podziemie, sprzedając zakazane towary (w tym alkohol).

Ogromna korupcja, zablokowane ścieżki awansu i gigantyczna inflacja, rujnująca portfele Irańczyków po fali zachodnich sankcji, przyniosły na początku stycznia wydarzenia, które wcześniej byłyby nie do pomyślenia. O ile bowiem jeszcze podczas kilkumiesięcznych protestów w 2022 r. nikt nie odważyłby się na palenie meczetów, dziś tabu zostało złamane.

Jednak ludzie zaatakowali świątynie nie w proteście przeciwko religii, ale z uwagi na to, że przestały pełnić rolę miejsc kultu. Na ich terenie stacjonowały bojówki basidżów i przechowywano broń używaną do tłumienia protestów. W oczach wielu Irańczyków to ostateczna kompromitacja systemu, który przez długi czas przekonywał społeczeństwo, że ma pomysł na łączenie religii z ideami republikańskimi. Czasem bywał okrutny, ale niekiedy godził się też na liberalizację, jak podczas prezydentury Mohammada Chatamiego w latach 1997-2005, gdy ograniczono cenzurę i wpływy policji obyczajowej, a w Teheranie jak grzyby po deszczu powstawały kawiarnie i galerie.

Boski namiestnik

Zwornikiem tego systemu od 37 lat jest Najwyższy Przywódca Ali Chamenei: przewodnik duchowy i dowódca sił zbrojnych, który może mianować szefów sądownictwa i mediów państwowych, a także zdymisjonować prezydenta. Wybrało go Zgromadzenie Ekspertów: 86-osobowa rada duchownych, która jako jedyna może pozbawić go urzędu, jeśli uzna, że sprzeniewierzył się ideałom rewolucji.

Fakt, że członkowie Zgromadzenia są wybierani w głosowaniu powszechnym, mógłby sugerować, że społeczeństwo w jakimś stopniu ma wpływ na duchowego przywódcę. Nic bardziej mylnego. Zanim ludzie pójdą do urn, wszyscy kandydaci muszą zyskać akceptację Rady Strażników Konstytucji. To 12-osobowe ciało w połowie składa się z mułłów wyznaczonych przez Najwyższego Przywódcę, a w połowie ze świeckich prawników, mianowanych przez szefa sądownictwa, wyznaczonego przez... Najwyższego Przywódcę.

Kontrolowana przez Chameneiego Rada Strażników nie tylko zatwierdza kandydatów do Zgromadzenia Ekspertów. Organizuje też wybory parlamentarne i prezydenckie, co oznacza, że wycina niezależnie myślące osoby i czyni z prezydenta figuranta. W 290-osobowym parlamencie (madżlesie) kotłują się oczywiście różne frakcje, ale gdy tylko zaczynają robić zbyt dużo hałasu, Chamenei przywraca porządek.

Upadek imperium

Aby zrozumieć wyjątkowość islamskiej republiki, trzeba cofnąć się do VII w., gdy nauki Mahometa trafiły do Iranu. Perskie imperium Sasanidów leczyło wówczas rany po przegranej wojnie z Bizancjum. Nowa wiara przybyła z Pustyni Arabskiej, na którą wcześniej władcom Persji nie chciało się nawet spojrzeć: wyznawcy zoroastryzmu – uważanego za pierwszą monoteistyczną religię świata – omijali tę na wpół martwą ziemię, zamieszkałą przez nieliczną i zacofaną ludność, oddającą pokłony bóstwom natury.

Nagle jednak u granicy imperium osłabionego wojną, korupcją i zepsuciem najwyższych warstw, pojawiła się arabska armia, zjednoczona pod sztandarem nowej wiary. Najeźdźcy w bitwie pod Kadisiją pokonali dwukrotnie liczniejsze wojsko perskie, a całe imperium podbili w 11 lat. Musiało jednak minąć ich trzysta, zanim większość Irańczyków została muzułmanami. Ale nawet wtedy łatwiej ulegała islamizacji niż arabizacji. Zachowała swoje obyczaje, święta, język, zaszczepiając przy okazji najeźdźcom osiągnięcia antycznej cywilizacji, m.in. system podatkowy i monetarny czy ubiór.

Aż do XV w. zdecydowana większość Irańczyków była sunnitami. Szyici rezydowali wtedy w Mezopotamii: Bagdadzie, Kufie i Nadżafie. Byli to arabscy spiskowcy, przekonani, że po śmierci Mahometa doszło do oszustwa, bo zamiast przekazać władzę nad muzułmanami Alemu, najbliższemu krewnemu i towarzyszowi proroka, rada wspólnoty obwołała kalifem Damaszku Abu Bakra. Doprowadziło to do wojen i do śmierci Alego, zamordowanego przez spiskowców. Potem w bitwie pod Karbalą zabity został jego syn Hosejn, a szyickie stronnictwo straciło na znaczeniu, częściowo schodząc do podziemia. Wierni zakładali bractwa mistyczne i kontemplowali fatalistyczną wizję dziejów, w której Ali i Hosejn stali się figurami męczenników, zamordowanych albo przez zdradliwych przyjaciół, albo przez obcych hipokrytów, ↦

Portret Najwyższego Przywódcy Iranu, ajatollaha Alego Chameneiego z odezwą do młodych ludzi. Przed Wielkim Meczetem Imama Chomeiniego w Teheranie, 9 stycznia 2026 r.

MORTEZA NIKOUBAZL / NURPHOTO / AFP / EAST NEWS

↦ żądnych bogactwa i władzy, a nie porządku bożego na ziemi.

Ich wersja islamu, choć ma źródło nie w teologicznych dyskusjach, ale w politycznym sporze o sukcesję – coraz bardziej oddalała się od głównego, sunnickiego pnia. Zawierała za to opowieść o cierpieniu i nieufności do świata.

Pod butem potęg

Szyicka wersja islamu zapanowała w Iranie nieco przypadkiem, gdy Persowie odbudowywali kraj po najazdach Czyngis-chana i Tamerlana. Podzielony na skłócone i słabe regiony, znalazł się pod wpływem Ismaila. Oddany suficko-szyickiemu mistycyzmowi książę żył w przeświadczeniu, że należy do bożych wybrańców. Na początku XVI w. jego żołnierze w 10 lat zapanowali nad ogromnym terytorium.

W dzisiejszym Iranie kult Alego i Hosejna jest wciąż niezwykle żywy. Na cześć młodszego z imamów co roku podczas święta Aszura tysiące ubranych na czarno mężczyzn biją się w rytm bębnów po policzkach lub biczują do krwi, szlochając i rozpamiętując cierpienie zdradzonego imama.

To poczucie krzywdy Irańczycy pielęgnują od wieków – dzisiejsza nienawiść ajatollahów do Zachodu ma podobne korzenie. Narodziła się po upadku imperium Safawidów, które od XVI w. trzęsło całym regionem. Gdy jednak Europa przeżywała rewolucję przemysłową i budowała imperia kolonialne, Persja nadal tkwiła w feudalizmie. Przegrała wojnę z Rosją, a potem została pobita przez Anglików. Szachowie stali się pokornymi namiestnikami, przejadającymi pożyczki i łapówki od angielskich i rosyjskich hegemonów. Budzili tym nienawiść klepiących biedę kupców, rzemieślników, chłopów i mułłów. Ci ostatni stopniowo stawali się siłą, wokół której gromadził się naród.

Istnienie hierarchii duchownej to ważna cecha szyizmu. W przeciwieństwie do rozczłonkowanego i podporządkowanego władzy świeckiej sunnizmu, kler szyicki stworzył niezależną od państwa strukturę, w dużej mierze dzięki samym szachom, umieszczającym duchownych w szkołach, sądownictwie i administracji. To oni zbierali podatki, pieniądze na budowę meczetów, prowadzenie nauk religijnych i pomoc społeczną. To oni również, w czasach największej dominacji Rosjan i Anglików, organizowali

W przeciwieństwie do świeckiego komunizmu, islam trudniej porzucić, bo zdrada **oznaczać może wieczne potępienie przez Boga.**

opór przeciwko przyznawaniu Europejczykom monopolistycznych koncesji na wydobywanie surowców mineralnych, emitowanie pieniędzy, połów ryb i kawioru na Morzu Kaspijskim oraz uprawę i handel tytoniem.

Zrywanie czadorów

Trzeba jednak przyznać, że w tym samym czasie w kraju powołano do życia parlament, uchwalono drugą w Azji konstytucję, zakładano uniwersytety i teatry, a także rozszerzono szkolną edukację na kobiety. Zarazem Anglicy czuli się w Iranie bardzo pewnie – w pewnym momencie zdecydowali o obaleniu dynastii Kadżarów, podburzając do buntu Rezę Pahlawiego, jednego z dowódców armii.

Reza uważał, że źródłem zacofania Iranu jest wpływowy kler, postanowił więc zsekularyzować naród siłą. Duchownym odbierano majątki, zakazano świętowania Aszury i odbywania pielgrzymek do Mekki. Po miastach i wsiach krążyły policyjne komanda, zrywające kobietom czadory, a mężczyznom turbany. Protesty społeczeństwa łamano wtrącaniem do więzień i torturami.

Gdy jednak Reza zaczął spoglądać w stronę III Rzeszy, spotkał się ze zdecydowaną reakcją Sowietów i Anglików, którzy chwilę wcześniej zaczęli eksploatację bogatych złóż ropy. Wojska obu mocarstw zajęły Iran, a szacha zmuszono do abdykacji na rzecz syna Mohammada. Po II wojnie światowej, gdy premier Mosaddeq przekonał parlament (wbrew władcy) do nacjonalizacji przemysłu naftowego, z którego czerpały zyski tylko zachodnie koncerny, doszło do słynnej operacji Ajax, czyli obalenia premiera przez Brytyjczyków i CIA.

Biała rewolucja

Mohammad Reza Pahlawi próbował odzyskać zaufanie narodu, ogłaszając tzw. białą rewolucję. Znacjonalizował lasy i zbiorniki wodne, kupił od feudałów część ziemi rolnej i odsprzedał ją tanio chłopom, którzy jednak często nie radzili sobie z małymi poletkami. W rezultacie wielu zaczęło szukać szczęścia w miastach. Gnieździli się w ruderach, hodowali swój gniew, a w końcu stali się jedną z głównych sił islamskiej rewolucji.

Jednocześnie rozpoczęto walkę z analfabetyzmem i przyznano kobietom prawo udziału w wyborach (pojawiły się też w administracji rządowej, parlamencie i sądownictwie). Reformy jednak lepiej wyglądały na papierze niż w rzeczywistości. Szach miał obsesję na punkcie wielkich inwestycji i zbrojeń, sprowadzał też do powstających fabryk tysiące zagranicznych inżynierów, traktując rodaków jak obywateli drugiej kategorii.

Gwałtowna westernizacja kraju i odziedziczona po ojcu pogarda dla „ciemnoty" przysporzyły Pahlawiemu wrogów w rodzącym się ruchu socjalistycznym, wśród kleru i związanej z nim biedoty oraz u wpływowych kupców bazarowych, którzy cierpieli z powodu promowania obcych firm.

Głos z kasety

Na każdy głos sprzeciwu szach miał jedną odpowiedź: agentów tajnej policji Sawak, w której utworzeniu pomagali doradcy z CIA i Mosadu (Izrael traktował Iran jak ostoję porządku w zdominowanym przez Arabów regionie). Więzienia zapełniały się przeciwnikami monarchii. Aresztowanych torturowano.

Symbolem oporu stał się charyzmatyczny ajatollah i poeta, Ruhollah Chomeini. Wygnany z Iranu w 1964 r. za niepokorne przemówienia, prowadził walkę z medresy w irackim Nadżafie. Mówił bez ogródek to, co myślał naród. Jego kazania nagrywano na kasety i przemycano do kraju. Gdy demokraci i socjaliści grzęźli w walkach frakcyjnych, głos Chomeiniego docierał do milionów zwykłych ludzi.

Pod koniec lat 70. ciężko chory Pahlawi rozluźnił nieco ucisk. Obiecywał wolne wybory, rozwiązał tajną policję, zniósł cenzurę, uwolnił więźniów politycznych, a przede wszystkim – zezwolił Chomeiniemu na powrót. Posunięcia te uznano za wyraz słabości. Opozycja i generalicja zobaczyły już nie tyrana, ale przerażonego i schorowanego starca, któremu ostatecznie schronienia udzielili Amerykanie, dając kolejny po zamachu stanu



UGC / AFP / EAST NEWS

Śmiertelne ofiary tłumienia antyrządowych zamieszek w Iranie – kadr sprzed Centrum Diagnostyki Sądowej i Laboratoryjnej w Kahrizak, prowincja Teheran. Styczeń 2026 r.

z 1953 r. dowód, że nie traktują Irańczyków jako godnych samostanowienia. To była główna przyczyna trwającej ponad rok okupacji ambasady amerykańskiej w Teheranie, *nota bene* rozpoczętej przez grupę lewicowych studentów.

Pomyłka przyszłej noblistki

Rewolucje nie szanują umiarkowania. Promują ludzi twardych, fanatycznie przekonanych o swej racji. Chomeini był inteligentnym graczem, powoli pozbywającym się rywali. By wyeliminować polityków marzących o wolnym rynku i republice bez przymiotników, gotów był sprzymierzyć się nawet z socjalistami. Im zaś nie mieściło się w głowach, że ktoś, kto nienawidzi despoty Pahlawiego, sam może być despotą.

O swoim naiwnym podejściu do Chomeiniego wspomina w pamiętnikach Szirin Ebadi, późniejsza laureatka Pokojowej Nagrody Nobla. Na początku rewolucji, kiedy ajatollah wzywał do usuwania ministrów szacha z gabinetów, Ebadi wdarła się z grupą postępowych sędziów do pokojów szefa wymiaru sprawiedliwości. Zastała starego urzędnika, który bardzo się zdziwił, że właśnie Ebadi, pierwsza w dziejach Iranu kobieta-sędzia, bierze udział w tej awanturze.

„Czy pani nie wie, że popiera ludzi, którzy pozbawią panią pracy, jeśli dojdą do władzy?" – zapytał zdziwiony. Kilka miesięcy później Ebadi straciła prawo orzekania w sądach.

Dyktat kleru i wojska

Na ulice miast wyległy tłumy brodatych mężczyzn: krawat i woda kolońska stały się symbolem zachodniego zepsucia, a kobieta jedząca lody na ulicy – oznaką rozwiązłości. Jedynymi, którzy stawili opór, byli Mudżahedini Ludowi, wyznawcy przedziwnej mieszanki islamu i marksizmu. Uważali, że prawdziwy szyita powinien walczyć nie tylko z dyktaturą monarchy, kapitalizmem i uzależnieniem od USA, ale również z klerykalizmem. Zostali rozbici, a potem naród miał już inny problem. Zebrał się wokół flagi po napaści ze strony Iraku. Iran powoli zamieniał się w religijno-wojskową dyktaturę.

System, który się w efekcie wykluł, robi przerażające wrażenie. W przeciwieństwie do świeckiego komunizmu, trudniej tu o zerwanie z systemem, bo zdrada oznaczać może wieczne potępienie. Opozycjoniści nie idą zresztą na szafot (tylko Chiny wykonują więcej kar śmierci) z powodu złamania kodeksu karnego, tylko z uwagi na „wrogość wobec Boga". Zarazem nie brak tu niespójności: za kontakty homoseksualne grozi kara śmierci, ale tylko w przypadku mężczyzn; kobietom przypada w udziale „zaledwie" sto batów. Prawo pozwala też na zmianę płci; na tranzycję można nawet dostać kredyt.

Współczesny islamski Iran doświadcza więc napięcia między nowoczesnością a wzorcami prawnymi i obyczajowymi, które sięgają czasów Mahometa. Większość ajatollahów nie chce zresztą zamieniać kraju w szyicką wersję afgańskiego Talibanu – pragnie raczej udowodnić światu, że da się połączyć zasady koraniczne z budową nowoczesnego państwa. Stąd eksperymenty z klonowaniem zwierząt, program atomowy czy umieszczanie satelit na orbicie okołoziemskiej.

Świadomy jak Irańczyk

O modernizacji nie ma co marzyć bez nauki i szkolnictwa wyższego, więc porewolucyjny Iran starał się je rozwijać. Duchowni wierzyli, że odpowiedni system nauczania pozwoli wykreować nowego człowieka, wiernego po grób rewolucyjnym ideałom.

Kłopot w tym, że choć nad kształceniem młodzieży czuwa kadra konserwatywnych urzędników, nie jest ona w stanie zmienić znanej w całym świecie reguły: uniwersytety to ostoja grup społecznych domagających się zmian. Dla tych ludzi religia jest już tylko fasadą tonącego w hipokryzji totalitarnego systemu. Prowadzone przez Instytut Gallupa badania ukazują, że w skali świata Iran wcale nie jest krajem przesadnie religijnym, a na tle państw islamskich – wręcz zeświecczonym.

Pod koniec rządów Rezy Pahlawiego w kraju studiowało 170 tys. osób, a ponad połowa Irańczyków nie miała pojęcia o czytaniu i pisaniu. Dziś analfabetów zostało ledwie 2-3 procent, a studiuje 3,5 mln osób. Połowa to kobiety, które dzięki zdobytej wiedzy zaczynają inaczej postrzegać swoją rolę w społeczeństwie i często stają na czele protestów. Trudno im znieść prawo, wedle którego kobieta jest w pewnych aspektach życia półczłowiekiem. Jeśli np. padnie ofiarą przestępstwa, sprawca zostanie potraktowany dwukrotnie łagodniej niż w sytuacji, gdyby zaatakował mężczyznę. Aby zrównoważyć zeznanie jednego mężczyzny, potrzeba dwóch kobiet świadków. Kobiety mają też obowiązek nakrywania głowy, a za nieodpowiedni strój (czyli np. nadmiar wystających spod chusty włosów) mogą być ukarane 70 batami. Obecnie prawo to jest zawieszone na skutek zamieszek, które w 2022 r. wybuchły po śmierci 22-letniej Mahsy Amini, aresztowanej i pobitej przez tzw. policję moralności – ale w każdej chwili może zostać przywrócone.

W żadnym innym kraju kobiety tak głośno nie buntują się przeciwko zadekretowanej mizoginii: chodzą na demonstracje tak samo licznie jak mężczyźni, choć ryzykują nie tylko wyrok i pobicie, ale też gwałty. Jedna z nich, dziś niestety już emigrantka w USA, powiedziała mi przez telefon: „Pewnie znowu przegraliśmy i ponieśliśmy ofiarę. Ale pamiętaj, ofiara i cierpienie to nasza tradycja. To już niedługo. Stara mądrość mówi: reżimy upadają najpierw powoli, a potem nagle".

©℗ MAREK KĘSKRAWIEC



„TP" 1-2/2026

Miłość romantyczna istnieje

Ja – mężczyzna religijny – praktykuję ją od 30 lat z moim mężem Pawłem. Zawarliśmy małżeństwo w Anglii, w Ratuszu Brighton, nad morzem, w 2015 roku („Ojcze nasz" odmówił na naszym weselu pastor anglikański), ale jesteśmy razem od spotkania – nad Bałtykiem – w Ustce i romantycznego spaceru o blasku księżyca w 1995 r. We dwóch usiłujemy pielęgnować nasz związek uczuciowy i erotyczny – oto moja odpowiedź na intrygujący artykuł red. Ochędowskiej „Koniec miłości romantycznej". Tekst inspiruje się książką „Miłość nie istnieje" prof. Tomasza Szlendaka, który uważa, że miłość to konstrukt, maszyneria do wybierania partnera. Śmieszne jest to porównanie uczucia do inżynierii dosłownej czy społecznej! Czy z gabinetu uczonego nie widać ludzi zakochujących się w sobie, nie słychać „Uczty" Platona – dialogu o Erosie (i to łączącym osoby tej samej płci) – albo najnowszych dzieł, jak „Pochwała miłości" filozofa Alaina Badiou czy „Historie miłosne" psychoanalityczki Julii Kristevej? Kristeva eksploruje werset „Twoje imię – wylany olejek" (w Biblii Tysiąclecia: „olejek rozlany imię twe"). Tu właśnie imię to wrzenie sensu i sensualności, synteza zmysłów i znaków. Ciało i imię zostają nie tylko zestawione, spojone, ale wpisane też w alternatywną, paradoksalną logikę, która warzy proces miłości, eliksir przestrzeni psychicznej naszego wnętrza. I cielesność, i duch wybuchają w miłości. Tomasz Szlendak ogranicza się do uczucia heteroseksualnego. Tymczasem Julia Kristeva napisała studium o różnorodnych miłościach, w tym o homoseksualności greckiej czy uczuciu do mężczyzn kryjącym się pod promiskuityzmem Don Juana. Psychoanalityczka napisała też z mężem, powieściopisarzem Philippe'em Sollersem, książkę „Małżeństwo jako sztuka piękna". Z Pawłem podpisujemy się pod tym tytułem obiema rękami. Sollers powiedział mi, że podczas gdy dziś seks jest celebrowany z entuzjazmem, słowo „miłość" jest teraz uważane za nieprzyzwoite. Ale wróćmy do wcześniejszej publikacji, obecnej w Polsce już od roku 1968, dzięki znakomitemu przekładowi literaturoznawcy Lesława Eustachiewicza: „Miłość a świat kultury zachodniej" Denisa de Rougement, który odwołuje się do myśli Heraklita i Empedoklesa. Miłość okazuje się zasadą wszechświata: harmonią wynikającą z napięcia przeciwieństw u Heraklita, a przyciągania przeciwieństw u Empedoklesa. I dziś miłość stanowi wielkie zagadnienie kultury umysłowej. Filozofka praw człowieka Martha C. Nussbaum rozważa emocje jako to, co najważniejsze w życiu. Z Pawłem jesteśmy już doświadczonym małżeństwem – niebawem emerytura. Bycie seniorem bywa trudne, ale pocieszamy się stwierdzeniem filozofa i aktywisty na rzecz Ukrainy i Izraela, Bernarda-Henri Lévy'ego, że od starszych par bije blask. Miłość żyje. Miłość przetrwa.

TOMASZ

OD AUTORKI: Dziękuję za list – za jego osobisty ton i piękne świadectwo trwającej relacji. Chciałabym jedynie doprecyzować, że nie sugerowałam, iż miłość romantyczna nie istnieje w sensie egzystencjalnym czy doświadczeniowym, że nie obserwujemy wokół siebie ludzi zakochanych i że sami nie kochamy. Gdy piszę o kryzysie miłości romantycznej, mam na myśli dominujące narracje kulturowe – a one wskazują na głód historii, które romantyczną miłość podważają. W samej tylko Francji cykl powieści Freidy McFadden, o której pisałam na łamach „Tygodnika", sprzedał się w zeszłym roku w nakładzie 3 mln egzemplarzy, pokonując nawet przygody Asteriksa.

OGŁOSZENIE

Zapraszamy na spotkania Klubów „Tygodnika Powszechnego"

REZERWUJ CZAS!

- **KATOWICE**, środa 21 stycznia, godz. 18.00, projekcja i dyskusja o filmie „Harcerz nr 1. Rzecz o Andrzeju Małkowskim": „W poszukiwaniu korzeni", Dom Śląski (ul. Stalmacha 17)
- **ZIELONA GÓRA**, środa 21 stycznia, godz. 19.00, projekcja filmu „Obywatel Havel" oraz spotkanie z reżyserami Miroslavem Jankiem i Pavlem Kouteckým. Moderacja: Petr Vlcek (dyrektor Czeskiego Centrum przy Ambasadzie Republiki Czeskiej w Warszawie), Piekarnia Cichej Kobiety (ul. Fabryczna 13)
- **POZNAŃ**, czwartek 22 stycznia, godz. 17.00 (online), spotkanie z Moniką Braun: pisarką, aktorką, nauczycielką akademicką i trenerką wystąpień publicznych, „Przeszłość – dar czy brzemię". Prowadzenie: Katarzyna Kolska
- **BIELSKO BIAŁA**, piątek 23 stycznia, godz. 17.00, spotkanie z s. prof. Barbarą Chyrowicz (KUL), „Kwestia stylu (jeszcze o Tischnerze)", Willa Sixta (ul. Mickiewicza 24)
- **ŁÓDŹ**, środa 28 stycznia, spotkanie dyskusyjne z udziałem Joanny Podolskiej, Pawła Kuliga i Dawida Gurfinkiela. „Zakhor – pamiętaj!". Międzynarodowy Dzień Pamięci o Ofiarach Holokaustu i 81. rocznica wyzwolenia obozu zagłady Auschwitz-Birkenau. Prowadzenie: o. Maciej Biskup, oprawa poetycka: Luiza Wilczyńska. Po spotkaniu wspólna modlitwa w intencji ofiar, aula Kamienicy (ul. Zielona 13, 1. piętro)
- **KRAKÓW**, czwartek 29 stycznia, godz. 18.00, spotkanie z udziałem dr. Marcina Fatalskiego z Uniwersytetu Jagiellońskiego oraz red. Konrada Mzyka z Onet.pl: „Wolności słowa. Wolności prasy. Wolności tweeta". Prowadzenie: Michał Robak, Piwnica Powszechna (ul. Pijarska 5/20)

ZESKANUJ I SPRAWDŹ

KLUB TP KLUBTYGODNIKA.PL

jt STOWARZYSZENIE IM. JERZEGO TUROWICZA

więcej informacji na **KlubTygodnika.pl/wydarzenia**

TYGODNIK POWSZECHNY



Lepsze strony życia

Zamów nowe
Wydanie Specjalne „Tygodnika Powszechnego”
na sklep.TygodnikPowszechny.pl

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

WIARA

CHRZEST Z SENSEM

Liczba chrztów spada. Powodem jest nie tylko kryzys demograficzny. Czy dorastające pokolenie zmienia właśnie oblicze katolickiej od wieków Polski?

MARTA GLANC



Tomasz ma 43 lata i mieszka w Kutnie. Żaden z jego trzech synów nie został ochrzczony. Sam pochodzi z rodziny wierzącej, w której było dwóch misjonarzy. Przez lata był ministrantem, czynnie uczestniczył w życiu Kościoła. – Później mój związek z Kościołem jako organizacją osłabł. Chociaż wiara została i ślub wziąłem kościelny. Początkowo nawet przyjmowaliśmy z żoną księdza po kolędzie.

Rozbrat z Kościołem

Miał różne doświadczenia z duchownymi i wiernymi. – Jako ministrant często posługiwałem przy mszach, na których odbywały się też chrzty. Widziałem np., jak podrabiane były karteczki zaświadczające o tym, że ktoś był wcześniej u spowiedzi świętej.

Ale ostateczny rozbrat z Kościołem wziął po jednej z kolęd. – Byliśmy z żoną już kilka lat po ślubie i staraliśmy się o pierwsze dziecko. Zwierzyliśmy się z tego księdzu. Przestrzegł nas, żebyśmy tylko „nie poszli w stronę grzechu *in vitro*". Zmroziło nas, chociaż o żadnych zabiegach nigdy nie myśleliśmy. Wtedy postanowiliśmy, że nie chcemy mieć nic wspólnego z księżmi – opowiada Tomasz.

Rozmowa podczas wizyty duszpasterskiej bardzo nim wstrząsnęła. Dlatego zanim jeszcze żona Tomasza zaszła w ciążę, para podjęła decyzję, że chrztu nie będzie. – W rodzinie przyjęto to ze zdziwieniem. Od bliskich usłyszeliśmy, że nasze dziecko będzie za to wytykane palcami przez rówieśników. Spytałem wówczas, czy będą to robiły właśnie te grzeczne, ochrzczone i katolickie dzieci? Zapadła cisza.

Tomasz tłumaczy, że nie widział sensu chrzcić dziecka, którego później i tak nie zabierałby do kościoła. – Obserwuję takie sytuacje. Jest chrzest, a potem rodzice przypominają sobie o duchowości przy okazji pierwszej komunii dziecka. Mam wrażenie, że wiele osób chrzci dzieci z automatu, bo tak robią wszyscy. My chcieliśmy być wobec siebie szczerzy.

Ich najstarszy syn ma teraz sześć lat, najmłodszy roczek. – W przyszłości sami zdecydują, czy chcą się wiązać z jakąś religią. Mają tak naprawdę czystą kartę. Uczymy ich tolerancji i staramy się wszystko im tłumaczyć – kończy Tomasz.

Spójni i niezależni

Zgodnie z danymi Instytutu Statystyki Kościoła Katolickiego, jeszcze w 2019 r. ochrzczonych zostało w Polsce 372,8 tys. dzieci. W 2023 r. chrztów było nieco ponad 267 tys. Niespełna miesiąc temu opublikowano dane za 2024 r., w których odnotowano kolejne zmniejszenie liczby udzielonych sakramentów chrztu (do 247,2 tys.).

Za spadkiem stoi głównie demografia. Rodzi się coraz mniej dzieci i to jest oczywisty argument w dyskusji. Według danych Głównego Urzędu Statystycznego w 2019 r. było 376,2 tys. urodzeń, w 2023 r. liczba ta spadła do 273,4 tys., a w 2024 r. urodziło się już tylko 252,6 tys. dzieci.

Dominikanin o. Andrzej Kuśmierski zauważa jednak, że powodem spadku liczby chrztów są także inne zmiany społeczne. – Ludzie są coraz bardziej spójni w tym, co robią. Czyli jeśli nie chodzą do



OLGA_SOROKA / SHUTTERSTOCK

kościoła, to dziecka nie ochrzczą. Mniej też przejmujemy się tym, co inni o tym powiedzą – zaznacza.

Dodaje, że na społeczeństwo wpłynęły także rządy Zjednoczonej Prawicy, a później także pandemia. Nie bez wpływu były też ujawniane nadużycia w Kościele katolickim. – Kolejne skandale i zblokowanie polityczne spowodowały, że wielu ludzi było zgorszonych Kościołem katolickim. A potem przyszła pandemia i nagle okazało się, że bez tego Kościoła można żyć i nie wszystkim jest on potrzebny – dodaje o. Kuśmierski.

Krzywda dziecku

30-letnia Monika z Krakowa była wychowywana w rodzinie katolickiej. Jako dziecko co niedzielę chodziła do kościoła. Dość wcześnie zaczęła jednak kwestionować wartości, które wpajali jej rodzice. – Gdy miałam 14 lat, wzięli rozwód, tata wszedł w nowy związek. Sam już do kościoła nie chodził, ale ode mnie wciąż tego oczekiwał – wspomina Monika.

Jako dziecko wyjeżdżała na oazy, angażowała się w życie Kościoła, czytała Pismo Święte. – Ale z drugiej strony obserwowałam osoby, które szły w niedzielę na mszę, a przez resztę tygodnia żyły tak, jak chciały. Choćby regularnie się upijając. Zresztą alkohol jest też często obecny na imprezach chrzcielnych – zauważa.

O hipokryzji, którą widzi nie tylko wśród osób wierzących, ale i w samej instytucji Kościoła, mogłaby dużo mówić. – Kościół nie zgrywa mi się z Biblią, a w wielu przypadkach wręcz jej przeczy. Do tego dochodzi romansowanie z polityką, pedofilia, umniejszanie roli kobiet, bogactwo księży, którzy nie żyją zgodnie z tym, co sami głoszą. Ze mną i moim mężem taki Kościół po prostu nie rezonuje – podkreśla kobieta.

Jest teraz w ciąży, oczekuje przyjścia na świat swojego pierwszego dziecka. Już wie, że go nie ochrzci. – Samo podejmie tę decyzję. Jak dorośnie. Odrzucam chrzczenie dzieci niejako na siłę, tak samo jak zmuszanie ich później do chodzenia do kościoła czy przyjmowania kolejnych sakramentów – mówi Monika.

W jej rodzinie nie każdy dobrze to przyjął. – Usłyszałam od taty: „Ty możesz sobie wierzyć, w co chcesz, ale dziecku krzywdy nie rób". Dopytywałam, o jaką krzywdę chodzi, ale nie potrafił tego wyjaśnić. Może chodziło mu o to, że ja urodziłam się jako chore dziecko, zostałam ochrzczona w szpitalu i jest w rodzinie przekonanie, że to mnie uratowało.

Monika nie boi się, że jej dziecko będzie w jakiś sposób „zagrożone", jeśli nie przyjmie chrztu.

Świadoma decyzja

Przyzwolenie na to, aby dziecka nie ochrzcić, wydaje się społecznie większe niż kiedyś. Coraz częściej osoby znane i lubiane mówią otwarcie, że nie chcą tego sakramentu dla swoich dzieci, co zawsze budzi duże zainteresowanie mediów. „Wśród celebrytów pojawia się nowa moda, aby nie chrzcić dzieci. I aby koniecznie ogłaszać to publicznie" – pisała w 2020 r. Milena Kindziuk na portalu „Gościa Niedzielnego", oceniając negatywnie tego typu postawy.

O. Kuśmierski, wręcz przeciwnie, oceniać źle nikogo nie chce. Choć zaznacza, że czasami rodzice podejmują decyzję w sprawie chrztu bezrefleksyjne. – Jest grupa osób, która obraziła się na Kościół i przez to blokuje też ścieżkę duchową swoim dzieciom. Z drugiej strony są ludzie, którzy chrzczą dzieci z powodu myślenia magicznego, że na przykład bez chrztu coś się ich pociechom stanie. To też nie ma nic wspólnego z wiarą katolicką.

Dominikanin podkreśla, że dla proboszcza – a sam nim był przez wiele lat – najsmutniejsze są sytuacje, gdy o chrzest dla dziecka proszą osoby niezwiązane z Kościołem czy wręcz niewierzące. – Takie bezrefleksyjne chrzty wciąż się ↦

Instrukcja o Chrzcie dzieci (fragmenty)

KONGREGACJA NAUKI WIARY, 1980 R.

▪ Tak na Wschodzie, jak na Zachodzie praktykę udzielania Chrztu dzieciom uważa się za normę niepamiętnej tradycji. Orygenes, a po nim św. Augustyn uważali tę praktykę za „tradycję przejętą od Apostołów". (p. 4)

▪ Różne Synody regionalne oraz diecezjalne, odbyte po Soborze Trydenckim, z takim samym naciskiem nauczały o konieczności Chrztu dzieci. Także Ojciec Święty Paweł VI przypomniał bardzo dawną naukę na ten temat: „Chrztu należy udzielać również dzieciom, które same nie mogły jeszcze popełnić żadnych grzechów, by, pozbawione przy narodzeniu łaski nadprzyrodzonej, odradzały się z wody i Ducha Świętego do życia Bożego w Jezusie Chrystusie". (p. 8)

▪ Wysuwa się także zarzut, że udzielanie Chrztu dzieciom stanowi naruszenie ich wolności. Jest bowiem przeciwne godności osoby nakładanie dzieciom obowiązków religijnych, które należy w przyszłości wypełnić, a których one, być może, nie zechcą przyjąć. Jest więc lepiej, gdy Sakrament zostaje udzielony dopiero w tym wieku, w którym dzieci same stają się zdolne podejmować zobowiązania w sposób wolny. Wcześniej zaś rodzice i wychowawcy powinni postępować ostrożnie, niczego nie narzucając. (p. 21)

▪ Taki sposób myślenia jest z gruntu błędny; nie istnieje bowiem tak czysta wolność ludzka, by mogła być niezależna od jakiegokolwiek wpływu. Biorąc pod uwagę sam naturalny porządek rzeczy, dostrzegamy, że rodzice troszczą się o to, co jest konieczne dla życia i ma na względzie dobro dzieci. Sposób zachowania się rodziny w odniesieniu do życia religijnego dziecka, określany jako neutralny, byłby w rzeczywistości życzeniem zła, ponieważ pozbawiałoby je istotnego dobra. (p. 22)

↦ zdarzają. Choć świadomych decyzji na pewno jest więcej – zaznacza mój rozmówca.

Dar od Boga

43-letnia Agnieszka z Łodzi dość długo szukała swojej ścieżki duchowej. – Chociaż wychowałam się w rodzinie katolickiej, to nawrócenie przeżyłam dopiero w wieku 27 lat. Wcześniej interesowałam się przez jakiś czas religiami Wschodu, pojechałam nawet do Indii.

> Dojrzewa pokolenie wychowywane w odcięciu od sakramentów i katechezy. Oni nie będą się nawet zastanawiać, **czy swoje dziecko ochrzcić, czy nie.**

W pewnym momencie poczuła jednak, że to chrześcijaństwo jest jej drogą. – Spotkałam chrześcijan, których świadectwa mnie poruszyły. A ja miałam w sobie duży duchowy głód – wspomina Agnieszka.

O córkę starali się z mężem 10 lat, mamą została niedługo przed czterdziestką. Agnieszka modliła się o dziecko, regularnie uczestniczyła w mszach w tej intencji. Jedną z nich zapamiętała szczególnie. – Ksiądz w czasie kazania opowiadał, że wszystkie rodziny powinny być wielodzietne, co mocno mnie zdenerwowało, bo uważam, że to powinien być indywidualny wybór każdego człowieka – zaznacza.

Agnieszka powiedziała na modlitwie, że więcej na takiej mszy już się nie pojawi, chyba że zajdzie w ciążę. Miesiąc później już była. – Chrzest naszej córki był niemal w 12. rocznicę naszego ślubu. Dla mnie jest ona darem od Boga – przyznaje. Chociaż od razu dodaje, że korzystała też z pomocy lekarskiej i metod naprotechnologii.

Jej mąż nie jest wierzący. – Przy decyzji o chrzcie córki kłótni jednak nie było. Mąż zgodził się, aby nasze dziecko było wychowywane w wierze katolickiej i uczestniczył w chrzcinach córki. Byli też członkowie naszej rodziny, przyjaciele, a sakramentu udzielał zaprzyjaźniony ksiądz – relacjonuje. Rodzicami chrzestnymi zostały osoby wierzące i praktykujące.

– Z mojego punktu widzenia córka dostała wiele dobra i łask. Nie chciałam jej tego pozbawiać. To też dopiero początek budowania jej relacji z Bogiem i wkładam dużo pracy, aby była ona pogłębiana. Nie wyobrażam sobie ochrzcić dziecka i nic z tym dalej nie robić. To byłoby zwykłym kłamstwem – podsumowuje Agnieszka.

Skąd się wziął chrzest dzieci

– Tradycja chrztów dzieci sięga pierwszych wieków chrześcijaństwa – mówi o. Andrzej Kuśmierski. – Pierwotnie był to sakrament dla osób dorosłych, bo to one mogły zrozumieć niełatwą przecież Ewangelię. Jednak ludzie, którym wiara odmieniła życie, chcieli jak najszybciej włączyć w nią swoje dzieci. Skoro rodzice kochają dziecko nad życie, to chcą mu dać wszystko, co najlepsze.

Dominikanin dodaje, że w pewnym momencie Kościół zaczął sam „wychowywać" dzieci, co w jego ocenie było błędem. – To rodzice powinni je prowadzić, żyjąc autentycznie w wierze, pogłębiając swoją i jednocześnie tych dzieci relację z Bogiem. Wtedy ten chrzest ma sens.

Zaproszenie do życia

Zofia i Maciej z Warszawy są małżeństwem od 25 lat. Mają trójkę dzieci, wszystkie zostały ochrzczone i wychowane w wierze katolickiej, blisko Kościoła. – Najpierw urodziłam bliźnięta, ochrzciliśmy je, jak miały pięć miesięcy. Dla nas to była oczywista decyzja. Pochodzimy z wierzących rodzin, jesteśmy wychowankami warszawskiego Klubu Inteligencji Katolickiej. Teraz w jego prace są zaangażowane nasze dzieci – opowiada Zofia.

Wie jednak, że to nie zawsze taka prosta sprawa. Jest adwokatem rodzinnym i spotkała się z sytuacjami, gdy rodzice spór o to, czy dziecko ochrzcić, czy nie, przenosili do świeckich sądów rodzinnych. – Pojawiają się prośby o wydanie zastępczej zgody za drugiego rodzica. Podobnie dzieje się w przypadku sporu, czy dziecko ma chodzić na religię albo przy-

jąć pierwszą komunię. Jednak w przypadku chrztu nikt nie może podjąć decyzji za rodzica – zaznacza.

Maciej mówi, że nigdy z żoną nie czuli społecznego przymusu co do tego, jak wychowywać dzieci. – Chcieliśmy dać naszym dzieciom życie duchowe. Religijność jest dla nas ważna, zwłaszcza że tak dużo czasu poświęcamy na pracę i zaspokojenie potrzeb materialnych naszej rodziny.

Chrzty ich dzieci odbywały się podczas indywidualnej mszy, nie było żadnych przyjęć, goście zaproszeni zostali jedynie na ciasto i kawę. Na jednej z uroczystości obecna była opiekunka starszych dzieci, Czeszka. – Myślę, że dla niej to było trochę kosmiczne doświadczenie – wtrąca Maciej. – Zaprosiliśmy ją i jej rodzinę, choć nie są związani z jakimkolwiek Kościołem, nie zostali ochrzczeni. Ona chciała przyjść do kościoła w czarnej mantylce i musieliśmy wyjaśnić, że to strój na oficjalną audiencję u papieża – dodaje z uśmiechem Zofia.

Dzisiaj ich dzieci mają po 17 i 19 lat. – Starsi są w okresie wahania. Bierzmowanie przyjęła na razie dwójka z trójki naszych dzieci. Każde robiło to indywidualnie, nie hurtowo, z klasą. Wcześniej byli też osobno przygotowywani do pierwszej komunii. Miałam wrażenie, że do nich naprawdę dociera, o co w tym wszystkim chodzi – opowiada ich mama.

Świadome wybory

Co dziecko zrobi dalej z tym, co otrzyma przy chrzcie, zależy już tylko od niego. Na to już rodzice większego wpływu nie mają. – Wiarę przyjmuje się w wolności i nawet dziecko w niej wychowane może ją później odrzucić. Ale włączone do niej w dzieciństwie, ma więcej narzędzi, aby wybierać świadomie – zaznacza o. Kuśmierski.

Większość osób, które dziś są rodzicami, takie narzędzia miało – przez kontakt z wiarą w domu rodzinnym, chodzenie w dzieciństwie do kościoła, przyjmowanie sakramentów, uczęszczanie na religię. Teraz dojrzewa pokolenie, które wychowuje się w odcięciu od sakramentów i katechezy. Oni już nie będą się nawet zastanawiać, czy swoje dziecko ochrzcić, czy nie.

© MARTA GLANC



OLIVIER DOULIERY / AFP / EAST NEWS

Symbole religijne i wojenne wykorzystywane przez atakujących Kapitol zwolenników prezydenta Trumpa, Waszyngton, 6 stycznia 2021 r.

Ewangelia a pokusy przemocy

JERZY SOJKA, EWANGELICKI TEOLOG:

EKUMENIZM | Chrześcijaństwo w pewnym momencie zakochało się w swojej potędze i nie może się z tego wyleczyć. Rozplątanie splotu religii, polityki i siły kiepsko nam idzie.

PAULINA MODEL: Wciąż zabijamy w imię religii?

JERZY SOJKA: My, chrześcijanie? Nie ma obecnie wojny religijnej. Ale można wskazać radykalne środowiska, które są do tego gotowe. Stereotypowo wiążemy przemoc religijną z islamem, nie zauważając naszych własnych fundamentalizmów.

Także w Europie?

Trudno być może na Starym Kontynencie podać przykłady przekroczenia granicy przemocy. Jednak lokalne ruchy coraz chętniej opierają się na wzorcach ze Stanów Zjednoczonych, a tam np. religijna prawica w latach 90. XX w. podkładała bomby pod kliniki aborcyjne. I nie chodzi wcale o poglądy na aborcję, tylko o to, że ktoś pomyślał, iż można je wyrazić za pomocą zaplanowanej przemocy.

Gdzie leży źródło tej przemocy?

Zaczęło się wraz z Konstantynem Wielkim, czyli w momencie, gdy chrześcijaństwo dostało środki, by egzekwować przemoc. Stało się ono też swego rodzaju lepiszczem ideologicznym dla imperium. I gdy nabyło także charakteru społeczno-politycznego, pojawiło się pytanie, co robić, gdy ktoś się do religii nie stosuje.

Wtedy sięgano po miecz.

Wstydliwym przykładem są krucjaty. Zepsuły one chrześcijaństwu zachodniemu nie tylko relacje z islamem, ale także, po złupieniu Konstantynopola, ze wschodnim chrześcijaństwem. ↦

↦ Dopełnia się wówczas schizma z 1054 r. Nieufność, wówczas zaciągnięta, obecna jest w prawosławiu do dziś. Podobny skutek wywarła na polskim prawosławiu Unia Brzeska.

Takie resentymenty są bardzo trwałe.

Wiem to z własnego przykładu: jestem luteraninem pochodzącym ze Śląska Cieszyńskiego. Tam wciąż duże znaczenie ma epizod kontrreformacyjny. Najpierw panujący pod koniec XVI w. książę cieszyński Wacław III Adam wprowadził reformację. Później jego syn – Adam Wacław – pod wpływem Habsburgów przeszedł na katolicyzm i rozpoczął odbieranie ewangelikom kościołów. Przez 50-70 lat luteranie spotykali się po domach i lasach. Działo się to w XVII w., a do dziś głęboko gdzieś to w ludziach siedzi. To jest przerażające w przemocy religijnej – zostawia głębokie rany, które trudno wyleczyć, a procesy pojednania są skomplikowane.

Mówi się m.in., że skoro reformacja pociągnęła za sobą krwawe żniwo wojny chłopskiej, to nie mogła być dobra.

W takim razie Kościół zachodni też nie może być dobry, skoro krucjaty przyniosły tyle szkody. To przykład używania historii do tego, żeby powiedzieć coś, co się chciało powiedzieć.

Co do wojny chłopskiej – wzrastały obciążenia feudalne, wycofywano pewne zwyczajowe gwarancje, jak choćby to, że z pańskiego lasu można zbierać jagody. Ruch chłopski, żeby się bronić, odwołał się do Lutra – do jego metafory wolności chrześcijańskiej oraz powszechnego kapłaństwa. Na tym chłopi zbudowali ideowe uzasadnienie. Domagali się swoich praw, bo w chrześcijaństwie wszyscy są równi. Rewolucja użyła religii.

A co na to Marcin Luter?

Na początku poparł postulaty społeczne, ale skrytykował właśnie mieszanie porządku religii i władzy świeckiej – dla niego to dwa odrębne regimenty. To był autorski pomysł Lutra na Kościół i państwo. Kościół to sfera duchowa, ona ma rządzić się Ewangelią i w związku z tym nic mu do przemocy, bo nawet jeżeli przemocą coś na kimś wymusimy, to nie wygenerujemy wyznawców, ale hipokrytów. Z kolei w sprawach świeckich czasami trzeba sięgnąć do miecza w imię sprawiedliwości. Nie należy tych dwóch obszarów ze sobą mieszać, bo nie przyniesie to dobrych owoców ani dla religii, ani dla społeczeństwa.

Człowiek ma ogromny problem z innością.

Religia zaś może pełnić tutaj dwie role: otwierać na inność albo wręcz przeciwnie.

Władza świecka często czuła się odpowiedzialna za religijną kondycję swoich poddanych. W tym sensie Luter ma zasługi w koncepcyjnym rozdzielaniu sfery kościelnej od państwowej, natomiast nie był w stanie przekuć tej idei w społeczną rzeczywistość. Jak przyszło już później do praktyki, to sam wzywał do tępienia anabaptystów i Żydów. Dzisiaj to jest oczywiście nie do pomyślenia i uważam, że tu akurat zrobiliśmy krok w sensowną stronę.

A bracia polscy? Arianie utrzymali się przez chwilę w Rzeczypospolitej.

Bracia polscy to klasyczni antytrynitarze, którym faktycznie udało się pobyć w Polsce i w Siedmiogrodzie, gdzie znaleźli protektorów, ale potem też źle skończyli. Przez swoje przekonania stawiali się poza granicą chrześcijaństwa. Ponadto mieli jak na tamte czasy zupełnie rewolucyjne pomysły społeczne, np. pacyfizm.

Ścigano ich za promowanie pokoju?

Ponieważ oni to równocześnie łączyli z odmową przysiąg. Dziś to nic wielkiego, dawniej nie prowadzono tak skrupulatnie rejestrów i archiwów, prawie wszystko – procesy sądowe, procedury społeczne – oparte było na słowie. Odmowa dania słowa była równoznaczna z wypisaniem się ze społeczeństwa. Dotyczyło to i anabaptystów, i braci polskich.

Właśnie, jeszcze anabaptyści. Jaka była ich historia?

Była to grupa gorliwych zwolenników Huldrycha Zwingliego, pragnąca wrócić do prostoty czasów apostolskich, wiernie trzymać się Biblii, z czego wynikać miała m.in. konieczność chrztu dorosłych. Ostatecznie skonfliktowanych z Zwinglim anabaptystów topiono w płynącym przez Zurych Limmacie, umierali też w więzieniach, ale część z nich rozeszła się po Europie.

Inspirowani nimi radykałowie trafili do Münsteru w Westfalii. Tam przekonali większość mieszkańców do stworzenia eschatologicznej gminy prawdziwie wierzących już tu na ziemi. Powstała wojująca komuna anabaptystów, która nie rozprzestrzeniła się tylko dlatego, że otoczyli ich zwolennicy Rzymu przy poklasku reszty protestantów. W końcu wyrżnięto ich niemal w pień.

Do dziś na kościele św. Lamberta wiszą klatki, w których umieszczono ciała przywódców komuny münsterskiej. Ta historia jest warta opowiedzenia nie tylko, żeby przestrzec przed przemocą. Są w niej również początki menonitów. Menno Simons – lider ruchu – stracił tam brata. Przemyślawszy doświadczenie Münsteru zrozumiał, że pomysły nastawione na eschatologiczną przemoc kończą się rzeką krwi. Przez to nadał menonitom wyraźny rys pacyfistyczny. Do dziś są na liście *Peace Churches*.

Z czasem pojawia się coraz więcej pomysłów na pokój.

To często albo pomysły grup na granicy chrześcijaństwa i społeczeństwa, jak braci polskich czy kwakrów, albo wynik założycielskiego doświadczenia przemocy, jak w przypadku menonitów. Ale też braci morawskich, którzy wywodzą się z husytów. Część ruchu widząc, że próba obronienia swoich interesów siłą donikąd ich nie zaprowadziła w wojnach husyckich, utworzyła *unitas fratrum* – braci czeskich (braci morawskich w kolejnej iteracji). Wpisali oni w swoje idee pacyfizm już XV w. Mamy więc społeczności, które na sobie przećwiczyły, co to znaczy być wyrzutkiem, dlatego domagały się wolności religijnej i wyzbycia się przemocy.

Morawianie to dobry przykład Kościoła, który w pierwszym pokoleniu ma diakonki, a potem mijają dwa pokolenia i idee równościowe znikają.

Nic nie jest dane raz na zawsze – to zasadnicza lekcja protestantyzmu. Wszystko wymaga stałego wymyślania,

kontekstualizacji, odpowiadania na bieżące problemy.

Na przykład?

Znane z tradycji amerykańskiej historie obdżektorów, którzy odmawiali służby wojskowej w czasach I i II wojny światowej (kanwa paru niezłych filmów). Często byli to ludzie ze społeczności, które miały za sobą, powiedzmy, 300 lat życia ideami pacyfistycznymi i dopiero tragedia wojenna spowodowała, że musieli się spotkać z powszechnym poborem. We wspólnotach pojawiał się problem, co zrobić z tymi kwakrami czy morawianami, którzy jednak na wojnę poszli.

Ale w czasie wojny na kościele braci morawskich w Herrnhut wisiała flaga ze swastyką.

Losy herrnhutów za Trzeciej Rzeszy wpisały się w losy standardowych Kościołów państwowych, które nie uniknęły instrumentalizacji w imię polityki – nie tylko dlatego, że kiepski austriacki akwarelista okazał się tak charyzmatycznym liderem, ale dlatego, że Kościół już wtedy był elementem machiny państwowej. Ten los do pewnego momentu ominął Kościoły w USA, które miały znacznie luźniejsze powiązania.

Wojna czegoś je nauczyła?

Tragedia niemieckiego protestantyzmu i jego podporządkowania się nazistowskiej ideologii zmieniła świadomości i sprowokowała krytycyzm. Stąd i Stuttgarckie Wyznanie Winy, czy fakt, że niemiecki protestantyzm był awangardą pojednania polsko-niemieckiego z Memorandum Wschodnim, wydanym paralelnie do listu biskupów polskich do niemieckich. Stąd też skupienie powojennej teologii na Karlu Barthcie, który nigdy nie zbrukał się współpracą z nazizmem, czy na postaciach takich jak Dietrich Bonhoeffer.

A dziś?

Dziś temat pokoju wrócił w związku z wojną w Ukrainie. Powoli przebija się świadomość, że wartością nie jest brak wojny, tylko sprawiedliwy pokój, biblijny *szalom*.

Myśląc o pokoju za wszelką cenę, patrzymy na wschód Europy?



ALBIN HILLERT / LWF

DR HAB. JERZY SOJKA, teolog ewangelicki, profesor w Katedrze Teologii Historycznej Chrześcijańskiej Akademii Teologicznej w Warszawie.

Oczywiście ostatnio „triumfy" pod tym względem święci Cerkiew rosyjska pod patriarchą Cyrylem, ale niech to nie uspokaja tradycyjnych katolików z podobnymi poglądami, czy szalonych ewangelikałów, którzy ostatnio przebili się do Białego Domu ze swoim programem. Mowa o koncepcji odzyskiwania przez chrześcijan tzw. siedmiu wzgórz społecznych (*Seven Mountain Mandate*), m.in. edukacji, polityki czy rodziny, czyli *de facto* dominacji doczesnej Kościoła.

To skapuje też na grunt polski?

Dało się to zaobserwować w kontekście kryzysu na granicy białoruskiej, kiedy zdarzały się głosy w środowisku protestanckim niemalże skopiowane od tych wszystkich nacjofaszystów amerykańskich: że trzeba uprawiać „twarde miłosierdzie". Termin zapożyczam z lutrowskiego „O Żydach i ich kłamstwach", bo postulaty były w tym duchu.

J.D. Vance sięgał do *ordo caritatis*, czyli do obowiązku troski przede wszystkim o najbliższych.

On to akurat mówił z pozycji tradycjonalistów katolickich, którzy różnią się od ewangelikałów tym, że mają starsze odniesienia intelektualne. Żadna tradycja nie jest bezpieczna od oszołomstwa politycznego.

Przykład amerykański pokazuje jeszcze jedną rzecz: wojowniczy fundamentalizm to fenomen, nie tyle konkretnie religijny, co antropologiczny. To znaczy: jakaś grupa ludzi jest gotowa pójść w przemocowe schematy bez pytania o konsekwencje, w imię własnego poczucia bezpieczeństwa i odmowy podejmowania ryzyka krytycznego myślenia (no bo krytyczne myślenie ma ten minus, że może okazać się boleśnie trafną samokrytyką).

Czyli źródłem wojny jest odwieczna opozycja my–obcy i brak krytycyzmu...

Najstarszy i najbardziej pobożny sposób uzasadnienia przemocy religijnej to opowieść, że oto będziemy dbać o zbawienie innych. Myślenie, że nad światem miałoby dominować chrześcijaństwo, choć samo się wzięło z marginalnej sekty peryferyjnej religii, jest głęboko perwersyjne. Nauczyciel z Nazaretu to pięknie poskładał. Kluczem pokazanym w Ewangelii jest przejście przez słabość – krzyż i zmartwychwstanie. Gdy oparta na tym religia doszła do władzy, to ta władza ją jednak głęboko skorumpowała w imię, wydawałoby się, wyższych ideałów.

Co poszło nie tak?

Człowiek ma ogromny problem z innością. Religia zaś może pełnić tutaj dwie role: otwierać na inność albo wręcz przeciwnie. Istnieją chlubne przykłady, jak abolicjoniści chrześcijańscy w Stanach Zjednoczonych czy szesnastowieczni misjonarze w Amerykach, którzy doprowadzili do tego, że miejscowa ludność została uznana za ludzi, a nie za zwierzęta. A jednocześnie mówimy dziś o przykładach, gdy chrześcijaństwo w pewnym momencie zakochało się w swojej potędze i nie może się z tego wyleczyć. Rozplątanie tego splotu religii, polityki i siły kiepsko nam idzie od czasów Konstantyna.

Praca przed nami?

Patrząc na początek Biblii, to już trzecia historia jest o bratobójczej walce o pozycję w rodzinie. Chrześcijaństwo daje nam narzędzia, żeby uniknąć pokusy władzy i przemocy. Natomiast jego dramat polega na tym, że to wciąż nie jest oczywiste. Cały czas mamy możliwość, żeby zrobić jedno albo drugie. W pewnym sensie każdego dnia wybieramy.

© Rozmawiała PAULINA MODEL

Wolność za murem

MARTYNA LESZCZYŃSKA

FILM | Zamiast moralizowania, reżyserka proponuje uważną obserwację. I oddaje głos postaciom, wykreowanym na potrzeby filmu, które próbują zrozumieć fenomen zakonnego powołania.

Życie zakonne od zawsze było domeną kobiet. Nie tylko w Hiszpanii. I nie tylko tam od lat przeżywa kryzys powołań. To problem całej Europy Zachodniej i Ameryki Północnej. Tendencja spadkowa utrzymuje się, a wraz z niżem demograficznym zamykane są kolejne zabytkowe klasztory. Nic dziwnego, że film „Niedziele" wzbudził takie zainteresowanie Kościoła, jako wierny obraz trudnej drogi do życia konsekrowanego.

Wiara oczami ateistki

Nie jest to film *stricte* religijny. Raczej uznać go można za rzadki przykład produkcji o tematyce religijnej, która nie polaryzuje, ale zdobywa sympatię i uznanie – także ludzi niewierzących. O jego sukcesie zadecydowała na pewno ideologiczna wstrzemięźliwość: obraz nie narzuca widzowi żadnej określonej interpretacji ani nie oczekuje od niego opowiedzenia się po którejkolwiek ze stron. Reżyserka, Alauda Ruiz de Azúa, zamiast moralizowania proponuje uważną obserwację i w pełni oddaje głos wykreowanym na potrzeby filmu postaciom.

Deklaruje się jako ateistka, ale jej filmy – jak sama mówi w wywiadach – powstają z pozycji niepewności. Przyznaje, że zagadnienie powołań wśród młodych kobiet nurtuje ją od momentu, gdy tę „radykalną" – jak uważa – decyzję podjęła dziewczyna z jej bliskiego otoczenia. Miały wtedy po dwadzieścia lat i dopiero co wchodziły w dorosłe życie. Tymczasem jedna z nich najbardziej na świecie pragnęła zamknąć się w murach klasztornych i w pełni oddać modlitwie. Co nią kierowało? W jako sposób kobiety doświadczają powołania? Co wtedy odczuwają i jak się z tym mierzą?

Tak zrodził się pomysł na film, wychwalany przez widzów i krytyków, laureat Złotej Muszli na Międzynarodowym Festiwalu Filmowym w San Sebastián w 2025 r. Jego premiera w Hiszpanii, co ciekawe, zbiegła się w czasie z pojawieniem się innego uduchowionego produktu popkultury – inspirowanego żywotami świętych i mistyczek albumu „Lux" nagranego przez Rosalíę, nową ikonę hiszpańskiej muzyki.

Duchowe lenistwo

W dawnych czasach, gdy kobiety nie miały do wyboru wielu dróg życiowych, a religia stanowiła centrum kultury, życie zakonne było jedną z nielicznych alternatywnych do małżeństwa ścieżek życiowych, oferujących im realną podmiotowość. Klauzura była też, paradoksalnie, jedną z niewielu autonomicznych przestrzeni, do których uciekało się choćby przed aranżowanymi ślubami.

W średniowieczu klasztory wymagały od kandydatek posagu – w pieniądzach czy dobrach ziemskich – przez co zgromadzenia zakonne konkurowały ze sobą o dziewczyny z bogatych rodzin. Posag zasilał majątek klasztoru, stanowił istotny element ekonomii zakonnej, zabezpieczał utrzymanie sióstr.

Z drugiej strony – oddanie córki do zakonu było narzędziem kontroli rodzinnego majątku. Zakony były przecież instytucjami klasowymi, a większość sióstr pochodziła z uprzywilejowanych warstw społecznych. Atmosfera „duchowego lenistwa" w dawnych klasztorach sprowokowała jedną z najbardziej znanych hiszpańskich zakonnic – św. Teresę z Ávili (1515-1582) – do gruntownej reformy życia zakonnego: odrzucenia wysokich posagów, dążenia do wprowadzenia surowych karmelitańskich reguł, takich jak życie z własnej pracy i jałmużny czy ścisłej klauzury (ustanowionej co prawda dopiero podczas Soboru Trydenckiego



w 1563 r.). Co budziło opór wielu sióstr, przyzwyczajonych do luksusów i swobód.

Bunt i poszukiwanie

Gdy główna bohaterka filmu, 17-letnia Ainara z Bilbao – w tę rolę wcieliła się utalentowana debiutantka Blanca Soroa – wyjawia rodzinie, że ma zamiar wstąpić do zakonu klauzurowego, nikt nie bierze jej na poważnie. Przynajmniej z początku. Dlaczego młoda i inteligentna dziewczyna miałaby się zamykać w klasztornych murach? Nie taką ścieżkę kariery dla niej widziano. Wiara oglądana przez filtr utylitarności jest akceptowalna, dopóki nie domaga się zerwania z logiką sukcesu i widzialności w nowoczesnym społeczeństwie.

Dzisiejsze świeckie społeczeństwa Zachodu nie wydają się być miejscami szczególnie sprzyjającymi nowym powołaniom. Dlatego temat powołania zakonnego, choć stanowi fundament narracyjny filmu, staje się równocześnie punktem wyjścia do refleksji wykraczającej



DAVID HERRANZ / MATERIAŁY PRASOWE RAFAEL FILM

NIEDZIELE, *reż. Alauda Ruiz de Azúa Hiszpania 2025 (polska premiera filmowa: 26 grudnia 2025 r.)*

daleko poza sferę religijną. Nadmiernie stymulująca rzeczywistość zamiast nas wyzwalać – paraliżuje. Zamknięcie się w klasztorze kontemplacyjnym może być odczytywane wręcz jako postawa kontrkulturowa – sprzeciw wobec dominującego stylu życia w dopaminowej pętli i wiecznej gonitwy za chwilowymi uciechami.

Gdy młodsze siostry 17-letniej Ainary odpakowują komunijny prezent – nowiutki model iPhone'a – przy stole rozlegają się szaleńcze piski radości i entuzjazmu. Tymczasem ona łapie się za zwisający na jej szyi maryjny medalik, pierwszokomunijny prezent od zmarłej mamy. Maryja miała zawsze ją mieć w opiece. Chęć oddania się Bogu jest być może również odpowiedzią na ból po śmierci najbliższej osoby. A gdy ciotka głównej bohaterki próbuje ją przekonać, że powinna jeszcze wiele doświadczyć w życiu, zanim podejmie tak ważną decyzję, nastolatka sprzeciwia się: jest przekonana, że dopiero w zakonie, wśród innych sióstr, poczuje się naprawdę szczęśliwa, a jej życie nabierze pełni. Jest w tym i młodzieńcze poszukiwanie własnej drogi, i bunt przeciwko autorytetowi rodziny.

Społeczna hipokryzja

Podczas pracy nad scenariuszem reżyserka filmu odkryła, że bliscy większości jej rozmówczyń zareagowali na ich decyzję podobnymi, skrajnymi emocjami. Wiadomość o powołaniu nierzadko generowała potężne konflikty w rodzinie, co pokazuje, jak duże jest napięcie pomiędzy deklarowaną religijnością a kulturową definicją szczęścia i sukcesu. Były wychowywane w zgodzie z katolickimi wartościami, zwykle uczęszczały do przyzakonnych szkół, nagle jednak spotykały się z odrzuceniem i brakiem zrozumienia.

W Hiszpanii wiele dobrze sytuowanych rodzin posyła dzieci do tzw. szkół *concertados* prowadzonych przez instytucje kościelne i tylko częściowo finansowanych ze środków publicznych. W Kraju Basków (w tym w Bilbao, gdzie rozgrywa się akcja filmu) ich siatka jest wyjątkowo gęsta. Choć to jedna z najbardziej zlaicyzowanych wspólnot autonomicznych w kraju, to religijny charakter placówek jest powszechnie akceptowany – choćby ze względu na wyższy niż gdzie indziej poziom nauczania. Kapitał edukacyjny Kościoła jest atrakcyjny, nawet dla społeczeństwa sceptycznego wobec jego nauk i szepczącego dzieciom, by „nigdy nie ufały księżom".

Odwaga i poświęcenie

Ainara jest zatem w swojej decyzji osamotniona. Towarzyszą jej jedynie duchowi przewodnicy ze szkoły: matka przełożona zakonu oraz młody, charyzmatyczny ksiądz. Proces tzw. rozeznawania powołania staje się bolesnym doświadczeniem, które wystawia na próbę jej wiarę i pragnienia. Coniedzielne obiady stają się tłem płomiennych dyskusji na temat przyszłości dziewczyny. Targana sprzecznymi emocjami rodzina próbuje obrać wspólny kurs. Ostatecznie jednak każdy jej członek musi zmierzyć się z decyzją Ainary samodzielnie.

Zatroskany, lecz konserwatywny w poglądach ojciec przyjmuje postawę bierną, godząc się powoli z wolą córki. Inaczej radzi sobie jego niewierząca siostra, nowoczesna ciotka, która przejęła pozycję zmarłej przedwcześnie matki dziewczyny, a teraz chce za wszelką cenę chronić Ainarę przed pochopnymi wyborami. Czy decyzja o pójściu za klauzurę jest w jej przypadku ucieczką? Życie na zewnątrz to walka z chaosem, gdzie między czernią a bielą rozciąga się szerokie spektrum niewygodnej szarości, w której na co dzień poruszają się bliscy dziewczyny. Ciotka wie, że traci kontrolę i nie jest w stanie przemówić bratanicy do rozsądku. Doprowadzona do ostateczności wykrzykuje w kierunku odchodzącej dziewczyny, że wszystko, co w szkole opowiadali jej o zakonnym życiu, jest wierutnym kłamstwem. Ainara słucha w milczeniu. Wychodząc, mówi tylko: „Będę się za ciebie modlić". Pójdzie własną drogą. Każdy taki wybór, dokonany wbrew woli najbliższych, wymaga odwagi i poświęcenia. Bez względu na to, jaka to jest droga. ©

ZUZANNA

Radzik: *Odrabianie zaległych lekcji*



Grudniowe spotkanie z europosłem Grzegorzem Braunem, dumnym antysemitą, miało miejsce w jednej z sal domu zakonnego parafii św. Jana Bosko w Szczecinie. Przeniosło się tam po tym, jak (pod presją) odmówiono Braunowi udostępnienia wcześniej umówionej sali seminarium diecezjalnego. Kiedy ponad 20 lat temu pytałam warszawskiego proboszcza, czemu w piwnicy kościoła znajduje się otwarcie antysemicka księgarnia, tłumaczył, że musi wynająć, bo inaczej nieogrzewane piwnice mu gniją. Widać w Szczecinie bieda, skoro seminarium musi sobie dorabiać szemranym wynajmem. Też im coś gnije? Tłumaczyli, że miało to być spotkanie opłatkowe i jak się dowiedzieli, że jednak bardziej ze zwolennikami, to wymówili. Salezjanom, którzy go przyjęli, widać taki gość nie przeszkadzał.

A może jednak ktoś tam sympatyzuje z europosłem, który symbolem swojej kampanii uczynił gaśnicę, wcześniej użytą w Sejmie do zdławienia ognia chanukowych świec. Trzeba jednak mocno zamknąć oczy, by po czymś takim dać mu salę na spotkanie w katolickiej instytucji...

Nie zazdroszczę zatem kardynałowi Rysiowi, że jest w episkopacie odpowiedzialny za dialog z judaizmem. Nie jest to najprostsza teka przy takim stanie spraw. I to nie tylko z powodu europosła. Również dlatego, że antysemityzm to wciąż żywe uprzedzenie. Od zawsze ten temat jest w polskim Kościele dość niechciany, nielubiany i robiony po łebkach, od Dnia Judaizmu do Dnia Judaizmu, rzadziej pomiędzy, dogłębnie i codziennie. Przy czym doceniam, że te Dni się dzieją, wędrują po Polsce i uparcie przypominają, ile jest tematów i roboty.

A przecież to fascynująca dziedzina. Zmiana stosunku do Żydów i judaizmu to jedno z największych teologicznych nawróceń XX wieku. Teologia po Zagładzie, nie tylko w tej dziedzinie, nabrała pokory. Sam dialog dotyka zaś spraw najważniejszych: wizji zbawienia, tego, kim jest Jezus, czy możemy i umiemy mówić o nim tak, by nie negować miejsca judaizmu. Czym jest w zasadzie chrześcijańska misja, zwłaszcza jeśli już nie prowadzimy jej wobec Żydów?

Przydaje się w nim dobra znajomość Biblii, zrozumienie historii starożytnej i czasów Jezusa. Znajomość historii współczesnej też jest konieczna. No i oczywiście sporo empatii i zupełnie międzyludzkich umiejętności. Interdyscyplinarna, fascynująca dziedzina dotykająca na wielu poziomach bieżących wyzwań. Aż dziw, że z takim uporem nie uczą tego w seminariach i na wydziałach teologii.

Gdyby uczyli, to może kardynał Ryś, jako kolejny z odpowiedzialnych za ten temat biskupów, nie musiałby w wywiadzie dla KAI mówić, że „jako Kościół w Polsce naprawdę potrzebujemy naszym wiernym pokazywać, czego Kościół uczy na ten temat". Bo to brzmi trochę nudno, jak oblig z Watykanu, a nie jak intelektualna i międzyludzka przygoda, którą jest dialog. Inna sprawa, że ciężko pokazywać coś wiernym, jak się ma w tych sprawach kompletnie niewyedukowany personel.

Kardynał zapowiada list na te tematy, do odczytania w kościołach w 5. niedzielę Wielkiego Postu z okazji rocznicy wizyty Jana Pawła II w rzymskiej synagodze. Zastanawia, że dopiero co minęła 60. rocznica soborowej deklaracji „Nostra aetate", odpowiedzialnej za rewolucję w kościelnym nauczaniu o Żydach: chyba lepsza okazja do przypominania tej zmiany, no ale może w Polsce trzeba wszystko uzasadniać naszym papieżem, a nie wolą soboru powszechnego. A poza tym: sprawczość listów rozsyłanych po parafiach do przeczytania jest, jaka jest. Nikła.

I już z zupełnie innej beczki: czasy dla dialogu i relacji chrześcijańsko-żydowskich nie robią się prostsze, my zaś zajmujemy się w kółko powtarzaniem podstaw, drepczemy wokół dokumentów sprzed 60 czy 40 lat, zamiast wdrożyć, co w nich zadane, i iść do przodu.

Przy okazji Dnia Judaizmu na wiele sposobów odmienia się słowa, że judaizm to nasze korzenie. Ale judaizm to nie wykopalisko z czasów Jezusa i Apostołów, ale żywa rzeczywistość, zmieniająca się i rozwijająca. Dialog wymaga, by widzieć go jako podmiot własnej historii, a nie tylko przypis do naszej teologii i oczekiwań. Dziś zresztą wyzwaniem dialogu jest także spotkać żywy judaizm, który ma swoich faszyzujących radykałów, łączących religię z nacjonalizmem i przy jej pomocy uzasadniających zbrodnie.

Nie jesteśmy jednak na to wszystko gotowi, bo wciąż odrabiamy zaległe lekcje. ©

Zuzanna Radzik jest teolożką i działaczką społeczną zajmującą się dialogiem chrześcijańsko-żydowskim. Autorka „Kościoła kobiet".

O. WACŁAW

Oszajca:
Szczęście w nieszczęściu



„Wzywam was, bracia, przez imię naszego Pana Jezusa Chrystusa, abyście wszyscy mówili jedno i aby nie było między wami rozłamów. (...) Mówię to dlatego, że każdy z was mówi: Ja jestem Pawła, a ja Apollosa, ja Kefasa, a ja Chrystusa. Czy Chrystus jest podzielony? Czyż Paweł został za was ukrzyżowany?" – pyta Paweł Koryntian i przypomina, że Chrystus posłał go „głosić ewangelię (...) aby krzyż Chrystusa nie został pozbawiony mocy".

„Wzywam was, bracia", tak wielkodusznie Paweł podchodzi do uczestników korynckiego konfliktu, gdyż pamięta, że był czas, kiedy on sam z przekonaniem prześladował ludzi, którzy po jego nawróceniu stali się jego braćmi. Dlatego mówi im o „mocy krzyża Chrystusa". Dobrym przykładem na tę moc jest postawa innego apostoła, Piotra, względem Judy z Kariotu. Wydanie Jezusa, do którego przyczynił się Juda, Piotr widzi nie inaczej, ale jako szczęście w nieszczęściu, skoro tak podły też mieści się w boskiej ekonomii działania. „Musiało zostać spełnione Pismo, w którym Duch Święty ustami Dawida przepowiedział Judasza, który stał się przewodnikiem tych, którzy schwytali Jezusa" – mówi Piotr na synodzie rodzącego się Kościoła. Oświadcza, że był on „jednym z nas", a więc nie osądza Judy, nie odżegnuje się od niego. Zwłaszcza że czytamy u Mateusza: „Wszyscy arcykapłani i starsi ludu zdecydowali, że zgładzą Jezusa. Związali Go więc, odprowadzili i przekazali namiestnikowi Piłatowi. Wówczas Judasz, który Go wydał, widząc, że Jezusa skazano, zaczął żałować tego, co zrobił. Zwrócił arcykapłanom i starszym sumę trzydziestu srebrników. Zgrzeszyłem – wyznał. – Wydałem na śmierć niewinnego człowieka". Najwidoczniej fakty, których Juda był współautorem, uprzytomniły mu, co tak naprawdę zrobił.

Nie nam sądzić Judę, przecież pamiętamy: „W niebie większa będzie radość z jednego skruszonego grzesznika niż z dziewięćdziesięciu dziewięciu sprawiedliwych, którzy nie potrzebują opamiętania". Odmiennego zdania byli wspomniani „arcykapłani i starsi ludu", dlatego Juda usłyszał od nich słowa, których żaden człowiek nigdy nie powinien usłyszeć: „Co nam do tego? To twoja sprawa". Tak, to sprawa Piotra, Judy, Pawła i każdego człowieka, ale przede wszystkim i na szczęście – Miłości. ©

O. Wacław Oszajca jest jezuitą, teologiem i duszpasterzem. Autor wielu tomów poezji, był m.in. jurorem Nagrody Literackiej Nike.

KARD. GRZEGORZ

Ryś:
Obezwładniony Bóg

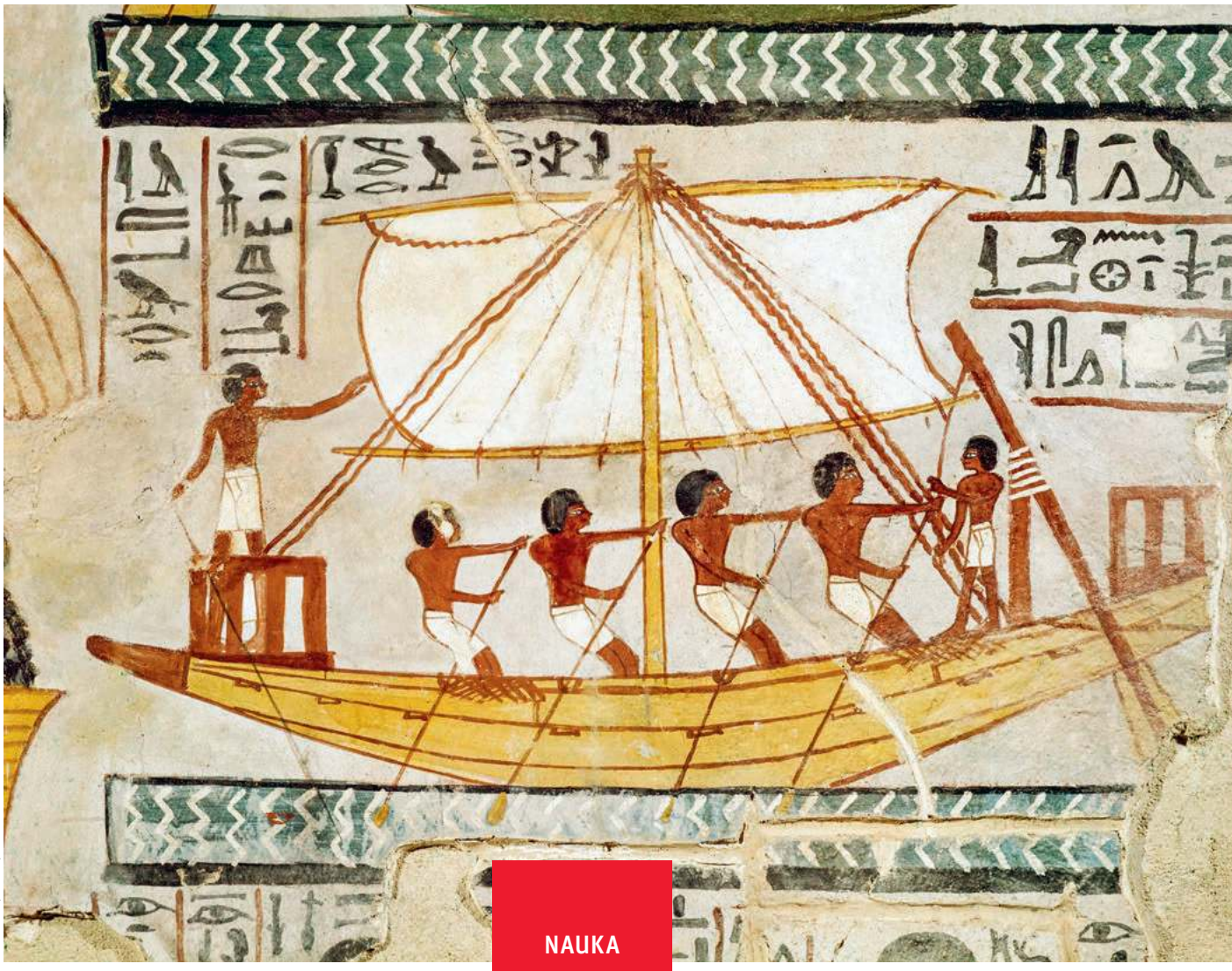


Liturgia uczyniła nas w ubiegły czwartek świadkami następującego wydarzenia: „Izraelici wyruszyli do walki z Filistynami (...). Izraelici zostali pokonani przez Filistynów, tak, że poległo około czterech tysięcy ludzi. Po powrocie ludzi do obozu starsi Izraela stawiali sobie pytanie: Dlaczego Pan dotknął nas klęską? Sprowadźmy sobie tutaj Arkę Przymierza (...). Gdy Arka Przymierza Pańskiego dotarła do obozu, wszyscy Izraelici podnieśli głos w radosnym uniesieniu, aż ziemia drżała (...) Filistyni przelękli się. Mówili: Bóg przybył do obozu. Biada nam! Kto nas wybawi z mocy tych potężnych bogów? Przecież to ci sami bogowie, którzy zesłali na Egipt wszelakie plagi. Trzymajcie się dzielnie i bądźcie mężami, Filistyni, i walczcie! Filistyni stoczyli bitwę i zwyciężyli Izraelitów. Klęska to była bardzo wielka. Zginęło trzydzieści tysięcy piechoty izraelskiej. Arka Boża została zabrana, a dwaj synowie Helego, Chofni i Pinchas, polegli" (1 Sm 4, 1-11).

Co się stało? Czy Bóg, który mocną ręką wyzwolił Izraela z Egiptu, przestał być wszechmogący? Przeczytajcie następne dwa rozdziały 1. Księgi Samuela, a zobaczycie, że nie! Zobaczycie Boga, który nie potrzebuje armii Izraela, by zwyciężyć Filistynów. Tak dalece, że po upływie siedmiu miesięcy nie tylko oddadzą oni Arkę Przymierza Żydom, ale uczynią to w formie pokutnej procesji, dołączając do Arki dary przebłagalne ze złota. Bóg nie stracił swojej mocy. Sądzę jednak, że został obezwładniony – trochę w tym samym kluczu, w którym święty papież Paweł VI pisał, że chrześcijanie „obezwładnili Ewangelię". Kto „obezwładnił" Boga tamtego dnia?

Odpowiedź kryje się w pierwszych trzech rozdziałach 1. Księgi Samuela: uczyniło to trzech kapłanów, wymienieni w ostatnim zdaniu przytoczonego fragmentu Chofni i Pinchas oraz ich ojciec Heli. Synowie dopuszczający się w świątyni (!) każdego rodzaju bluźnierstwa, bałwochwalstwa i niegodziwości; ojciec – niepotrafiący zareagować we właściwy sposób na dziejące się zło. To fragment Biblii, który pokazuje, jak dalece grzech kapłanów nie pozostaje ich „prywatnym" problemem, lecz uderza w całą wspólnotę Ludu Boga. Jak potrafi przesłonić świętość, wielkość i moc Boga. To mocne słowo Boga stawia do pionu. Z ogromną miłością. ©

Kardynał Grzegorz Ryś jest historykiem Kościoła, kaznodzieją i rekolekcjonistą. Wydał wiele książek o historii, teologii i duchowości.



LEEMAGE / UIG / BE&W

NAUKA

Łódź na Nilu, malowidło naścienne z czasów 18. dynastii (ok. 1567-1320 p.n.e.). Egipt, Teby, grobowiec Seenefera

BARIERA, KTÓREJ NIE BYŁO

PROF. JOSEPHINE QUINN, HISTORYCZKA:

Dzieje dawnych społeczeństw są historią kulturowego zapożyczania. Historia świata wręcz zależy od tego, że takie zapożyczenia zachodzą. Izolacja jest nie do pogodzenia z innowacją.

KASPER KALINOWSKI:
W szkole, kiedy omawia się początki Zachodu, wspominamy o Grekach i Rzymianach, czasem o żydowskim monoteizmie. Dużo pomijamy.

PROF. JOSEPHINE QUINN: I wiele tracimy, upraszczając fascynującą sieć spotkań i idei do jednej prostej podróży z Grecji do Rzymu, przez średniowieczne chrześcijaństwo, do „Zachodu". Nawet jeśli po drodze zajrzymy do hebrajskiej Ziemi Świętej, czczonej przede wszystkim jako miejsce narodzin chrześcijaństwa.

Moje ujęcie powstania współczesnych kultur i społeczeństw europejskich wykracza poza Europę. Umieszczam osiągnięcia europejskie w kontekście Afro-

-Eurazji, aby pokazać, że Zachód nie jest cudem stworzonym samodzielnie, ale wynikiem długotrwałych powiązań między większą i bardziej zróżnicowaną grupą społeczeństw z rozległych obszarów starożytnego i średniowiecznego świata.

Książkę „Jak świat stworzył Zachód" zaczyna Pani od handlu morskiego i portu w Byblos w dzisiejszym Libanie. Dlaczego?

Ponieważ żegluga wszystko zmieniła. Zanim pod koniec IV tysiąclecia p.n.e. na górnym Nilu pojawiły się żagle, podróże i transport były trudne, kosztowne i powolne. W Egipcie i Lewancie były co prawda osły, ale te nie mogły przewozić dużych ładunków ani poruszać się szybko.

W tym czasie na obszarach położonych dalej na północ wynaleziono koło – być może nawet na terenach dzisiejszej Polski, skąd pochodzi najstarsze przedstawienie koła, datowane na połowę IV tysiąclecia – ale najwcześniejsze koła były pełne w środku. Przez to wozy były zbyt ciężkie, aby mogły je ciągnąć zwierzęta inne niż woły, zresztą tylko na płaskim terenie. Jedynym skutecznym sposobem pokonywania dużych odległości była podróż wodą, w łodziach zwanych dłubankami – ale po zabraniu wioślarzy i prowiantu pozostawało mało miejsca na towary.

Łódź wyposażona w żagiel może płynąć trzy razy szybciej niż dłubanka, ma mniejszą załogę i znacznie więcej miejsca na ładunek. Kiedy w pierwszej połowie III tysiąclecia p.n.e. Egipcjanie opanowali sztukę żeglowania po Nilu i Morzu Śródziemnym, odległości morskie uległy skróceniu. Ich głównym portem był Byblos na wybrzeżu Lewantu, który służył jako pomost do Mezopotamii i Indii.

Mieszkańcy Byblos nauczyli się budować łodzie i żeglować, także na zachód, czyli pod dominujące na Morzu Śródziemnym wiatry. Kiedy statki z Byblos dotarły na Kretę około 2000 r. p.n.e., połączyły europejski świat rolniczych wiosek z bogatymi kosmopolitycznymi kulturami, technologiami i ideami Egiptu oraz Azji Zachodniej. Te koneksje miały swoje wzloty i upadki, ale nigdy nie zanikły.

Twierdzi Pani, że postrzeganie przeszłości przez pryzmat cywilizacji jest mylące. W starożytności ludzie nie myśleli o sobie w ten sposób?

Optyka cywilizacyjna jest wynalazkiem współczesnym. Rzeczownik „cywilizacja" w liczbie pojedynczej pojawił się po raz pierwszy w XVIII w. w języku francuskim, w kontekście idei oświeceniowych dotyczących ciągłego postępu ludzkości – od myśliwych, przez pasterzy, rolników, aż po handlarzy.

W tym modelu „cywilizacja" szybko stała się ostatecznym celem rozwoju ludzkości. Jednak dopiero w latach 20. XIX w. zaczęto mówić o „cywilizacjach" w liczbie mnogiej – ponownie w języku francuskim – jako o odrębnych kulturach, z których każda ma własną historię i charakter, a co najważniejsze, swoje naturalne ograniczenia. Analogicznie do wymyślonej w tej samej epoce idei „ras", koncepcja cywilizacji zyskała w XIX w. taką popularność, że dziś jest wszechobecna – jedyne interesujące pytania wydają się dotyczyć tego, dlaczego jedna cywilizacja radziła sobie lepiej od drugiej lub dlaczego między nimi powstawały konflikty.

To jednak sztuczny podział. Sugeruje, że kultury rosną jak drzewa, z odrębnymi od sąsiadów korzeniami i gałęziami, że cywilizacje powstają, rozkwitają i upadają w dużej mierze samodzielnie. W ramach takiego modelu można oczekiwać, że cywilizacja zachodnia rozwinie się od wewnątrz, czy to z Grecji i Rzymu, czy z germańskiej północy. Jednak historia nie działa w ten sposób. Prawdziwa zmiana historyczna wynika z nowych relacji między ludźmi, którzy wymieniają się nieznanymi sobie ideami.

Powinniśmy myśleć o społeczeństwie ludzkim nie jako o lesie pełnym drzew, ale jako o klombie, który, aby odrosnąć, potrzebuje zapylenia z innego miejsca. Koncepcja biologicznych „ras" została ostatecznie obalona w XXI w. przez genetykę i nadszedł czas, aby zrobić to samo z podziałami kulturowymi. To powiązania, a nie cywilizacje, napędzają zmiany historyczne – gdy wszyscy pozostają na swoim miejscu, nic się nie zmienia.

Możemy jednak mówić o kontynentach. Podział na Europę i Azję nie był ważny w starożytności?

O oddzielnych kontynentach po raz pierwszy czytamy w pracach greckojęzycznych geografów tworzących na terenie dzisiejszej zachodniej Turcji, zwłaszcza w porcie Milet, jednym z największych ośrodków handlowych, gdzie szlaki lądowe prowadzące do wielkich miast Azji Zachodniej łączyły się ze szlakami morskimi przebiegającymi przez Morze Śródziemne i Morze Czarne. Wiele prac tam powstałych ma wyraźne powiązania ze światem intelektualnym Babilonu, ale można założyć, że podział tego, co w rzeczywistości było jednym lądem afro-eurazjatyckim, na rozgraniczone kontynenty był ich nieco ekscentrycznym pomysłem.

Bardziej interesuje mnie jednak to, co nazywam „optyką kontynentalną", czyli idea, że kontynenty nie tylko istnieją, ale mają znaczenie i że istnieją między nimi istotne różnice. To bardzo silne przekonanie w epoce nowożytnej, szczególnie w kontekście podziału, a nawet antagonizmu między Europą a Azją. Zawsze ciekawiło mnie, dlaczego w starożytnych tekstach greckich można znaleźć tak niewiele śladów tej idei. Współcześni myśliciele często wywodzą binarne przeciwstawianie Azji i Europy, a nawet Wschodu i Zachodu, aż ze starożytnej myśli greckiej. Tymczasem u starożytnych nie zauważyłam tendencji do mówienia o Wschodzie i Zachodzie jako o miejscach lub przeciwieństwach – jeśli w ogóle o nich mówią, to jako o osi – Wschód i Zachód łączą znany świat. Natomiast ówcześni uczeni różnicują swoje mapy świata według stref klimatycznych biegnących z północy na południe. To ma o wiele więcej sensu – dla uprawy żywności naprawdę większe znaczenie ma to, czy mieszkasz Danii, czy w Tunezji, niż w Atenach czy Lizbonie.

Nawet nawiązując do podziału między Azją a Europą, współcześni uczeni nie odwołują się do koncepcji greckiej, ale do opisanej w języku greckim przez anatolijskiego historyka Herodota z V wieku p.n.e. Herodot stwierdza, że Persowie uważali Azję za swoją, a Europę z Grekami postrzegali jako coś odrębnego. W Grecji tak nie myślano – państwo ateńskie miało poddanych zarówno po europejskiej, jak i azjatyckiej stronie Morza Egejskiego. Dlatego lubię myśleć, że koncepcję kontynentów i różnic między nimi współczesny Zachód zapożyczył nie ze starożytnej Grecji, tylko z Persji.

Był to również czas wielkich innowacji. One pojawiały się na peryferiach imperiów czy w ich centrach? ↦

↦ Innowacje zazwyczaj nie powstają w stolicach imperiów, ale w mniejszych miejscach. Duże państwa są z natury konserwatywne. Najbezpieczniejszym sposobem na utrzymanie władzy jest trzymanie się sprawdzonych praktyk, symboli i relacji.

Ludzie na obrzeżach mocarstw lub pomiędzy nimi są mniej przywiązani do swoich zwyczajów i mają więcej do zyskania, próbując nowych rzeczy. Dobrym przykładem jest Ugarit, port z epoki brązu na wybrzeżu współczesnej Syrii, maleńkie królestwo, które leżało w cieniu wielkich imperiów epoki brązu – Babilończyków, Hetytów i Egipcjan. Ale mieszały się tam innowacje kulturowe.



SILAR / WIKIMEDIA / CC BY-SA 3.0

Najstarsze przedstawienie koła: waza z Bronocic (poł. IV tysiąclecia p.n.e.), rekonstrukcja

Mieszkańcy Ugarit jako pierwsi używali własnego języka w sprawach państwowych; wynaleźli pierwszy sponsorowany przez państwo alfabet do zapisywania tego języka i wykorzystali ten alfabet do stworzenia nowego rodzaju literatury – ekscytujących, zabawnych eposów i legend, które podważają konwencje polityczne i religijne, w których bogowie i królowie są słabymi i często śmiesznymi postaciami. A wszystko to nie pomimo, ale właśnie dzięki położeniu Ugarit na peryferiach kilku miejsc.

Miasto znajdowało się na skrzyżowaniu szlaków handlowych między większymi imperiami, żeglarze podróżujący wzdłuż wybrzeża Lewantu spotykali kupców z Cypru na zachodzie i Mezopotamii na wschodzie. Handel wzbogacił miasto, sprowadził licznych imigrantów, a także nowe informacje i idee.

Zachód kojarzy nam się dzisiaj z demokracją. To nie jest grecki wynalazek?

Za każdym razem, gdy ktoś próbuje wdrożyć gdzieś demokrację, jest to nowy wynalazek. Demokracja praktykowana w starożytnych Atenach nie miała nic wspólnego z systemem, który nosi dziś tę samą nazwę. W Atenach głosowania były rzadkością, a gdy już się odbywały, miały charakter aklamacyjny, więc nie było potrzeby dokładnego liczenia głosów. Prawie wszystkie stanowiska publiczne obsadzano w drodze losowania.

Interesujące byłoby wypróbowanie demokracji w stylu greckim we współczesnym świecie. Jednak poza systemem ław przysięgłych w niektórych krajach i strategiami wyborczymi małych ugrupowań lewicowych, model ten nie cieszy się zainteresowaniem. Co ciekawe jednak, historia demokracji opartej na losowaniu sięga Asyrii z XIX w. p.n.e. Aszur było wówczas małym miastem-państwem nad rzeką Tygrys, ale i potęgą handlową, wymieniającą tekstylia i cynę pozyskane w Babilonie na srebro i miedź z Anatolii. W jednej z enklaw handlowych w środkowej Anatolii, w miejscu zwanym Karum Kanesz (Port Kanesz), zachowało się niezwykłe archiwum listów wymienianych między kupcami, ich rodzinami i partnerami w Aszur.

Ujawnia ono m.in. wczesną formę demokracji zarówno w kolonii, jak i w samym Aszur, gdzie król miał ograniczone uprawnienia. Istniała rada starszych i suwerenne zgromadzenie wyborcze, a urzędnicy miejscy byli wybierani w losowaniu, tak jak ponad tysiąc lat później w Atenach. Podobnie jak w Atenach, rok był nazywany imieniem starszego sędziego wybranego w drodze losowania. Znamy nazwiska około stu takich mężczyzn, pół tysiąca lat przed tym, zanim bylibyśmy w stanie wymienić choćby jednego mieszkańca Europy.

Nie wiemy, czy istnieje bezpośredni związek między tymi dwoma epizodami w historii demokracji – ani czy Ateńczycy byli świadomi tego wcześniejszego przykładu. Ale o wielu starożytnych społeczeństwach niewiele wiemy, więc można przypuszczać, że demokracja – lub demokracje – mogła być bardziej powszechna.

A co przegapiamy, gdy przyjmujemy, że z Grecji historia Zachodu przenosi się prosto do Rzymu?

Choćby starożytną Kartaginę. Wielu uczonych wykazało, że imperia kartagińskie i rzymskie były podobne. Interesuje mnie, w jakim stopniu imperializm rzymski aktywnie zapożyczał z modelu kartagińskiego, który był znacznie większy i potężniejszy aż do stulecia wojen punickich, zakończonych zniszczeniem Kartaginy przez Rzymian. Rzymianie skopiowali kartagińską technologię morską, aby wygrać z Kartaginą, a następnie stare kartagińskie systemy administracji i opodatkowania wprowadzili na swoich nowych terytoriach.

Nie podoba się Pani stwierdzenie, że „Arabowie ocalili Greków dla Europy". Ich wkład nie był tak istotny?

Wpływ Arabów na rozwój Zachodu był nawet ważniejszy, niż się często podaje. Ocalenie tekstów greckich było tylko częścią znacznie większego „projektu tłumaczeniowego" realizowanego od VIII w. n.e. w Bagdadzie pod rządami Abbasydów, gdzie kalifowie poszukiwali mądrości świata, dzieł naukowych i akademickich napisanych w sanskrycie, po persku, aramejsku i grecku, i zlecali ich tłumaczenie na arabski.

To było bardzo wyraźne, wręcz hojne uznanie przez nich siły asymilacji kulturowej, w najlepszym tego słowa znaczeniu. W książce podkreślam, że tłumaczenie było tylko pierwszym krokiem – kluczowe było to, co arabskojęzyczni uczeni zrobili z nowymi ideami – ważnymi osiągnięciami w matematyce, naukach ścisłych, optyce i filozofii, które następnie rozprzestrzeniły się w Europie poprzez islamską Hiszpanię i Sycylię i były siłą napędową tego, co nazywa się renesansem XIII w.: narodzin sztuk wyzwolonych na Zachodzie, dzięki wymianie między uczonymi islamskimi, żydowskimi i chrześcijańskimi.

Kilka wieków później europejscy uczeni sami uzyskali dostęp do starożytnych greckich rękopisów w Konstantynopolu i innych ośrodkach bizantyjskich, i to właśnie na tych źródłach opierają się prawie wszystkie współczesne wydania starożytnych dzieł greckich – niewiele z nich przetrwało wyłącznie w języku arabskim. Jednak postępy w starożytnej nauce dokonane przez uczonych piszących w języku arabskim w średniowieczu pozostają kluczowe dla historii zachodniej nauki i medycyny.

Czy to, co nazywamy „wartościami zachodnimi" – np. wolność, racjonalność, tolerancja – nie ma korzeni w Grecji i Rzymie?

Nawet powierzchowna znajomość kultur greckiej i rzymskiej pokazuje, że mają one bardzo niewiele wspólnego z tym, co obecnie uważamy za wartości zachodnie. Znany jest ich entuzjazm dla niewolnictwa i pogarda dla kobiet, ale to nie wszystko – greckie miasta ceniły stosunki seksualne między mężczyznami i chłopcami, obywatele rzymscy lubili oglądać walki na śmierć i życie między niewolnikami i zwierzętami, a także publiczne egzekucje. To zupełnie inny, obcy świat.

Od kiedy mówi się o „Zachodzie" w dzisiejszym rozumieniu?

Termin ten pojawił się po raz pierwszy w literaturze europejskiej na początku XIX w., co szczegółowo opisuje mój przyjaciel Georgios Varouxakis w książce „The West". Był to wynik serii zmian tamtej epoki, kiedy idea cywilizacji „europejskiej" stała się problematyczna. Wielu europejskich osadników w nowych Stanach Zjednoczonych postrzegało rewolucję amerykańską jako zerwanie ze Starym Światem. Tymczasem w Europie narastały obawy przed Rosją. „Zachód" był pojęciem bardziej elastycznym, mogącym obejmować dowolną część Europy i rozciągać się na jej osady za oceanem. Problem z „Zachodem" polega jednak na tym, że nie jest to miejsce, ale kierunek. A kierunki zależą od tego, skąd się wyrusza.



FRAN MONKS / MATERIAŁY PRASOWE WYDAWNICTWA REBIS

JOSEPHINE QUINN jest profesorką historii starożytnej na Uniwersytecie Oksfordzkim. Współkierowała pracami archeologicznymi w Utyce. W jej dorobku znajdują się m.in. nagradzane książki „In Search of the Phoenicians" i „Jak świat stworzył Zachód" (Rebis 2025).

Samuel Huntington pisał o „zderzeniu cywilizacji", które miało wyjaśniać globalne zjawiska. Jak by mu Pani odpowiedziała?

W 1997 r. Huntington wysunął tezę, że cywilizacje staną się cechą definiującą nową epokę. Twierdził, że najważniejsze różnice między ludźmi mają dziś charakter kulturowy i religijny, a nie polityczny czy ekonomiczny, i wyróżnił dziesięć współczesnych cywilizacji, opisanych w kategoriach geograficznych i religijnych – w tym „zachodnią", sięgającą do dawnej żelaznej kurtyny, a dalej prawosławną czy islamską. W świetle późniejszych wydarzeń brzmi to proroczo i niekoniecznie chciałabym się z nim w tej sprawie spierać.

Kluczowe jest jednak to, że dla Huntingtona taki stan rzeczy odzwierciedlał trwałą kondycję ludzką. Pisał: „Przez większą część dziejów ludzkości kontakty między cywilizacjami były sporadyczne albo w ogóle nie istniały (...) Historia ludzkości jest historią cywilizacji. Nie da się myśleć o rozwoju ludzkości w innych kategoriach". I właśnie z tym zdecydowanie się nie zgadzam. Moja teza jest taka, że dzieje dawnych społeczeństw są historią kulturowego zapożyczania – i że w istocie historia w ogóle zależy od tego, że takie zapożyczenia zachodzą. Izolacja jest nie do pogodzenia z innowacją.

Myślenie o przeszłości przez pryzmat cywilizacji ma wpływ także na teraźniejszość?

Optyka cywilizacyjna dyktuje dzisiejszą retorykę polityczną i stosunki międzynarodowe, co najwyraźniej widać w wielobiegunowym modelu Putina, Xi, Modiego i innych.

To idea państw cywilizacyjnych, takich jak Rosja, Chiny i Indie, podmiotów kulturowych, które są zasadniczo równe, ale dość odrębne i mają prawo decydować o własnym losie, w tym o tym, kogo wykluczyć, a kogo włączyć jako członków – czy to poprzez wykluczenie muzułmanów z cywilizacji indyjskiej, czy też poprzez włączenie Ukraińców wbrew ich woli do Rosji.

To podejście jest jawnie przeciwstawiane innemu, równie niepokojącemu modelowi „cywilizacji Zachodu przeciw barbarzyństwu", w którym nikt inny się nie liczy – i który widzimy dziś często w kontekście izraelskiego ludobójstwa w Gazie. Te dwa podejścia świadomie stawiają się w opozycji do siebie. Oba jednak opierają się na tym samym błędnym założeniu dotyczącym samej idei cywilizacji.

Jednocześnie na całym świecie narasta fala izolacjonizmu. Chociaż często przedstawia się ją w kategoriach nacjonalistycznych, zazwyczaj opiera się ona na trosce o dziedzictwo kulturowe, strach przed wielką wymianą białej kultury europejskiej na skrytą za burką kulturę islamską. To nie tylko błędne, ale także nudne. Nigdy nie istniała jedna czysta kultura zachodnia lub tożsamość, która byłaby obecnie zagrożona lub zanieczyszczana z zewnątrz. Jeśli odrzucimy koncepcję cywilizacji, nie zostaje nic, czego można bronić przed zastąpieniem, i nic poza strachem do pokazania.

© Rozmawiał KASPER KALINOWSKI

HISTORIA

PASTOR Z GNIAZDA WILKÓW

Ratował dzieci żydowskie, potem także dzieci nazistów: Węgier Gábor Sztehlo, duchowny luterański. Przy okazji zrealizował oryginalny eksperyment edukacyjny.

ALEKSANDER R. MICHALAK

Gdy zaczynała się II wojna światowa, dopiero co ukończył 30 lat. Pastorem był od lat ponad siedmiu – pracował w tym czasie na różnych placówkach, w stolicy Węgier i na prowincji. Dał się tam poznać jako człowiek energiczny, któremu zależy nie tylko na duchowym życiu wiernych, ale także na ich edukacji – zwłaszcza dzieci.

Od trzech lat był już wówczas żonaty. Okoliczność ta okaże się istotna, gdy przyjdzie mu ryzykować życiem nie tylko swoim, ale też bliskich.

HOLOKAUST NA WĘGRZECH | Zacznijmy jednak tę opowieść od historii węgierskich Żydów – ona zawiera całą „skondensowaną" tragiczność Zagłady. Z liczby 550 tys. jej ofiar, ogromna większość zginęła w ostatnim roku wojny, gdy byli już przekonani, że uda im się przeżyć – zbliżała się Armia Czerwona, a rząd Węgier, dotąd sojusznik Hitlera, chciał zawrzeć rozejm z aliantami.

Niemcy zapobiegli temu, opanowując w marcu 1944 r. Węgry, a potem doprowadzając do powołania nowego pronazistowskiego rządu. Getta powstały w całym kraju – z wyjątkiem Budapesztu (tu założono je w listopadzie). Dlatego gdy wiosną 1944 r. zaczęły się wywózki Żydów do Auschwitz, stolica stała się głównym miejscem, gdzie szukali oni schronienia. Rodzice wysyłali do niej dzieci w nadziei, że zostaną uratowane.

Ocalenie Żydów nie stało się priorytetem dla Kościołów chrześcijańskich na Węgrzech. Nie podjęły odgórnie takiego wysiłku ich ratowania, który byłby adekwatny do ich pozycji w państwie i społeczeństwie. Większą energię włożyły tylko w pomoc Żydom chrześcijanom.

Schronienie, bez względu na wyznanie, dawali za to oddolnie ludzie związani z Kościołami. Obok nuncjusza Angela Rotty byli też biskupi, księża, zakonnicy i zakonnice, którzy odegrali w ratowaniu znaczącą rolę. Także duchowni innych wyznań, a wśród nich – pastor Gábor Sztehlo.

DOBRY PASTERZ | W obrębie Kościoła rzymskokatolickiego utworzono dla Żydów chrześcijan instytucję charytatywną: Stowarzyszenie Świętego Krzyża. W praktyce pomagała często także Żydom nieochrzczonym, jak również chrześcijanom, katolikom i protestantom. Niektórzy z zaangażowanych w to stowarzyszenie przypłacili swoją działalność życiem.

Kościoły protestanckie założyły własne stowarzyszenie, które nazwano Komitetem Dobrego Pasterza. Reprezentantem Kościoła luterańskiego został w nim Sztehlo. Dołączył do tej instytucji w maju 1944 roku.

Sztehlo miał wśród przodków prześladowanych za wiarę luteranów – być może dlatego był wrażliwy na kwestię konwersji. Wbrew linii swojego Kościoła sprzeciwiał się temu, by prześladowanych Żydów zachęcać do przejścia na chrześcijaństwo.

Wydaje się, że zanim przyłączył się do Komitetu Dobrego Pasterza, nie interesował się polityką, nie działał w żaden sposób na rzecz Żydów węgierskich i nie uświadamiał sobie ich położenia. Dopiero rozmowa z przedstawicielem Czerwonego Krzyża, Szwajcarem Friedrichem Bornem (później odznaczonym medalem Sprawiedliwego wśród Narodów Świata) miała zwrócić jego uwagę na powagę sytuacji i potrzebę działania. Born miał mu powiedzieć: „To ostatnia godzina, Niemcy chcą deportować Żydów".

DOMY SEKCJI B | Zaczynając swoją misję, Sztehlo postanowił poszukać miejsc schronienia dla żydowskich dzieci. W ten sposób powstał najpierw pierwszy, a potem kolejne domy, w których je kwaterowano – na koniec było 28 takich domów. Dzięki Bornowi udało się objąć je patronatem Międzynarodowego Czerwonego Krzyża.

Domy prowadzone przez pastora należały do tzw. sekcji B Czerwonego Krzyża. To znaczyło, że wszyscy ich mieszkańcy oficjalnie byli chrześcijanami. W istocie obok dzieci żydowskich wyznania chrześcijańskiego przebywały w nich dzieci ze sfałszowanymi chrześcijańskimi metrykami i pielęgniarki Żydówki (istniała też sekcja A, którą kierował syjonista Ottó Komoly; ona zajmowała się Żydami bez „chrześcijańskich" dokumentów).

Jak długo dzieci pozostawały w domach Czerwonego Krzyża, Niemcy niespecjalnie się nimi interesowali. Inaczej rzecz miała się ze strzałokrzyżowcami. Członkowie tej węgierskiej partii nazistowskiej, wcześniej nielegalnej, jesienią 1944 r. ze wsparciem Niemców objęli władzę.



ZBIORY PRYWATNE, DZIĘKI UPRZEJMOŚCI LUTERAŃSKIEJ CENTRALNEJ KOLEKCJI

Lekcja na świeżym powietrzu w jednym z domów dla dzieci prowadzonych po wojnie przez pastora Gábora Sztehlo. Budapeszt, między rokiem 1945 a 1950.



DZIĘKI UPRZEJMOŚCI LUTERAŃSKIEJ CENTRALNEJ KOLEKCJI

Chłopcy z dziecięcego samorządu przyjmują nowo przybyłego kolegę. Budapeszt, między rokiem 1945 a 1950.

W SIEDZIBIE NAZISTÓW | Strzałokrzyżowcy domyślali się, co jest istotą działalności pastora i wielokrotnie próbowali wtargnąć po domów Czerwonego Krzyża. Dzieci chroniły jednak fałszywe dokumenty, a pastorowi i Bornowi udawało się przekonać władze, że domy mają status eksterytorialny (nie było to prawdą – Czerwony Krzyż nie miał statusu państwowego). Były chwile, gdy dzieci nie mogły wychodzić nawet do ogrodu.

O tym, że strzałokrzyżowcy nie dali się oszukać, świadczą relacje pastora. Sztehlo wspominał swoją wizytę w siedzibie węgierskich nazistów: „Zostałem zwyzywany dość ohydnymi słowami i zapytano mnie, jak ja, jako chrześcijański duchowny, mogę poświęcić się tego typu pracy i dlaczego raczej nie jestem zajęty ratowaniem i karmieniem dzieci, które błąkają się po ulicach lub uciekają w strachu przed wojskami sowieckimi?”.

Sztehlo oświadczył wtedy strzałokrzyżowcom, że przyjmie wszystkie potrzebujące dzieci. Ci jednak nigdy żadnych do niego nie przysłali.

W domach Czerwonego Krzyża dzieci szczęśliwie przetrwały dramatyczne oblężenie Budapesztu przez Armię Czerwoną, trwające od końca grudnia 1944 r. do połowy lutego 1945 r. Był moment, gdy mieszkańców jednego z domów uratowali niemieccy żołnierze Waffen SS – prawdopodobnie nieświadomi tego, że ratują żydowskie dzieci.

MIĘDZY STRONAMI | Wojna się skończyła, ale nie skończyła się misja pastora. Teraz należało znaleźć schronienie tym dzieciom, które zostały sierotami. Pojawiły się też dzieci z innych środowisk – te, które rodziców straciły u samego kresu wojny.

Sztehlo nie podzielał linii Kościoła luterańskiego, że należy zająć się chrystianizacją tych Żydów, którzy przeżyli. Za ważniejsze uważał pomoc dzieciom bez względu na to, czy rokowały szanse na zmianę religii, czy może były już wcześniej chrześcijanami.

Doprowadziło to do zerwania pastora z Komitetem Dobrego Pasterza, który skupił się na działalności misjonarskiej. Sztehlo odrzucił też sugestie organizacji żydowskich, by jego sierocińce przyjmowały tylko żydowskie dzieci. Później przeciwstawił się też sugestiom Kościoła luterańskiego, że domy PAX-u (tak nazwano je po wojnie, od prowadzącej je fundacji) powinny pozostać luterańskie – uznał to za sprzeczne z ich duchem.

W efekcie pod jego opieką, obok dzieci żydowskich, od 1945 r. znalazły się również i takie, których rodzice padli ofiarą nowego reżimu. Trafiały tam nawet dzieci z rodzin strzałokrzyżowców, których komuniści skazali na śmierć za kolaborację.

ZBOŻE W OGRODZIE | Warunki życia w zniszczonym Budapeszcie były ciężkie. Równie trudne były w domach pastora – psychologicznie i materialnie. Część nowo przybyłych dzieci przywykła do życia na ulicy, gdzie funkcjonowały dzięki kradzieżom. Inne po stracie najbliższych były w depresji. Dzieci spały na materacach na podłodze. Jadły to, co mogły znaleźć, ukraść lub wyżebrać. Wiele chorowało. ↦

↦ Wtedy to, dzięki kontaktom pastora, udało mu się pozyskać niezamieszkane domy, zaoferowane mu przez rodzinę przemysłowców nazwiskiem Weiss, niegdyś wpływową. Było to siedem willi w leśnej części Budy, otoczonych ogrodami.

Wille, zamieszkane przez podopiecznych pastora, zyskały malownicze nazwy. Najstarsi chłopcy zamieszkali więc „Gniazdo Wilków", inne zaś nosiły takie nazwy jak „Dom Antylop", „Gniazdo Jaskółek", „Willa Tęczy", „Willa Wiewiórek". Młodsze dziewczyny mieszkały w „Zamku Dziewcząt", starsze w „Gnieździe Żmii". W tym pierwszym prowadziły sklep z lalkami i warsztat dziewiarski. Jeden z obiektów miał basen, kręgielnie i korty. Dzieci same zbudowały boisko do piłki nożnej.

Ponieważ w Budapeszcie brakowało żywności, pracownicy domów wraz z dziećmi uprawiali w ogrodach zboże.

SAMORZĄD | Gábor Sztehlo widział, jakim wyzwaniem jest utrzymanie tylu straumatyzowanych dzieci w harmonii, ich integracja i wychowanie do samodzielnego życia. Stąd pomysł, by utworzyć Dziecięcą Republikę Gaudiopolis (w skrócie: GA-PO).

W listopadzie 1945 r. Sztehlo zwołał zebranie w sali największej willi. Miał zwrócić się do dzieci słowami „Teraz stwórzcie republikę!" – i opuścił salę. Oryginalny eksperyment edukacyjny, jaki właśnie się zaczynał, częściowo był inspirowany przedwojennym amerykańskim filmem.

W dziecięcym samorządzie, mającym kształt systemu administracyjnego „republiki", każde z dzieci miało pełnić jakąś funkcję. Obok ogólnych „władz państwa", każdy dom był „miastem", które miało „burmistrza" (dorosłym przyznawano tylko honorowy tytuł głowy państwa).

Za psychologiczną opiekę nad dziećmi odpowiadała doktor Margit Révész, żydowska konwertytka na katolicyzm, której większość krewnych zginęła podczas Szoah. Aby dać dzieciom namiastkę uczuć rodzicielskich, zatrudniono też kilka samotnych kobiet.

RZECZ O WOLNOŚCI | Dziecięca „republika" wydawała gazetę i miała własną „walutę": GAPO-dolara (kurs ustalano w oparciu o cenę biletu tramwajowego).



ZBIORY PRYWATNE, DZIĘKI UPRZEJMOŚCI LUTERAŃSKIEJ CENTRALNEJ KOLEKCJI

Gábor Sztehlo, 1931-1932 r.

Opracowano kodeks karny, wybrano sędziów i policjantów; najsurowiej karano przemoc fizyczną. Ministerstwo opieki społecznej odpowiadało za wyjścia do kina i muzeów. Fundacja PAX porozumiała się z fabryką zabawek, która utworzyła płatne warsztaty dla dzieci.

Nie wszystko przebiegało idealnie. Dochodziło do konfliktów dzieci z dawnych domów Czerwonego Krzyża z sierotami, który dołączyły po wojnie. Te pierwsze, pochodzenia żydowskiego, wywodziły się często z klasy średniej – podczas gdy „nowi" zwykle z warstw niższych. Te ostatnie dzieci często naznaczone były także życiem na ulicy.

Niektórzy chłopcy postrzegali demokrację jako anarchię i sprzeciwiali się regułom. Raz doszło do buntu, po którym „premier" podał się do dymisji i wybrano nowy „rząd". Dziewczętom ciężej było uzyskać bardziej sprawcze stanowiska.

Historyk Gergely Kunt, autor monografii poświęconej Gaudiopolis, twierdzi, że Sztehlo obwiniał się po latach o to, że nie zawsze pozwalał dzieciom na demokrację i wpływał na funkcjonowanie „republiki".

W Gaudiopolis rozwiązywano jednak szereg problemów, których nie potrafiliby rozwiązać dorośli. Panowała tu wolność religijna, nie było zbiorowej odpowiedzialności – na jednego z „ministrów" dzieci, w większości żydowskie, wybrały chłopca, którego ojciec był wcześniej prominentnym strzałokrzyżowcem.

Gaudiopolis nie było jedyną „republika dziecięcą" na Węgrzech. Kolejna powstała w Hajdúhadház. Ale tam nadzór państwa nie pozwalał na swobodę, jaka panowała w GA-PO.

KONIEC „REPUBLIKI" | Komuniści, którzy ze wsparciem Moskwy stopniowo przejmowali rządy na Węgrzech, początkowo pozwalali na istnienie domów PAX-u. Pewną rolę odgrywały tu osobiste relacje – rodzice niektórych z uratowanych dzieci zostali decydentami partii komunistycznej.

W 1947 r. powstał film „Gdzieś w Europie", opowiadający historię gangu sierot. Miał on być inspirowany historią Gaudiopolis, a w rolach statystów wystąpiło wiele dzieci z „republiki". Film wyprodukowano ze wsparciem Komunistycznej Partii Węgier.

Gdy jednak w 1949 r. komunistom udało się objąć pełnię władzy, międzynarodowe organizacje, w tym te wspierające PAX, musiały opuścić Węgry. Komuniści chcieli, aby istniała jedna tylko organizacja dla dzieci – pionierzy, na wzór sowiecki.

W 1950 r. domy znacjonalizowano, „republika" Gaudiopolis przestała istnieć. Sztehlo nie przestał jednak pomagać – w późniejszych latach kierował luterańskim domem dla seniorów, założył też dom dla upośledzonych dzieci i osób starszych. Wspierał rodziny prześladowane za rzekome związki z kolaboranckim rządem.

PO LATACH | Eksperyment pastora w jakimś stopniu okazał się sukcesem: wielu mieszkańców Gaudiopolis znakomicie odnalazło się w dorosłym życiu. Zostali naukowcami, lekarzami, sportowcami. Byli wśród nich laureat Nagrody Nobla w dziedzinie chemii George Olah czy pisarz Mátyás Sárközi (wnuk Ferenca Molnara, autora „Chłopców z Placu Broni"). Jego brat Ádám Horváth, „minister kultury" Gaudiopolis, został naukowcem i reżyserem.

Dawni mieszkańcy Gaudiopolis spotykali się co roku, by upamiętniać swoją wspólną przeszłość. Po śmierci pastora, który zmarł w 1974 r., odwiedzali jego grób, by oddać hołd swojemu opiekunowi.

Gábor Sztehlo jako pierwszy Węgier otrzymał tytuł Sprawiedliwego wśród Narodów Świata.

© ALEKSANDER R. MICHALAK

TYGODNIK POWSZECHNY

KURS MEDYTACJI CHRZEŚCIJAŃSKIEJ

prowadzi prof. Piotr Sikora



ZAPISZ SIĘ

Różne tradycje, jedna Tajemnica

elearning.TygodnikPowszechny.pl



Sens

zamiast sensacji

sklep.TygodnikPowszechny.pl

TYGODNIK POWSZECHNY

SPOŁECZEŃSTWO
KULTURA
NAUKA
FILOZOFIA
DUCHOWOŚĆ

DO CZYTANIA
DO NOSZENIA
DO KUPIENIA
W NASZYM SKLEPIE



SPRAWDŹ

KULTURA

ŻEBY ŻYĆ

KALINA BŁAŻEJOWSKA, BIOGRAFKA:

Halina Poświatowska pisała o kobiecym doświadczeniu dla kobiet. I jej twórczość rezonuje głównie w kobietach. Czy tego chcemy, czy nie.

KATARZYNA KUBISIOWSKA: Słyszałaś jej głos?

KALINA BŁAŻEJOWSKA: Jak recytuje wiersze. Miała głos wysoki i miękki, delikatny i przejmujący.

A widziałaś, jak się porusza?

Jedno ujęcie, kilka sekund. Ścinki montażowe z filmu o Częstochowie kręconego na początku lat 60. Halina Poświatowska siedzi w jasnym swetrze w miejskiej czytelni, coś notuje, nie wie, że jest filmowana. Innych znanych nagrań nie ma.

Jest za to „Rozsiewane wiatrem", dokument nakręcony cztery lata po jej śmierci. Adam Hanuszkiewicz reżyserował, a Zofia Kucówna wcieliła się w reporterkę, która rozmawia z bliskimi Haliny. W pewnym momencie mówi, że chciała porozmawiać z siostrą Margosią, ale ta odmówiła. I następuje zbliżenie na twarz siedzącej na ławce dziewczyny, która powoli odwraca oczy do kamery i widać, jak jest niebywale do Haliny podobna.

Prawdziwa siostrzana więź?

Między nimi było aż 12 lat różnicy. Wcześniej Halina miała jeszcze jedną siostrę, młodszą o siedem lat Elżunię. Ona w grudniu 1945 r. nagle zmarła, prawdopodobnie na zapalenie opon mózgowych lub płuc. A Halina niedługo wcześniej – po tym jak w styczniu do Częstochowy weszła Armia Czerwona i całą rodziną spędzili noc w lodowatej piwnicy – zaczęła poważnie chorować.

Wielka tragedia: rodzice dwóch zdrowych dziewczynek stali się rodzicami jednej właściwie niepełnosprawnej. W domu panował kult Elżuni: wisiało jej zdjęcie, mówiło się o niej. Dwa lata po jej śmierci urodziła się Margosia. Halina była zachwycona, pisała do kuzyna od razu po jej zobaczeniu, że „cała jest pokryta puszkiem i ma takie śliczne paznokietki".

Kiedy Margosia zaczęła studiować w Krakowie, przez jakiś czas mieszkała u Haliny w Domu Literatów na Krupniczej, śpiąc na łóżku polowym. Halina wprowadzała ją w środowisko filozoficzne i literackie, trochę się nią chwaliła, pomagała w nauce. Matkowała jej.

Poświatowska dla Ciebie jako poetka?

Nie miała czasu, by dojrzeć jako poetka. Dojść do perfekcji. Zmarła w wieku 32 lat, czyli w czasie, kiedy wielu poetów właściwie dopiero zaczyna. Za życia wydała trzy tomiki, a ten ostatni, „Oda do rąk", jest o klasę lepszy niż poprzednie. W nowym wydaniu „Upartego serca" chciałam pokazać, że tematyka jej wierszy była szersza niż tylko miłość i śmierć.

Polityka?

Choćby wiersz o wojnie w Wietnamie, którą interesowała się zapewne bardziej niż przeciętny obywatel PRL-u, ze względu na trzyletni pobyt w Stanach. To był jej pacyfistyczny protest.

Do przyjaciółki pisała, że nie jest pewna, czy wiersz jest dobry, ale jest pewna, że potrzebny. „Wietnam 1965" był tłumaczony na wiele języków, przedrukowany został w antologii, która sprzedała się w zawrotnej liczbie egzemplarzy. Można powiedzieć, że w Polsce to jeden z najmniej znanych wierszy Poświatowskiej, a w świecie znany najbardziej.

A proza?

Komponowana świadomie, pisana gęstymi, melodyjnymi zdaniami. Choć za życia opublikowała zaledwie trzy teksty prozą: autobiograficzną „Opowieść dla przyjaciela" i dwa opowiadania. Niewiele więc mamy do porównywania. Inne rzeczy, m.in. dramaty, znajdują się w rękopisach u rodziny, która nie chce ich udostępniać.

Dlaczego?

Chyba uważa, że są zbyt słabe.

Szkoda, że nie można przeczytać.

Tak i nie – skoro Halina ich nie chciała publikować, dlaczego ktoś wbrew niej miałby to robić?

Biografka?

Od początku pisania „Upartego serca" przyjęłam założenie, że interesuje mnie przede wszystkim życie Poświatowskiej. A twórczość – o tyle, o ile wpływa na to życie. Rzecz jasna, przeczytałam wszystko, co napisała, ale twórczością niech zajmują się specjaliści od literatury. Zresztą, sporo ukazało się już opracowań na ten temat.

A „Opowieść dla przyjaciela" to rozliczenie się z życiem 30-latki.

To było moje pierwsze zetknięcie z pisaniem Poświatowskiej. Miałam 13 lat i byłam pod ogromnym wrażeniem tej narracji, skupionej na pasji życia i ciągłej walce ze śmiercią. To jedna z książek, która otworzyła mi głowę.

ARCHIWUM RODZINNE / WYDAWNICTWO LITERACKIE



Halina Poświatowska w Montrealu, 11 lipca 1961 r.

Aż tak?

Ale dopiero pracując nad biografią zrozumiałam, że w „Opowieści dla przyjaciela" Poświatowska nie odsłania się w całości, lecz starannie tworzy wizerunek. Kreuje się. Mało jest tam jej złośliwego poczucia humoru, jakoś mi bliskiego. Natomiast w listach, których pisała bardzo dużo i które były istotnym dla mnie źródłem informacji, potrafi być złośliwa, w krótki sposób podsumowywać zachowania znajomych, przyjaciół, rodziny.

O Janie Adamskim, ówczesnym mężu poetki Anny Świrszczyńskiej, który bardzo chciał, ale jeszcze bardziej bał się zdradzić żonę, pisała do przyjaciółki: „Święci mają kolosalne wyrzuty sumienia, gotowi są korzyć się na wszystkie cztery łapy i nigdy nie popełnią sobie czegoś śmiertelnego. Podział poprzeczny katolika".

Listy jako miejsce dla szczerości?

No właśnie w nich też potrafiła się kreować. Kiedy jako dorosła kobieta pisała do swoich dobroczyńców – ludzi, którym zawdzięczała zdrowie, czy to leczącego ją profesora Juliana Aleksandrowicza, czy pisarza Józefa Wittlina, organizującego jej operację w Stanach – to przyjmowała ton małej, słodkiej dziewczynki, która jest bardzo grzeczna, wdzięczna i milutka. Podobnie w listach do Adamskiego – jakby chciała go rozczulić.

„Opowieść dla przyjaciela" Poświatowska poprawiała wielokrotnie.

W zasadzie powstały dwie książki. Pierwszą wersję odrzuciło jej zamawiające wydawnictwo Nasza Księgarnia. A kończąc drugą wersję, na którą umowę podpisała z Wydawnictwem Literackim, w liście do przyjaciółki stwierdzała, że nie ma wielkich ambicji, ale chciałaby, by to nie było gorsze od „Barbarzyńcy w ogrodzie" Zbigniewa Herberta.

Wysoko mierzyła.

Choć początkowo twórczość miała być dla niej tylko rodzajem autoterapii. Zachorowała jako 10-latka na zapalenie wsierdzia, które doprowadziło do wady serca. A to oznaczało, że mnóstwa rzeczy nie mogła robić. Nie była w stanie wejść na trzecie piętro. Pięć schodów mogła jeszcze pokonać, ale już dziesięć często stanowiło barierę, w zależności od jej stanu zdrowia, który się pogarszał i poprawiał.

Kiedy była na stypendium w Paryżu, właśnie z powodu schodów nie poszła na żaden wykład na Sorbonie i nie wsiadła do metra, po mieście musiała jeździć taksówkami. Loty samolotem kończyły się atakiem duszności wywoływanym zmianami ciśnienia. Tak ciężkiej niewydolności serca towarzyszy też niewydolność płucna. Psują się nerki i wątroba. Sinieją usta, zdarzają się wybroczyny na skórze. Choruje cały organizm. ↦

↦ **Dieta?**

Nie można jeść soli – Poświatowska z Margosią chodziły na niesłone rosoły do Warszawianki, popularnego wówczas w Krakowie lokalu znanego z kuchni dietetycznej. Halinie puchły też kostki i z tego powodu cierpiała, bo była kobietą świadomą swojego fizycznego piękna. Miała świetne nogi, chętnie chodziła w butach na wysokim obcasie i spódnicach odsłaniających łydki. W listach do przyjaciółek narzekała, że znowu ma obrzęk kostek i nie wychodzi z domu.

Na zdjęciach wygląda na zdrową.

Choroba dawała u Poświatowskiej wizualne znaki, które ona starannie ukrywała. I raczej jej się to udawało. Dlatego niektórych zszokowała informacja o jej śmierci.

Pierwsza operacja wydłużyła jej życie o prawie dekadę.

Jako 23-latka bez towarzystwa nikogo z Polski pojechała do Filadelfii, gdzie przeszła operację. Co było krokiem w nieznane, ogromnym ryzykiem i świadczyło o niesamowitej sile Poświatowskiej. I została w Stanach, by studiować filozofię w języku, którego nie znała. Angielskiego uczyła się po kilkanaście godzin dziennie i udało się: dostała się do najlepszego żeńskiego college'u. To było spełnienie jej marzeń i ambicji. Ten upór i odwaga chyba najbardziej mnie zafascynowały w Poświatowskiej.

Pobyt Stanach był jej wejściem w dorosłość?

Przede wszystkim po raz pierwszy jest zdrowa, przestaje ją boleć serce, zaczyna normalnie oddychać, pokonywać schody, jeździć na rowerze. W trakcie pracy nad książką szczególnie interesowały mnie kwestie medyczne. Prawdę powiedziawszy żałuję, że zawsze chciałam zostać pisarką, a nie lekarką. Tę pierwszą operację Halina przeszła w roku 1958, drugą w roku 1967, kardiochirurgia się wtedy bardzo szybko rozwijała.

Kiedy kończyłam pracę nad pierwszą wersją „Upartego serca", napisałam mejla do profesora Antoniego Dziatkowiaka, wybitnego kardiologa, prosząc o konsultację pod kątem medycznym. Nawet niezbyt wierzyłam, że mi odpisze, nie znałam go osobiście, a wiedziałam, że jest człowiekiem niezwykle zajętym. A on nie dość, że książkę przeczytał, to obszernie odpowiedział na wiele pytań, w tym, na co dokładnie chorowała Poświatowska. Bo ona w „Opowieści dla przyjaciela" nie mówi o tym wprost. I poprzedzające mnie biografki – przecież nie jestem pierwszą osobą, która pisała o życiu Poświatowskiej – nie ustaliły tego rozpoznania.

Według Dziatkowiaka to była niedomykalność zastawki dwudzielnej połączona ze stenozą mitralną. W 2011 r., czyli ponad 40 lat po drugiej operacji Poświatowskiej, profesor Dziatkowiak twierdził, że taka operacja byłaby nadal obarczona wysokim, bo 25-procentowym ryzykiem zgonu. A zasada w medycynie jest taka, że nie operuje się, jeżeli ryzyko zgonu pooperacyjnego jest większe niż ryzyko zgonu bez operacji.

Co Ci dało ustalenie tego faktu?

Musiałam rozważyć, na ile Poświatowskiej decyzja o poddaniu się drugiej operacji była formą samobójstwa.

I?

Ona naciskała na tę operację. Najpierw był nieostrożnie rzucony pomysł profesora Aleksandrowicza, nie tylko jej lekarza, ale i przyjaciela, który chciał Halinie nieba przychylić. Tyle że Aleksandrowicz był internistą i hematologiem. Po konsultacji z kolegami kardiologami dotarło do niego, jakie to niebezpieczne, zwłaszcza że trzeba było ponownie otworzyć klatkę piersiową, co zwiększa ryzyko krwotoku. Dopiero niedawno zaczęto wymieniać zastawki mitralne bez otwierania klatki piersiowej. Gdyby więc teraz Poświatowska była poddana tej operacji, miałaby o wiele większe szanse przeżyć.

Aleksandrowicz powinien był powstrzymać Poświatowską przed operacją?

Nie potrafił jej odmówić, pozbawić nadziei. To był niezwykły człowiek, wizjoner, już wtedy, kilkadziesiąt lat temu, propagował medycynę holistyczną, kompleksową. W swojej klinice w Krakowie przy Kopernika wprowadzał gimnastykę jako element leczenia – sport nie tyle jako rehabilitacja, co źródło zmęczenia i satysfakcji.

Zatrudniał psychologów wspierających pacjentów. Stosował techniki relaksacyjne: w ramach przygotowań do poobiedniej drzemki z głośników w salach rozbrzmiewał Nokturn Des-dur Chopina z głębokim głosem Gustawa Holoubka, powoli mówiącego: „Leżę wygodnie, bardzo wygodnie, zamykam oczy, rozluźniam wszystkie mięśnie...".

I to Aleksandrowicz zachęcił Poświatowską do pisania. To on lobbował w Wydawnictwie Literackim za wydaniem „Hymnu bałwochwalczego", jej pierwszego tomu poetyckiego. To on sprowadził Wisławę Szymborską do szpitala, by z Haliną porozmawiała o poezji. Aleksandrowicz widział jej talent, ale dla niego to było drugorzędne względem leczenia.

A dla Poświatowskiej pisanie stało na miejscu pierwszym.

Ono było ratunkiem przed chorobą. I to nawet nie tyle fizyczną, co psychiczną: depresją wywołaną nagłą śmiercią męża, Adolfa Poświatowskiego, studenta Filmówki, też chorującego na serce. Poświatowska wdową została w wieku 20 lat. To Aleksandrowicz wymyślił, że ona musi wpierw zostać wyciągnięta z depresji, bo inaczej nie będzie miała siły na walkę z chorobą serca.

A Ireneusz Morawski – tytułowy przyjaciel z „Opowieści..."?

Jako dwulatek stracił wzrok w wyniku zapalenia opon mózgowych. Jego matka wtedy z dnia na dzień osiwiała. To był człowiek z ogromnymi ambicjami, które, sądzę, trochę go zgubiły. Niewątpliwie miał talent literacki, Halina podkreślała, że kocha, jak są pisane jego listy. I że trzeba być niewidomym, by pisać w ten sposób.

Zbliżało ich doświadczenie niepełnosprawności?

Przy jednoczesnej determinacji – w jednym i w drugim przypadku – by żyć jak wszyscy. Ireneusz chodził bez białej laski. I podobno świetnie gotował. Pisał na zwyczajnej maszynie, nie brajlowskiej. Grał na fortepianie. Miał czarne okulary i to był jedyny znak jego ślepoty – choć też można było myśleć, że się stylizuje na Zbyszka Cybulskiego. Morawski znał się z całym środowiskiem literackim Wrocławia. Ale po tym, jak nie wyszła mu relacja z Haliną, odwrócił się od pisania.

To zagadkowe.

Nie chciał też zgodzić się na upublicznienie swoich listów do Poświatowskiej. Być może gdyby Halina była zainteresowana nim jako mężczyzną, to by nie miał oporów. W „Opowieści dla przyjaciela" i w listach do niego Poświatowska pisze, że ona nic ponad przyjaźń mu nie obiecywała. I ja jej uwierzyłam, znając jedną tylko stronę medalu. Tak właśnie myślałam, pisząc pierwszą wersję „Upartego serca".

A w chwili, kiedy ukazały się – już po wydaniu mojej książki – listy Morawskiego do Poświatowskiej, zatytułowane „Tylko mnie pogłaszcz...", zrozumiałam, że Poświatowska powinna mieć sobie więcej do zarzucenia. Jednak długo go zwodziła: całowała się z nim, prosiła, żeby ją głaskał i przytulał, podarowała mu wiersz zatytułowany „Wiersz zaręczynowy"... I musiałam w drugiej wersji „Upartego serca" cały ten wątek przepisać.

Twoja rozmowa z Morawskim?

A chcesz posłuchać o dziennikarskiej porażce?

W tym zawodzie każdy z nas jej doświadcza.

Kiedy pracowałam nad pierwszą wersją „Upartego serca", skontaktowałam się z Mariolą Pryzwan, która jest nie tylko autorką wcześniejszej książki o Poświatowskiej, ale też redaktorką „Tylko mnie pogłaszcz...". Była bardzo pomocna. Powiedziała, że dotarła do Ireneusza Morawskiego, zaprzyjaźnili się i wie jedno: że on absolutnie nie chce publicznie o Halinie mówić ani udostępniać listów. Że temat Haliny jest dla niego nadal bolesny.

I?

Ponieważ byłam młoda, głupia i niedoświadczona, miałam dylemat: czy mam Morawskiemu dać święty spokój, czy jednak próbować z nim nawiązać kontakt. Z takimi myślami biłam się kilka miesięcy. Ponieważ Mariola Pryzwan nie chciała mi dać numeru telefonu do Morawskiego, napisałam do Polskiego Związku Niewidomych z prośbą, żeby podali mi adres lub przekazali mu list ode mnie. To było pod koniec czerwca 2011 r. Odpowiedź dostałam w połowie lipca: „Pan Morawski zmarł na początku miesiąca, więc nie będziemy w stanie Pani pomóc".



ALEKSANDRA GRACZYK

KALINA BŁAŻEJOWSKA (ur. 1987), publicystka i reporterka, autorka „Tygodnika Powszechnego". Absolwentka filmoznawstwa i dziennikarstwa UJ. W 2023 r. ukazała się jej książka reporterska „Bezduszni. Zapomniana zagłada chorych", za którą otrzymała Nagrodę Historyczną „Polityki", Międzynarodową Nagrodę im. Witolda Pileckiego, Nagrodę Ołówek Kazimierza Moczarskiego przyznawaną przez Młodzieżowe Kluby Historyczne, Nagrodę Klio II stopnia oraz nominacje do Nagrody im. Kazimierza Moczarskiego i nagrody Złota Róża 2024. W Wydawnictwie Literackim ukazało się właśnie poszerzone i poprawione wydanie jej książki sprzed 12 lat „Uparte serce. Biografia Haliny Poświatowskiej".

Dwójnasób bolesne.

Na szczęście Morawski zostawił Pryzwan esej o swojej znajomości z Poświatowską i zgodził się, żeby go pośmiertnie opublikować. Tyle że nie w całości. Brakuje fragmentów ocenzurowanych przez samego autora. Nadal więc istnieją tajemnicze luki w historii Morawskiego i Poświatowskiej.

A ja nadal nie pojmuję, dlaczego Morawski nie zgadzał się na publikację listów.

Chodziło mu o żonę, z którą wziął ślub już po śmierci Poświatowskiej. Nie chciał, by czytała jego listy miłosne do innej kobiety. Więc powód tej decyzji nie był irracjonalny. Paradoks polega na tym, że żona Morawskiego okazała się wspaniałomyślna i po śmierci męża doprowadziła do wydania listów.

W czym tkwi fenomen żywej obecności Poświatowskiej w popkulturze? „Kiedy umrę, kochanie" wykonują Sanah i Kasia Kowalska, Janusz Radek nagrał całą płytę. Halina Wyrodek i Zofia Kucówna fenomenalnie zaśpiewały „Koniugację". Powstał wokół jej życia film fabularny i kilka dokumentów.

Są też inne piosenki, monodramy. I to wciąż za mało jak na potencjał tej postaci. Na to, jakie miała dramatyczne życie, jaką ciekawą osobowość, urodę, talent.

I ta przedwczesna śmierć?

Przy pierwszym wydaniu „Upartego serca" byłam bardzo zła na łatkę poezji kobiecej. Uważałam, że to pomniejsza jej rangę: skoro nie jest to męskie doświadczenie, nie może być uniwersalne. Moje feministyczne przekonania nie pozwalały na bezrefleksyjne powielanie tej kalki: wysuwałam wówczas argument, że przecież o Czesławie Miłoszu czy Tadeuszu Różewiczu nie powiemy, że uprawiali męską poezję.

A jednak wiersza „Podróż pociągiem osobowym" mężczyzna by raczej nie napisał. Bo jego tematem jest molestowanie seksualne, czy raczej kobiecy, uwarunkowany doświadczeniem, lęk przed nim. Wyjątkowo aktualna sprawa w epoce #MeToo.

Ten wiersz dotyczy Margosi. W zasadzie to poetycki obrazek reporterski. Opowiada o tym, jak Halina odprowadza siostrę na pociąg osobowy do Częstochowy, jak postanawia usadzić ją w przedziale, by upewnić się, że nie padnie ofiarą jakiegoś molestatora. I chodzi z Margosią po całym pociągu i w każdym przedziale widzi lubieżne spojrzenia mężczyzn, którzy mogliby jej siostrę skrzywdzić. Nie może przestać myśleć o tym, że Margosia będzie jechać w niebezpiecznym towarzystwie.

Wniosek?

Teraz wiem, że kategorie płciowe są ważne. Nie da się od nich uciec. Poświatowska pisała o kobiecym doświadczeniu dla kobiet. I ta twórczość rezonuje głównie w kobietach. Czy tego chcemy, czy nie.

© Rozmawiała KATARZYNA KUBISIOWSKA

Nasze historie



KAROLINA JÓŹWIAK / ARCHIWUM ARTYSTYCZNE TEATRU NARODOWEGO

JACEK WAKAR

SCENA | Miniony rok przyniósł w polskim teatrze prawdziwą zmianę i zaowocował kilkoma gestami, których znaczenia nie można zlekceważyć.

Wspomnienie niedalekie, bo zaledwie sprzed miesiąca. Gala rozdania wyróżnień na Festiwalu Boska Komedia, moment kulminacyjny. Trzy nagrody aktorskie oraz tę najważniejszą – Boskiego Komedianta – dostają „Tkocze" Hauptmanna w inscenizacji Mai Kleczewskiej z Teatru Śląskiego w Katowicach.

Ślązacy cieszą się i wiwatują, większa część publiczności dzieli ich radość, ale spora grupa nie ukrywa złości. Ten i ów ostentacyjnie wychodzi, choć przecież zabawa dopiero się rozkręca. Obserwuję to, cieszę się, bo kibicowałem „Tkoczom", ale wyraźnie dochodzi do mnie wrażenie, że w opinii dużej części polskiego środowiska jury popsuło zabawę – wygrali bowiem nie ci, którzy w rolach zwycięzców już dawno zostali obsadzeni.

To zresztą nie jest sytuacja odosobniona, bowiem Boska Komedia tym między innymi różni się od innych festiwali, że przedstawienia ocenia tutaj grono międzynarodowe. Piątka ludzi o niepodważalnej w świecie teatru pozycji na tydzień zamyka się w interiorze polskiego teatru, ogląda rzeczy konkursowe, a jak się da, i niektóre z innych sekcji, gada, gada i gada, dzieli się zachwytami i rozczarowaniami. Robi to, nie wiedząc nic, prawie nic albo wiedząc naprawdę bardzo niewiele o tym, jak wyglądają nasze środowiskowe gierki. Kto rozdaje karty, dyktuje trendy, gdzie jeździ się z własnej woli, a gdzie tylko z obowiązku. Wreszcie niewiele obchodzi ich tradycyjnie już u nas utrwalony podział na teatr progresywny albo tradycyjny, odważny lub salonowy.

Nieraz wcześniej bywało już na krakowskim festiwalu, że artyści, którzy przyjeżdżali po zwycięstwo, a myśmy byli przekonani, iż najwięcej nam o Polsce powiedzieli, w dodatku zdobyli się na czysto polityczny gest, bo zadarli z władzą, wyjeżdżali z Boskiej Komedii z niczym. Bo to jest miejsce weryfikacji tego, czym ekscytujemy się przez poprzedzające festiwal miesiące. I nie mówię, że jury nigdy się nie myli. Po prostu nakłuwa nasze wyobrażenia z innej całkiem strony, zderza z odmiennym punktem widzenia.

Po śląsku

W „Tkoczach" Kleczewskiej fabrykanci mówią po polsku (kiedyś wydawali rozkazy po niemiecku), a uciemiężeni robotnicy po śląsku. Klasyczny tekst Hauptmanna grany jest w dużej mierze po śląsku dzięki znakomitemu przekładowi Mirosława Syniawy, inscenizacja nie cofa się przed drastycznością, aby ukazać nieludzką rzeczywistość, od której nie ma ucieczki, no chyba że w rewoltę, w podpalanie świata.

Podział jest bardzo wyraźny, całość nie stroni od mocnych środków, intencjonalnie bywa kreślonym grubą kreską politycznym kabaretem. Po jednej stronie bogaci wyzyskiwacze, niegdyś fabrykanci, a dziś bossowie korporacji, szefowie firm, nowi feudałowie, a na szczycie ci najbardziej możni z możnych. Po drugiej ci, co „mają głód" – tkacze, robotnicy i wszyscy inni, których los ustawił na niskim szczeblu drabiny społeczeństwa, a czasem wręcz na dnie, jak w sztuce Gorkiego. Do tego dochodzą wszystkie inne linie podziałów, nie do policzenia.

Wystarczy iskra, byśmy rzucili się sobie do gardeł. Musi dojść do absolutnej demolki, choć finał nie przyniesie morału, ani tym bardziej ukojenia. Tkocze odśpiewają swój song protestu, najbardziej czarny z charakterów zawiśnie na linach nad sceną, ale nie sprawia wrażenia, by szczególnie cierpiał. Obdarzony szyderczym uśmiechem Mateusza Znanieckiego bezczelnie szczerzy się w grymasie, jak niesforne dziecko macha nogami, a tak w ogóle bardzo przypomina Elona Muska. Czy przegrał, czy się nie odrodzi? Nie postawiłbym na to złamanego grosza.

Kleczewska w Teatrze Śląskim ukazuje sztafetę przemocy, mówi jasno, że skazani jesteśmy na jej reprodukowanie, nie mamy żadnych szans na sprawiedliwy porządek. Ktoś pisze, że reżyserka czyni to z pozycji salonu, inscenizuje spektakl z wyższościowych pozycji. Artystka z długoletnim stażem, ta sama, która kiedyś budziła emocje choćby osadzonym w świecie wołomińskiej i pruszkowskiej mafii „Makbetem" Szekspira, dziś obsadzona została jako część establishmentu, może wręcz w roli fabrykanta z „Tkoczy", co nie ma prawa mówić o zbuntowanych, a tym bardziej w ich imieniu.

Tymczasem po minionym roku mam wrażenie, że to rozpoznanie błędne i uszyte według jednej publicystycznej,



PRZEMYSŁAW JENDROSKA / TEATR ŚLĄSKI

Spektakl „Tkocze" w reż. Mai Kleczewskiej, Teatr Śląski im. Stanisława Wyspiańskiego w Katowicach

Po lewej: spektakl „Niewyczerpany żart" w reż. Kamila Białaszka, Teatr Narodowy w Warszawie

a może wręcz ideologicznej formuły. Nie w tym rzecz, że młody twórca staje przeciw starszemu i za nic ma przypisaną mu markę klasyka. To całkowicie naturalne, że dawni ojcobójcy stają się klasykami, na nich z kolei ręce podnoszą ojcobójcy nowi. Z ich naporem mają radzić sobie reżyserzy i dyrektorzy tacy jak Maja Kleczewska, Jan Klata albo Bartosz Szydłowski i nie wydaje mi się, by się temu ostro sprzeciwiali, budowali sztuczne bariery. Jest chyba odwrotnie, w Łaźni Nowej w Krakowie dowodzonej przez Bartosza i Małgorzatę Szydłowskich zawsze mocno obecny, wręcz współdecydujący o profilu miejsca był nurt nowego teatru, odważnych eksperymentów przeprowadzanych przez artystów na początku drogi.

W Nowej Hucie

Ostatnie miesiące, także z powodu jubileuszu 20-lecia Łaźni w Nowej Hucie, skierowały uwagę na próbę odpowiedzi na pytania, skąd się wzięliśmy i w jakim miejscu, jakim kraju się znajdujemy. Stąd przejmujący, nie wprost autotematyczny „Nurt" Szydłowskiej, wywodzący linię oddolnych zespołów nowohuckich od Jana Kurczaba i jego teatru Nurt, pasjonata niezważającego na wszelkie wyrzeczenia, w pełni oddanego idei zespołowej pracy. Stąd znakomite „Czerwone i czarne" Bartosza Szydłowskiego ustawiające figurę Sorela z powieści Stendhala w pozycji Obcego we współczesnej Polsce i zderzające z nią machinę zakłamanej, tonącej w błogości elity, a przede wszystkim państwa w państwie – wszechpotężnego Kościoła katolickiego.

Stąd wreszcie oparty wyłącznie na dokumentach z epoki „Proces Eligiusza Niewiadomskiego" w reżyserii Szydłowskiego, ukazujący zabójcę prezydenta Gabriela Narutowicza we wstrząsającej interpretacji Krzysztofa Zarzeckiego jako cichego szaleńca, gotowego na wszystko, by tylko urzeczywistnić swoją wizję uzdrowienia kraju.

Słyszymy bowiem w jego mowie przed sądem, że Polska znajduje się w ruinie, że rządzi judeokomuna. Znamy podobne hasła? Aż za dobrze. Prawdziwie polityczne przedstawienie Szydłowskiego zderza nas z poczuciem, że żyjemy w czasie odradzającego się szaleństwa, a obecni radykałowie nie zasługują na to, by z pobłażliwością przechodzić nad ich działaniami do porządku. „Proces Eligiusza Niewiadomskiego" bezkompromisowo ukazuje, że Historia się powtarza, a dziś nie mamy prawa czuć się bezpiecznie, uważać, iż widmo wojny domowej nas wcale nie dotyczy.

Jubileuszowy sezon Łaźni Nowej przyniósł coś, co nazwałbym odnowieniem gestu założycielskiego instytucji, przypomnieniem, kim jesteśmy i o czym chcemy z publicznością rozmawiać. Jeśli ostatnie miesiące w polskim teatrze wydają mi się ważne, to nie z powodu natłoku arcydzieł i poczucia, że był to czas artystycznie wyjątkowy. Raczej dlatego, że rok 2025 przyniósł prawdziwą zmianę i zaowocował kilkoma gestami założycielskimi, których znaczenia nie można zlekceważyć, choć na ocenę ich trwałości jest jeszcze za wcześnie.

Narodowy na nowo

Dopiero „Niewyczerpany żart" według monumentalnej powieści Davida Fostera Wallace'a, przygotowany na Scenie przy Wierzbowej Teatru Narodowego w Warszawie przez młodego reżysera Kamila Białaszka uświadomił, jaki teatralny „dwupak" przygotował Jan Klata na start swojej dyrekcji na narodowej scenie.

Poprzednich spektakli Białaszka – rapowego „Pana Tadeusza" z Teatru Polskiego w Poznaniu oraz „Skowytu" według Ginsberga z Teatru Żydowskiego w Warszawie – zdecydowanie nie ceniłem, tymczasem teraz zmierzył się z zadaniem pozornie niewykonalnym i wyszedł z tego obronną ręką. Zaprosił bowiem na narkotyczny trip, w środek trzęsącej się w halucynacjach Ameryki, i sprawił nie tylko, że wytrzymaliśmy ponad cztery godziny.

Bardziej istotne jest, że dzięki „Niewyczerpanemu żartowi" udało się skierować reflektory na młodą część zespołu Narodowego (grają fenomenalnie), a najważniejsze – udowodnić, że jest tu miejsce na ostrość eksperymentu, odwagę szukania nowego komunikowania się z publicznością, a nawet teatr z anarchistyczną radością rozsadzający dotychczasowe ramy tego, co wypada, a co nie przystoi w tak szacownych murach.

Po widowisku Białaszka (w maju pokaże „Hamleta" w Teatrze Powszechnym w Warszawie) nowe znaczenie objawiają „Termopile polskie", pierwsza dyrektorska premiera Jana Klaty. Twórca powrócił do dzieła Tadeusza Micińskiego, by ukazać je z całą goryczą wobec dzisiejszej Polski i naszego świata.

Chwilę przed premierą administracja Trumpa ogłaszała dwadzieścia punktów planu pokoju – czytaj: unicestwienia – Ukrainy. U Klaty zaś karty w imieniu monstrualnej carycy Katarzyny (wspaniała Danuta Stenka) rozdawał kniaź Patiomkin (życiowa kreacja Oskara ↦

↦ Hamerskiego). I wszyscy wyglądali „Amerykańczyków", tyle że jakoś nie było ich na horyzoncie.

„Termopile polskie" zaczynały się od zmasowanych dźwięków „Nowej Aleksandrii" zespołu Gruzja z frazą „Tu już dawno wyschła krew", tak jak niegdyś „Wesele" z Narodowego Starego Teatru w Krakowie od Furii nawołującej, by „krępulcowi nie ulec". Pierwsze sceny spektaklu należały do fantastycznej Anny Grycewicz w roli Wity, niegdyś wstrząsającej choćby w ostatnim seansie Jerzego Grzegorzewskiego w Narodowym „On. Drugi powrót Odysa".

Nie jest tak, by dyrekcja Klaty chciała unieważnić dwie dekady Jana Englerta, a ktoś rozsądny do tego namawiał. Spektakle z czasu Englerta zostają w repertuarze, wiele z nich wzbudziło entuzjazm publiczności i krytyki, w ciągu tych lat Narodowy nigdy nie stracił swej pozycji, nie jest też trudno wypunktować powstałe w tym okresie rzeczy wybitne, a nawet arcydzieła (wymieńmy choćby „Dziady" Eimuntasa Nekrošiusa).

Jednak Klata świadomie odwołuje się do Grzegorzewskiego (był jego asystentem) i proponuje nowe otwarcie Narodowego, własny gest założycielski, na nowo określając napięcia w repertuarze, relacje między twórcami młodymi a tymi o uznanym dorobku. Byli on sam i Białaszek, będzie młoda Kalina Dębska z adaptacją „Mężczyźni objaśniają mi świat" Solnit, a potem Anna Augustynowicz z „Moralnością pani Dulskiej" Zapolskiej.

Po „Termopilach..." sam mówiłem, że wszedł do Narodowego z drzwiami. Dziś widzę, że chyba nie o to mu chodziło, że myśli w szerszej perspektywie, zachowując ciągłość między obecnym i minionym.

W Teatrze Powszechnym, kierowanym dziś przez Kleczewską, Białaszek zrobi „Hamleta", a będąca tuż po starcie Aleksandra Bielewicz „Trojanki" Eurypidesa. Powszechny Kleczewskiej zaczął się jednak też od premiery dyrektorskiej – „Sublokatorki" według Hanny Krall. W pierwszej sekwencji aktorki i aktorzy wychodzili nie z kulis, nie z głębi sceny, a spośród nas, z widowni. Szli w świat spektaklu, aby podzielić się swoją/naszą opowieścią.

Opowiem wam waszą historię – dzielili się doświadczeniem ludzi z tekstów autorki „Fantomu bólu", jakby to były nasze opowieści. Nasze – warszawskie, ludzi stąd, z prawej strony Wisły. „Sublokatorka" jest przedstawieniem celowo niewygodnym, uwierającym, trudnym w odbiorze, celowo niespełniającym obietnic, z jakimi zwykle łączy się teatr Mai Kleczewskiej. Jednak właśnie w tym ujęciu stanowi deklarację tożsamościową nowej dyrektorki, kieruje uwagę na Krall, na Warszawę, wreszcie na nas na widowni, bo chce mówić nie tylko we własnym imieniu. I robi to celowo, dzieląc z nami ciężar przedstawienia.

Inne miejsca

Polski teatr – i za to trzeba go cenić – nie wyrzekł się swej wielobarwności. Swoje mówi do nas katowicki Śląski, gdańskie Wybrzeże, w Łodzi imponująco rozszerza profil Powszechny, nową drogę pod kierownictwem Pawła Łysaka zaczyna nareszcie odzyskany Jaracz. W Krakowie swoją drogą idzie święcący właśnie jubileusz Ludowy (świetna „Uroczystość" Małgorzaty Bogajewskiej), na nowo definiuje się Narodowy Stary Teatr, Teatr Słowackiego walczy, by nie wpaść w pułapkę swojego niedawnego sukcesu i nie stać się zakładnikiem legendy walki o własne przetrwanie.

Wymieniam tylko kilka miejsc, a jest ich dużo więcej. Polski teatr nie mówi jednym głosem, proponując czasem czysto brzmiącą, a czasem trochę fałszującą polifonię. A najważniejsze, by nikt *a priori* nie dekretował, jakimi głosami ma mówić.

© JACEK WAKAR

Autor jest szefem działu kultury Polskiej Agencji Prasowej

OGŁOSZENIE

Radio Kraków
radiokrakow.pl

NADAJEMY DO MYŚLENIA
W każdą środę o godz. 12.40 na antenie Radia Kraków goszczą dziennikarze „Tygodnika Powszechnego"

Słuchaj nas w Małopolsce: Kraków - 101,6 FM, Nowy Sącz - 90,0 FM, Tarnów - 101,0 FM, Zakopane - 100,0 FM, Andrychów - 98,8 FM, Gorlice - 97,4 FM, Krynica Zdrój - 102,1 FM, Rabka Zdrój - 87,6 FM, Szczawnica - 90,0 FM

Czeska Miedzianka

ZBIGNIEW ROKITA

REPORTAŻ | „Krzywy kościół" to najlepsza śląska powieść od czasu „Dracha" Szczepana Twardocha. Przeczytało ją już ponad pół miliona Czechów.

Zdarzało mi się wysiadać na stacji kolejowej Karviná hlavní nádraží, zwiedzałem sympatyczne miasteczko, później opowiadałem znajomym o urokach leżącej na czeskiej części Górnego Śląska Karwiny. I dopiero z książki Karin Lednickiej „Krzywy kościół" dowiedziałem się, że nigdy w żadnej Karwinie nie byłem.

Najkrócej można wytłumaczyć to tak: tuż po wojnie w jeden organizm miejski łączą się dwa miasta, Karwina i Frysztat – od Karwiny otrzyma on nazwę, od Frysztatu herb. Kilka lat później Karwina zacznie znikać, aby po kilkudziesięciu latach zniknąć niemal zupełnie. Niemal – bo po starej Karwinie, w pustym miejscu po mieście, pozostał jeden niemy świadek: kościół św. Piotra z Alkantary. Świątynia zapadła się o blisko 40 metrów – stała na wzgórzu, teraz stoi w dolinie – i przechyliła o 6,8 stopnia (to więcej niż wynosi krzywizna wieży w Pizie – 5,1 stopnia).

Koło kościoła jest jeszcze tablica informacyjna z wyjaśnieniem tego, co się tutaj stało, oraz zdjęciem Karwiny sprzed stulecia. Bo najłatwiej byłoby powiedzieć, że to historia „czeskiej Miedzianki", ale w porównaniu do Karwiny Miedzianka była maleństwem. Dawna Karwina była natomiast sporym i pięknym miastem z zamkiem, browarem i uzdrowiskiem. Zamieszkiwało ją przeszło 20 tys. osób, więc pod względem wielkości przypominała dzisiejszą Pszczynę albo Sandomierz.

Historia

Na czeskim rynku wydawniczym (a tak naprawdę na rynku czesko-słowackim,



MONIKA OCHĘDOWSKA

Karin Lednická w Żywocicach, powiat Karwina, Czechy. Listopad 2025 r.

gdyż wielu Słowaków wciąż chętnie sięga po książki w czeszczyźnie) trylogia „Krzywy kościół. Kronika powieściowa utraconego miasta" okazała się wielkim fenomenem. Jak dotąd kupiono ponad 500 tys. egzemplarzy trzech tomów (te szacunki obejmują również e-booki i audiobooki). Dla porównania: duże polskie wydawnictwa za świetny wynik uznają sprzedaż powieści na poziomie 10 tys. egzemplarzy, a rynek czeski jest do tego znacznie mniejszy od polskiego.

W Polsce nakładem wydawnictwa Znak Horyzont i w przekładzie Joanny Goszczyńskiej jesienią ukazał się pierwszy tom (wydawnictwo zdradza, że ukaże się również drugi). Dotyczy on lat 1894-1921, kolejne tomy obejmą okresy odpowiednio 1921-1945 oraz 1945-1961. To znakomita literatura i dzieło monumentalne, liczące około 1700 stron. Opowiada o losach miejscowych rodzin górniczych, skupiając się głównie na historiach kobiet.

To ważne, bo w opowieściach z regionów górniczych bohaterami na ogół bywali mężczyźni. A na kobiety spadał każdorazowo ciężar, gdy zostawały same po kopalnianych tragediach czy wojnach (w Polsce z tego nurtu wyłamała się ostatnio m.in. Monika Glosowitz z ciekawą książką „Pamiętniki kobiet z rodzin górniczych").

Lednická o tym wie: sama jest z rodziny górniczej, urodziła się w Karwinie, dorastała w Hawierzowie (hawierz to po zaolziańsku „górnik", a Hawierzów to zaolziańska Nowa Huta, socjalistyczne miasto przemysłowe), dziś mieszka w Ostrawie. Fabularyzuje miejscową historię, nie zmyśla jej. W ten sposób dołącza do takich autorek jak Nino Haratischwili, Elena Ferrante czy Oksana Zabużko, które – opowiadając swoje ojczyzny i kreśląc wielopokoleniowe freski – zdają się wierzyć, że „fikcja to kłamstwo, które mówi prawdę". – To miejsce od zawsze mnie przyciągało – mówi mi Karin. – W dzieciństwie, wracając ze szkoły, czasem wysiadałam z autobusu i chodziłam tam bez celu, chłonąc beznadzieję tej przestrzeni, a jednocześnie jej niezwykle silną energię. Był tam zrujnowany kościół, który również chciano zburzyć – na szczęście ówczesny polski proboszcz potrafił temu zapobiec – opowiada.

Prawda

Karin Lednická, rocznik 1969, widziała schyłek starej Karwiny. Jej biografia rozpościera się pomiędzy Karwiną i nie-Karwiną. Na początku XXI w. stała tam jeszcze część domów oraz zabudowań kopalń. Wszystko jednak niszczało, bo uważano, że w starej Karwinie nie ma już sensu czegokolwiek ratować. Ktoś powie, że winne były szkody górnicze, a ktoś inny, że ludzka chciwość. Miasto skazano na zagładę, gdyż władze wyżej ceniły zysk niż dobro miejscowych. Karwina zaczęła upadać w latach pięćdziesiątych.

Niektórzy wyprowadzili się od razu, inni długo ignorowali decyzje rozbiórkowe i woleli nadal mieszkać w podkopanych domkach, gdzie np. musieli podpierać przechylone meble deskami. Mimo wszystko zostawali tam, gdzie mieli swoje korzenie i groby. Jeden czytelnik napisał jej, że starą Karwinę opuścił jako ostatni, w roku 2000. Kiedy w 2015 r. zdecydowała się pisać „Krzywy kościół", zostały już tylko ostatnie, puste domy. Dziś i one są zburzone.

– Z biegiem lat jeździłam tam coraz częściej – mówi pisarka. – Chodziłam jak opętana, ze starymi mapami w ręku, żeby chociaż w swojej głowie odbudować zaginione miasto. Całkowicie się mu oddałam. Z czasem zaczęłam widzieć tam ulice, domy i ludzi. I coraz mocniej uświadamiałam sobie, że jako społeczeństwo mamy wobec nich ogromny dług – który swoimi książkami próbuję choć trochę spłacić, oddaję starej Karwinie jej opowieść.

Tereza Ondrušová jest przewodniczką po starej Karwinie. Pytam ją, czy miejscowi wiedzieli, co stało się z miastem.

– Często nie mieli pojęcia. Większość moich rówieśników nie znała historii regionalnej. Mogli o tym usłyszeć jedynie w rodzinach – tłumaczy Ondrušová. Jak można tak szybko zapomnieć? Są miejsca, gdzie przychodzi to łatwiej. Bo tutaj państwo nie chciało upamiętnić tej tragedii. Bo Frysztat istnieje do dziś i podszywa się pod Karwinę. Bo to region przemysłowy, zawsze w przeciągach, do którego najpierw się przyjeżdżało, a potem wyjeżdżało. Skądinąd region w oczach wielu niepewny, głównie narodowościowo (na Zaolziu Karin była krytykowana m.in. za fragmenty dotyczące konfliktu polsko-czeskiego, jednak wówczas z radą przyszedł jej historyk Daniel Korbela, który powiedział: „Jeśli obie strony obrzucają cię wyzwiskami w równym stopniu, to znaczy, że zbliżasz się do prawdy").

Nie można też zapomnieć, że miejscowi w XX w. pięciokrotnie zmieniali przynależność państwową, w tym trzykrotnie w wyniku rozlewu krwi: były tu Austro-Węgry, Czechosłowacja, Polska po aneksji Zaolzia w 1938 r., nazistowskie Niemcy, ponownie Czechosłowacja, wreszcie Czechy.

Pamięć

Ondrušová opowiada mi o „efekcie Lednickiej" podkreślając, że od ukazania się pierwszego tomu „Krzywego kościoła" jesteśmy świadkami czegoś niesamowitego. Widać to w liczbie turystów odwiedzających starą Karwinę (a tak naprawdę oprowadzanych, bo takich jak ja, którzy przyjeżdżają tam na własną rękę, jest znacznie więcej). ↦



WYDAWNICTWO BÍLÁ VRÁNA / MATERIAŁY PRASOWE

Stara Karwina na początku XX w. Na zdjęciu kościół św. Henryka, z powodu szkód górniczych został zamknięty w roku 1955, a w 1960 zburzony.

↦ Tomy trylogii ukazywały się w latach 2020, 2021 i 2024. W tym czasie, mówi mi Ondrušová, liczba turystów wzrosła przeszło pięciokrotnie, z trzech do ponad 16 tys. rocznie.

– Dzięki lekturze książek Karin sporo osób mieszkających na Karwińsku odkrywa swoje korzenie, zaczyna rozumieć przodków i własną tożsamość, wreszcie: odzyskuje dumę z miejsca swojego pochodzenia – kontynuuje Ondrušová.

Karin zaś opowiada mi tak:

– Przyjęcie książki przez ludzi mających więź ze starą Karwiną było poruszające. Musiałam nauczyć się przyjmować słowa o „odzyskanym poczuciu tożsamości" czy „przywróconej godności". Czasem aż mnie to onieśmielało: jak głęboko moje książki dotknęły czegoś, co w tym regionie, budzącym się z wymuszonej amnezji, było uśpione – opowiada.

Myślę, że rzeczywiście dotknęła miejscowego nerwu. Po raz pierwszy siłę rażenia jej opowieści widziałem w Teatrze Cieszyńskim w Czeskim Cieszynie. Od paru lat grana jest tam adaptacja „Krzywego kościoła". Czułem, że miejscowi z Orłowej, Stonawy czy Hawierzowa przeżywają zbiorowe *katharsis*. Bo to opowieść o nich – Lednická dzieliła ten sam los, wie na przykład, czym jest „syndrom dzwoniących filiżanek w kredensie": gdy zaczynały grać swoją złowróżbną muzykę, domownicy wiedzieli, że tąpnęło i ich bliskim mogło się coś „na szachcie", jak się tu mówi, stać.

Bo Lednická odpamiętuje Karwińsko, przywraca pamięć. Na jednym ze spotkań autorskich pytanie o swoim wstydzie zadał jej 16-latek: „*Co můžu udělat proto to, abych se přestal stydět, že jsem odsud?*". „Najlepiej zrozumieć miejsce, w którym się żyje" – odpowiedziała. Myślę zresztą, że w tamtej chwili Karin dobrze rozumiała, co czuje nastolatek. Sama przyznawała nie raz, że długo czuła brak związku ze swoim regionem: „*Z dětství si pamatuju trvalý pocit, že nikam nepatřím*". Że do niczego nie przynależę.

Efekt

Ale sukces „Krzywego kościoła" to sukces ogólnokrajowy. Lednická odkrywa dla współobywateli Śląsk, nawet jeśli wcześniej niezbyt wiele im się z nim kojarzyło: w najlepszym razie Jaromír Nohavica i Ewa Farna, a na ogół bieda, gruboskórność, konflikt.

– Ludzie z Pragi nie rozumieją mieszkańców Śląska, a ja chcę walczyć z bohemocentryczną perspektywą – mówi mi Karin. – Regiony Ostrawsko i Karwińsko zajmują w Czechach pozycję podobną do tej, co Górny Śląsk w Polsce. Zresztą, poza częścią Ostrawy, jest to obszar należący do historycznego Śląska.

– Tak, należy do Śląska, ale Czesi zwykle tego nie rozumieją – dodaje mieszkający w Ostrawie socjolingwista i śląskoznawca z Instytutu Slawistyki PAN Kamil Czaiński. – Popularna rymowanka mówi: „*Čechy, Morava a Slezsko – to je naše Česko*", wszyscy wiedzą, że na narodowym herbie są herby trzech regionów składających się na państwo czeskie, ale gorzej, gdy trzeba te frazy wypełnić treścią.

Czaiński podkreśla, że od stu lat Śląsk nie stanowi odrębnej jednostki administracyjnej, a Ostrawa długo była stolicą kraju północnomorawskiego. Tak więc cały czeski Śląsk znajdował się pod administracyjną etykietą Moraw Północnych, tak jak teraz w Polsce Sosnowiec znajduje się pod administracyjną etykietą Śląska.

– To doprowadziło do zupełnego pomieszania porządków i jednoczesnego istnienia „Śląska" i „Północnych Moraw" w tym samym miejscu w przestrzeni. Czasami w jednej gazecie potrafią być wydrukowane obok siebie artykuły, gdzie w jednym pisze się o jakiejś miejscowości „na Śląsku", a w drugim tę samą albo sąsiednią określa się jako leżącą „na północnych Morawach". I nie pomaga mu fakt, że każdy z subregionów czeskiego Śląska, od Těšínska przez popruski Hulczyn po Ostrawę i Opawę, jest w dużej mierze innym światem – wyjaśnia Czaiński.

Fenomen

Ja tymczasem twórczość Lednickiej czytam w dużej mierze jako Ślązak. Górny Śląsk od 1742 r. nie leży w jednym państwie, dziś podzielony między Polskę i Czechy. Zaolziańska śląskość jest inna niż polska – nie wybiła się na niezależność jako suwerenna tożsamość: u jednych, tych ducha polskiego, jest etykietą dla konserwatywnej polskości i podkreśleniem odrębności od czeskości, u drugich, tych ducha czeskiego, jest deklaracją związku z regionem. Ślązakom z Polski nie jest łatwo poruszać się w gąszczu tutejszych znaczeń, odmiennej wyobraźni. To śląskość poaustriacka, nie poniemiecka, składają się na nią inne doświadczenia, wypiętrzała się pod naporem innej orogenezy, innych płyt tektonicznych: galicyjskości, czeskości, habsburskości.

Staram się czerpać jednak z zaolziańskiego zdroju, bo wiem, że bez takich twórców jak Lednická, ale też Óndra Łysohorski czy Ota Filip moja śląskość będzie uboższa. A „Krzywy kościół" to najlepsza śląska powieść od czasu „Dracha" Szczepana Twardocha. Bo c.k. Śląsk to też Śląsk. A to, że Karin mieszka dziś po śląskiej, a nie po morawskiej stronie Ostrawy – bardzo mnie cieszy.

Początkowo niewiele przepowiadało jednak tak wielki sukces: autorką „Krzywego kościoła" była debiutantka po pięćdziesiątce, książka ukazała się w niewielkim nakładzie 2 tys. egzemplarzy w ni-

szowym wydawnictwie należącym do Karin, a dwa tygodnie po premierze wybuchła pandemia i zamknięto księgarnie. Książce groziło skończenie na półkach w centrach informacji turystycznej.

O przyczyny sukcesu „Krzywego kościoła" pytam krytyka literackiego Tomáša Fojtíka.

– Jej sukces można porównać do fenomenu Harry'ego Pottera: początkowo była to stosunkowo niepozorna książka dla ograniczonego grona odbiorców, która z czasem stała się masowym fenomenem czytelniczym – słyszę od Fojtíka. – Ważne było także dobre wyczucie czasu.



VISIT CZECHIA

Krzywy kościół w Starej Karwinie

Lednická pisząc o regionie, który do tej pory był w literaturze pomijany, trafiła w moment, gdy stopniowo słabło pragocentryczne spojrzenie na czeską literaturę, a zaczęło rosnąć zainteresowanie historią regionalną. Krytyk dodaje, że Lednická poruszyła tematy, które przez dziesięciolecia były wypierane lub zamknięte w pamięci regionalnej. Tematy, które nie zostały przepracowane i które do dziś pozostają bolesne. Podkreśla, że pod tym względem jej twórczość można porównać np. z powieściami Kateřiny Tučkovej (po polsku ukazały się jej świetne „Wypędzenie Gerty Schnirch", „Boginie z Žítkovej" oraz „Bílá Voda"). A dziś Tučkova i Lednická to wraz z Petrą Soukupovą, Aleną Mornštajnovą i Leošem Kyšą najlepiej sprzedający się autorzy literatury pięknej w Czechach.

Ale Lednická zafascynowała mnie też jako osoba. Poznaliśmy się kilka miesięcy temu na kawie w kultowym cieszyńskim „Kornelu". I ledwie drugi raz w życiu spotkałem autorkę, która potrafiła z drugim człowiekiem tak rozmawiać i tak dobrze współbyć. Pierwszy raz blisko 20 lat wcześniej – była to Swiatłana Aleksijewicz. Gdybym miał ją „otagować", napisałbym: swojskość, ciepło, „pierwszorepublikańska elegancja" (dla Czechów retrotopią, tym czasem wyobrażonym-najlepszym, jest Pierwsza Republika Czechosłowacka Masaryka i Beneša).

Rogata dusza, z wyobraźnią. Jako panienka chodziła do hospody „Lučina" w pobliżu hotelu dla pracowników tymczasowych.

– Tam zrobiłam swój pierwszy interes – wielu z tych mężczyzn było półanalfabetami, więc za wypełnienie druku pocztowego stawiali mi piwo. Lubiłam z nimi rozmawiać. Na przykład Laco z Vihorlatu wyjaśnił mi kiedyś, że nie zmywa czarnego pyłu wokół oczu, aby kobiety wiedziały, że jest górnikiem i ma pieniądze – opowiada mi.

Pierwszy sukces literacki odniosła w szkolnym konkursie za sprawą rozprawki „Jak boję się amerykańskiej bomby neutronowej". Przerażało ją, że po wybuchu po ludziach zostaną jedynie cienie na ścianie, opisała swoje lęki. Wygrawszy, musiała włożyć pionierski strój i pojechać do Karwiny, gdzie sfotografowano ją jako przedstawicielkę „najmłodszej generacji walczącej słowami z amerykańskim imperializmem".

Pytania

Dziennikarz pisma „Reportér", Tomáš Poláček, pisał: „Opowiadała mi o tutejszych Cyganach i zrozumiałem, że ich zna, że się nimi interesuje, że czasem chętnie pójdzie z nimi na piwo z butelki – co bardzo cenię". I dodaje, że nie jest ona kimś, kto „skrupulatnie upiera się przy terminie Romowie, a jednocześnie z równą skrupulatnością tych ludzi unika".

Po szkole krótko pracowała fizycznie oraz jako dziennikarka, a następnie przeniosła się do Pragi. Za dnia plotła warkoczyki turystom na Moście Karola, a wieczory spędzała w Jo Barze. Po dwóch latach znów spakowała swoje życie i ruszyła do Londynu, aby zdobyć wykształcenie. Po powrocie założyła wydawnictwo, a w międzyczasie została matką dwojga dzieci. Gdy syn, Davča, dorastał, wpadł na pomysł, że chciałby zobaczyć świat. Zapakowała go do samochodu, usiadła za kierownicą i pojechała na Wschód: przez Ukrainę, Kaukaz, Syberię, Azję Centralną.

Następnie, osiem lat temu, zaczęła pracę nad „Krzywym kościołem". Ale buntowniczką, zdaje się, pozostała.

– Kościół św. Piotra z Alkantary to pomnik arogancji. Władza skazała Karwinę na zagładę w imię „świetlanej przyszłości", która nigdy nie nadeszła. I niestety nie skończyło się to ani po 1989 r., ani gdy przestano wydobywać węgiel – mówi mi Karin.

Dziś włącza się w walkę o zachowanie Starej Karwiny. Poza kościołem i działką wokół niego, teren po mieście został po upadku komuny sprywatyzowany – jak słyszę od miejscowych, przejęty w duchu transformacyjnym, legalnie, acz niemoralnie. Właściciel terenu zamierza zbudować tam strefę przemysłową – 400 metrów od krzywego kościoła. Spór sprowadza się do ontologicznego pytania, co to znaczy nic? Czy każda pustka jest pusta? Bo jedni mówią: nic tam nie ma, można budować. A inni: no właśnie, siłą tego miejsca jest to, że nic tam nie ma, a dawniej było.

– Tak, dostałam kilka wstrętnych anonimowych wiadomości i ostrzeżeń, a pewnego razu nocą jechało za mną dziwne auto – mówi mi Karin. – Ale odpowiem słowami jednej z postaci z trzeciego tomu: „Jeśli będziemy się ich bali, przegrywamy sami ze sobą".

Historia krzywego kościoła i starej Karwiny wciąż trwa. © ZBIGNIEW ROKITA

Inny sposób na Szekspira



ANITA PIOTROWSKA

KINO | „Hamnet" przedstawia piękną, acz wielce życzeniową i celowo anachroniczną biografię mistrza ze Stradfordu. Reżyserka ze swoich szarż wychodzi zwycięsko.

To nie jest film dla szekspirologicznych nerdów ani opowieść o mistrzu ze Stradfordu jako pomysłodawcy czy szkoleniowcu dla przyszłych scenarzystów filmowych. Nie jest nawet apokryfem, bo poprzedziła go nagradzana powieść Maggie O'Farrell, wydana również u nas. A była w dużej mierze literacką fantazją na temat wczesnych losów Williama Szekspira i jego żony Anne, nazywanej tam imieniem Agnes.

Już sam tytuł, „Hamnet", mógłby wskazywać na spory margines dowolności, z jaką obie twórczynie – Farrell jest także współscenarzystką filmu Chloé Zhao – traktują obrosłą domysłami biografię. Dostajemy raczej historię z gatunku „jak być mogło", kiedy na przełomie XVI i XVII wieku doszło do powstania nieśmiertelnego dramatu o pogrążonym w rozpaczy księciu duńskim. Chodzi tu bardziej o twórczą wariację, gdzie „Szekspir współczesny" to nie tyle ponadczasowy geniusz czy wiecznie żywa literacka legenda, ile facet z krwi i kości. Anonimowy wtedy ojciec i mąż, który rodzinną traumę miał przepracować w napisanej przez siebie tragedii Hamleta. Powstał z tego kawał intensywnego kina, a po seansie bardziej niż o prawdzie historycznej chce się dyskutować o przeżywanych emocjach.

Właściwie na główną osobę dramatu wyrasta Agnes (Jessie Buckley), co nie dziwi w czasach, kiedy przesuwa się akcenty na postacie kobiece, schowane dotąd w cieniu wielkich męskich nazwisk. Dla filmu owa zmiana perspektywy wiele znaczy, albowiem otwiera przestrzeń dla osobnego mikrokosmosu Agnes Szekspir – trochę „wiedźmy z lasu", trochę Kate Bush z teledysku „The Sensual World", trochę zielarki tańczącej z jastrzębiami i czytającej przyszłość.

Kamera Łukasza Żala wydobywa surową baśniowość tego świata, choć zarazem film nie przytłacza „magią kobiecości" w czerwonej sukni. I taki wybór, wbrew pozorom, stanowi naturalne dopełnienie dla dużo mniej żywiołowego świata Williama (w tej roli Paul Mescal), skromnego korepetytora z łaciny, tłamszonego przez ojca i skrobiącego coś przy świeczce w mieszkanku na poddaszu. To ich współdzielony, zrośnięty uczuciem wszechświat wypełnia czy wręcz rozsadza ekran. Wpierw namiętnością, która łamie konwenanse i przesądy, potem wyzwaniami, jakie przynosi małżeństwo i rodzicielstwo. Oraz frustracją pisarza, który „zgubił drogę" i nie jest w stanie zapewnić rodzinie godnego bytu.

Aż w końcu, pod wpływem mądrej żony, chwilę potem obarczonej kolejnym przychówkiem, rusza za chlebem do Londynu. Ot, proza życia, ale tymczasem, niczym u prawdziwego Szekspira, musi się wypełnić zarówno śmiertelna przepowiednia czarownicy, jak też mit Orfeusza i Eurydyki. Czyli prorocza opowieść filmowego Williama o uwięzieniu w świecie zmarłych i o próbie przechytrzenia śmierci.

Zhao w swoim wiedźmowym kociołku miesza więc na gładko rozmaite ingrediencje: naturalizm (z uwzględnieniem ówczesnych standardów higienicznych), magię, zmysłowość, żałobę, szekspirowskie cytaty... Te ostatnie, o dziwo, wypadają w „Hamnecie" najmniej przekonująco, szczególnie w scenach mówionych Szekspirem. Pół biedy, jak dzieci pisarza nieświadomie odtwarzają w zabawie pierwszą scenę z „Makbeta". Gorzej, gdy załamany i osamotniony William recytuje nad Tamizą monolog „być albo nie być", co wypada ilustracyjnie i sztucznie, biorąc ludzkie cierpienie w literacki cudzysłów. Są to nieliczne, na szczęście, momenty, kiedy reżyserkę, doskonale kreującą atmosferę coraz gęstszego fatalizmu, zawodzi umiar czy intuicja. Dorzuca wtedy do kotła zbyt dużo jakiegoś składnika, na przykład egzaltowanej muzyki Maxa Richtera. Tak, „przed kosą czasu nic się nie obroni", czasem jednak lepiej potraktować dosłownie inny cytat – że „reszta jest milczeniem".

Dotyczy to zwłaszcza finału w elżbietańskim teatrze, gdzie stężenie emocji przebija sklepienie ponad sceną. Inscenizacja „Hamleta" zamienia się w zbiorowy rytuał, w którym widzowie, bo nie tylko Agnes, przeżywają swoje *katharsis*, swe osobiste utraty i żałoby (Londynem wstrząsały wówczas śmiercionośne zarazy). A co z kinowymi widzami? Wiele zależy od tolerancji na tego rodzaju celebracje. Najwyraźniej Zhao celuje w widownię możliwie zróżnicowaną i sze-



AGATA GRZYBOWSKA / FOCUS FEATURES

HAMNET
– reż. Chloé Zhao. Prod. Wielka Brytania/USA 2025. Dystryb. UIP. W kinach od 23 stycznia.

Chloé Zhao, amerykańska reżyserka urodzona w Chinach, debiutowała filmem „Pieśni braci moich" (2015). Potem był nagrodzony w Cannes „Jeździec" (2017) i głośny „Nomadland" (2020), uhonorowany m.in. weneckim Złotym Lwem i Oscarami za reżyserię i dla najlepszego filmu. Flirt z kinem komercyjnym, czyli „Eternals" (2021) z uniwersum Marvela, nie przyniósł jej sukcesu.

Na zdjęciu: Jacobi Jupe jako Hamnet, Bodhi Rae Breathnach jako Susanna and Olivia Lynes jako Judith w filmie „Hamnet"

roką, trochę na wzór tej z XVI-wiecznego Londynu, a tym samym w lubiącą takie klimaty komisję oscarową. Dlatego nie boi się maksymalnie docisnąć pedału. Chodzi jej wszak o rzeczy pisane największą literą – o mierzenie się z nieuchronnością śmierci i próbę unieśmiertelnienia poprzez sztukę.

Ostatecznie wychodzi zwycięsko z tych szarż i przeogromna w tym zasługa jej irlandzkich aktorów. Mescal, a zwłaszcza Buckley reprezentują aktorstwo „wysokowrażliwe", na wskroś współczesne. Jego Szekspir, choć rzeźbi w słowie, z trudem wypowiada swoje uczucia. Z kolei u niej wszystko jest na wierzchu, na twarzy rozedrganej, plastycznej, jakby nadmiernie unerwionej, i w ciele heksy, organicznie stopionej z naturą. Podczas spektaklu twarz aktorki zamienia się w równoległy spektakl – złość, zawód, zwątpienie przechodzą stopniowo w zdumione rozpoznanie, na koniec zaś w przeżycie oczyszczające. I nawet drobna ciekawostka: że małego Hamneta, który chciał zostać aktorem, i dorosłego Hamleta z teatralnego przedstawienia grają bracia, Jacobi Jupe i Noah Jupe, jeszcze coś do tej opowieści wnosi. Uruchamia wyobraźnię skuteczniej niż wszelka dosłowność i emocjonalna wylewność.

„Hamnet" przedstawia zatem piękną, acz wielce życzeniową i celowo anachroniczną biografię młodych Szekspirów oraz genezę najsłynniejszego dramatu. Wersję taką, w której dostrzega się kobiety i dzieci, na długo zanim stało się to ważne czy modne. Chociaż my wiemy, że miłości do dziecka wcale nie „wynalazł" dopiero wiek XIX – Hamnet Szekspir urodził się prawdopodobnie kilka lat po tym, jak inny słynny ojciec bolesny, z mazowieckiego Czarnolasu, napisał swoje „Treny".

I mimo że reżyserka „Nomadland" miewa skłonność do nazbyt romantycznych i podniosłych tonów, nie zmienia to faktu, że jej nowy film, wyprodukowany przez Stevena Spielberga i Sama Mendesa, to kino, jakie tworzy się coraz rzadziej, łączące artystyczne ambicje z angażującą opowieścią. Taką, która potrafi opisać przygodność ludzkiego losu i jednocześnie jego tragiczną ironię. Los zaś ten igra tutaj z życiem i śmiercią, popisując się iście dramatopisarskim talentem, włącznie ze skłonnościami do *qui pro quo* i rosyjskiej ruletki. ©

Lektor:
Ballada z Grochowa



▪ *Paweł Sołtys,*
MONOLOK,
Wydawnictwo Czarne, Wołowiec 2025, s. 120

Paweł Sołtys? Dwie osoby w jednej, ale tworzące spójną całość. Najpierw był – i nadal jest – Pablopavo, muzyk i autor tekstów. „To jest piosenka o różnych rzeczach", napisana po zamordowaniu Jolanty Brzeskiej, stanowi mocne oskarżenie zła wykorzystującego luki w prawie i bezsilności (obojętności?) państwa wobec krzywdy, a nawet zbrodni. A w 2017 roku tomem opowiadań „Mikrotyki" zadebiutował prozaik Paweł Sołtys. Nagroda im. Marka Nowakowskiego, Gdynia, nominacja do Nike – trudno o lepszy debiut. Potem była „Nieradość" i „Sierpień". Teraz „Monolok", czyli monolog pewnego fryzjera z Grochowa.

Kiedy słucham i czytam Sołtysa z krakowskiej perspektywy, mam poczucie, że trudno o twórcę bardziej warszawskiego. W najlepszym sensie – takim, w jakim pisarzem warszawskim był właśnie Marek Nowakowski (który, przypomnijmy, w trudnych czasach publikował w „Tygodniku"). Dotyczy to także, a może zwłaszcza nowej książki.

Zakład fryzjerski (trochę jak bar) to miejsce, w którym zatrzymuje się czas, by mogły wybrzmieć opowieści. Śluza, w której osadzają się strzępy rzeczywistości. I pamięć o ludziach, wracających dzięki temu na chwilę do życia. Któż więc mógłby być lepszym świadkiem przeszłej codzienności niż fryzjer, sam obdarzony dramatycznym życiorysem i pilny słuchacz rozmów swoich klientów? Kreacja narratora tej „ballady miejskiej", jak ją słusznie nazwała Justyna Sobolewska, jest znakomita.

Jakże to w ogóle jest świetnie opowiedziane i mocne językowo, jak zazębiają się i wartko toczą kolejne historie! Korowód zmarłych zaczyna się już na pierwszej stronie, śmierć goni śmierć, samobójstwa, morderstwa, choroby – ale przecież oni wciąż tutaj są. Na nowo przeżywają swoje wzloty i upadki, żałosne czasem triumfy i zawsze bolesne klęski. I co za galeria postaci – choćby pani Marta od pioruna, co od wypadku gada jak zepsuta lalka, i jej sąsiad, „inżynier Sankoski bez w", zwykle sztywny i spięty, który w pijackim amoku próbuje zestrzelić księżyc. Choćby stara komunistka „Halina", opiekunka kotów, samobójczyni, i Grzegorz Diabeł, który przejmie jej rolę. Choćby trzy siostry-wróżki i ta scena, w której narrator spełnia prośbę ostatniej z nich – dwie już nie żyją – i, choć jest fryzjerem męskim, robi jej w domu fryzurę. Ostatnią, bo ona trafi zaraz do domu opieki. Cały „Monolok" to piękna i, co tu kryć, wzruszająca elegia na odejście. ©℗

PAWEŁ

Bravo:
Pożytki z kiwi



Dwa i pół kiwi dziennie warto zjadać w ten marny dla owoców, niskowitaminowy czas. Zima weszła cała na biało i wygląda, jakby chciała utrzymać się na afiszu naszego cyrku co najmniej do końca przysługującej jej fazy astronomicznej, chociaż w poprzednich sezonach bywała czuła na gwizdy skostniałej widowni i pomidory rzucane z tylnych rzędów, gdzie siedzą osoby ze specjalnym karnetem zmarzlucha. W naszej rubryczce nigdy nie pochwalaliśmy rzucania produktami spożywczymi do choćby najzacniejszych celów, a już szczególnie w roli narzędzia ekspresji politycznej, bo to perfidnie obłudna forma skandalu, jakim jest każde marnowanie jedzenia. Ale akurat styczniowe pomidory z trudem się mieszczą w najłaskawiej rozmytej definicji produktu przeznaczonego do spożycia, o co zresztą nie mamy do nich pretensji, prawda?

Naszą potrzebę bodźcowania ośrodka wzroku, odrętwiałego od patrzenia na szarobure potrawy zimowe z żurkiem na czele, możemy realizować obierając pomarańcze. Właśnie jest apogeum sezonu na późną czerwoną odmianę *tarocco* z Sycylii. I tego się trzymajmy w naszym domowym leczeniu chandry i odmrożeń duchowych. Można też ewentualnie uciec na wyspy szczęśliwe, egzotyczne obozy masowego odpoczynku – ale to wydaje mi się nielojalne wobec reszty.

Można też za jedną dwudziestą budżetu dubajskiego wsiąść w krajowy pociąg w kierunku zachodnim. Toż nawet w Poznaniu oddychanie już tak nie boli i wystarczy jedna warstwa ciepłej bielizny, a nieco dalej, w Berlinie, widziałem nawet nieśmiałe pączki na gałęziach. Udałem się tam jednak tylko na krótki moment naznaczony pięknem głosu Andreasa Scholla, który zaśpiewał dla garstki ludzi w lochach zrujnowanego browaru czy gorzelni tak anielsko, że przez moment wydawało się, iż cała nieliczna publiczność się przedestyluje w opar spirytualny. Ale cicho o tym, pilnuj szewcze kopyta, czy raczej kuchto – tasaka. Będziesz tu bajał o bezcielesnych wzlotach, podczas gdy z pokojów wołają stołownicy poddani potrzebom najzupełniej cielesnym. Głodowi oraz temu, co się dalej z człowiekiem dzieje, gdy go lepiej lub gorzej zaspokoi.

I tu właśnie wkracza owo kiwi, zielony nasz dodatek do owocowej diety przetrwania. Kwaśne i soczyste, wygodne do wyjęcia łyżeczką po rozcięciu na pół – więcej mi nic miłego do głowy nie przychodzi, chociaż na pewno osoby nowozelandzkie umiałyby rozprawiać o niuansach smaku rozmaitych odmian, tak jak my się spieramy o wyższość koksy nad ligolem. Owe osoby, osobliwie zaś wielcy eksporterzy kiwi,



AYO PRODUCTION / SHUTTERSTOCK

tak kochają ten owoc, że dobre piętnaście lat zabiegały u wysokich progów unijnej agencji żywnościowej o szczególne uznanie, śląc raport za raportem, a brody wynajętych profesorów siwiały od powagi. Dopięli swego: kiwi dostało bardzo elitarne prawo do tzw. oświadczenia zdrowotnego, czyli formułki, którą producent czy importer może w majestacie przepisów umieszczać na opakowaniu.

Otóż, moi drodzy, zapewne nikt was jeszcze nie uświadomił, ale począwszy od tej zimy jadacie kiwi nie dla witamin, lecz dlatego, że jego spożywanie (w ilości 200 g dziennie, czyli dwie i pół sztuki), cytuję: „przyczynia się do prawidłowej pracy jelit poprzez zwiększenie częstotliwości wypróżnień". No cóż, mogli zaoszczędzić na raportach, gdyby się spytali – nie, niekoniecznie mnie, nie roszczę sobie prawa do żadnej tajemnej wiedzy. To są sprawy, które kojarzy każdy rodzic dający dziecku owoce drobnopestkowe w celu szybszego zamknięcia cyklu przemiany materii.

Można mieć co najwyżej nadzieję, że zalety innych płodów rolnych i produktów były zatwierdzane na tej bardzo krótkiej liście szybciej i mniejszym kosztem. Guma do żucia bez cukru pomaga zneutralizować kwas w płytce nazębnej, osobliwie ta z dodatkiem mocznika – nie wiem, czy jakikolwiek producent chwali się takim składem z racji oczywistych asocjacji w nazwie tej szalenie pożytecznej substancji. Orzechy włoskie zwiększają elastyczność naczyń krwionośnych, inne ich – wspaniałe przecież – zalety nie dostały oficjalnego stempla. A co dobrego robi nam, zdaniem rejestru oświad-



czeń, błonnik buraka cukrowego? To już może zostawię wam do własnego riserczu, dzisiejsza nasza biesiada i tak już nabrała – nie z naszej winy! – charakteru, hmm, raczej toaletowego.

Trudne życie ma nasza władza, tak po kolei brać pod lupę każdy okruch ze stołu, każde zawiniątko z kosza matki Natury i najmniejszą roślinkę z ogrodu, by orzec o ich właściwościach z mocą równą naszym prarodzicom, którzy ponazywali całość Stworzenia. Po drugiej stronie oceanu kowboje się nie patyczkują. Departament zdrowia (ten od Roberta Kennedy'ego, co to robi tyleż szkód, co pożytku) przywrócił do szkolnych stołówek zakazane ongiś przez chudzielca Obamę pełnotłuste mleko. Jest nadzieja bowiem, że dzieci, których odrzucało – słusznie – mleko jednoprocentowe, zaczną pić to „prawdziwe" i może, w ten sposób nasycone, mniej będą pragnąć paskudztw, jakich wciąż pełno w ich otoczeniu.

O śmieciowe jedzenie i picie też toczy się batalia, niekonsekwentna i pełna luk; obserwuję ją z równą ciekawością, co bitwę o Grenlandię. Sam nie wiem – czy bardziej beznadziejna będzie próba odcięcia młodych ludzi od TikToka (czego właśnie próbuje Australia), czy od coli i turbosmakowych przekąsek.

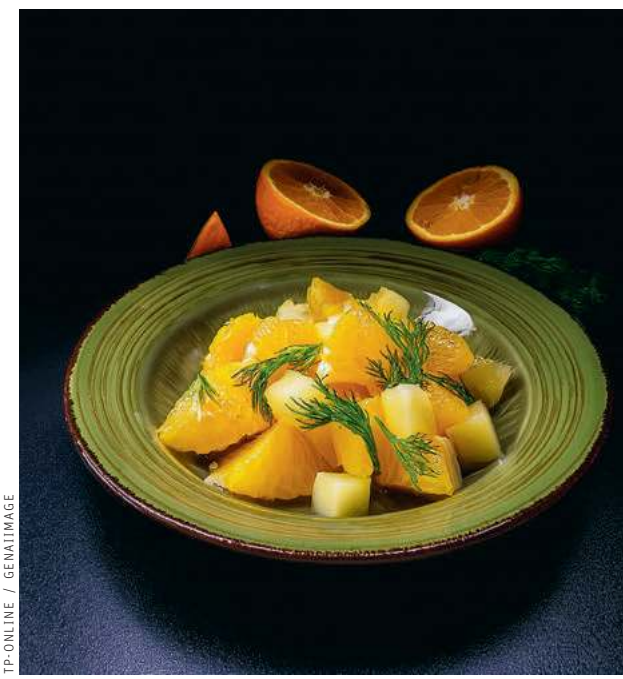
Paweł Bravo jest barmanem, tłumaczem i redaktorem. Współautor „Kuchni Dantego", autor „Czekolady i kapuśniaku" (Nagroda Literacka im. Leopolda Staffa 2023).

Sałatka z fenkuła i pomarańczy

Z owoców kiwi żaden pożytek w kuchni – nie da się ich nawet zalać galaretką (bo za kwaśne, nie stężeje), żeby podać potem z bitą śmietaną... Może został tam ktoś jeszcze, kto galaretkę z owocami ma głęboko zafiksowaną jako jeden z archetypicznych deserów.
Wręcz Ur-deser, jakby powiedział jakiś mętny filozof. Skorzystajmy za to z sezonu na pomarańcze i fenkuły. Kilkanaście lat temu, przed brexitem i Trumpem, w czasach, kiedy rządzący nami do dziś panowie – to niebywałe, ale oni prawie się nie zmienili – spożywali ośmiorniczki i płacili z naszych podatków za pomerola, podawałem wam tu przepis na genialną sałatkę. Tak genialną, że aż się dziwię, iż nie powtarzam jej co roku. Jest zimowa z racji składników, ale ma moc odświeżającą godną najcieplejszego lipca.

SKŁADNIKI:
1 pomarańcza, duża i jędrna 1 duży fenkuł lub 2 małe 2 gałązki szczypiorku ▪ oliwa ▪ sól

Czyścimy i kroimy fenkuła po zdjęciu zeń najbardziej zeschniętych łupin (niestety, większość tych dostępnych w polskim handlu jest z wierzchu już zbyt zwiędła i trzeba się pogodzić z wyrzuceniem około jednej czwartej bulwy). Kroimy na pół, wycinamy twardy, trójkątny głąb, a potem jeszcze przecinamy połówki na pół i każdą ćwiartkę na średnio cienkie plasterki. Obieramy pomarańczę, usuwamy tyle białej skórki, ile się da, kroimy w kostkę o boku ok. 1 cm. Siekamy szczypiorek. Mieszamy wszystko w misce, lekko solimy, polewamy oliwą zmieszaną z sokiem, który nam wyciekł podczas krojenia owocu. Zostawiamy do maceracji w temperaturze pokojowej na godzinę. ©℗



TP-ONLINE / GENAIIMAGE



STOCK PHOTO DIRECTORS / ADOBE STOCK

PSYCHE

BABO, CZYLI BABCIU

JUSTYNA DĄBROWSKA, PSYCHOTERAPEUTKA:

W byciu babcią chodzi o to, by ktoś wierzył, że młoda matka sobie poradzi. By dawał podparcie, ale nie rywalizował. A dla dziecka dziadkowie to ktoś od mądrości i radości.

ANNA GOC: Jak się kocha wnuki?

JUSTYNA DĄBROWSKA: Miłością, która nie jest obciążona odpowiedzialnością. I taką, w której jest dużo wolności.

Z czego się ona bierze?

Z tego, że nie muszę zadawać sobie pytania, czy im czegoś w życiu nie schrzanię. Tym, żeby nie schrzanić, zajmują się rodzice. To oni spędzają z nimi najwięcej czasu i to oni podejmują najważniejsze decyzje. Babcia i dziadek też decydują, ale o czymś innym – jak wspólnie spędzać czas, co wnukom opowiedzieć, czym je nakarmić.

Synowie mojej córki przychodzą do nas na coś w rodzaju nocowanki – spędzają z nami cały dzień albo weekend. To potrafiło być męczące, zwłaszcza, gdy byli mali. Wiedziałam jednak, że oni za chwilę wrócą do rodziców, a my z mężem będziemy mogli odpocząć. To też zmienia perspektywę.

Matka może dać spokój swojej córce, gdy ta staje się matką – pisałaś w jednym z tekstów. W jaki sposób?

Nie chciałabym idealizować tej relacji, bo przecież matka nie zawsze potrafi dawać, a córka nie zawsze umie brać. Jednak gdy młoda kobieta staje się matką, ważne, by mogła z relacji ze swoją matką wziąć sobie trochę troski, wiary w siebie i oparcia. Może to wziąć z realnej relacji lub z tej uwewnętrznionej, którą „nosimy" w środku.

Macierzyństwo zawraca nas w jakimś sensie do naszego własnego dzieciństwa i ożywia przeszłe sprawy. Jeśli kiedyś udało nam się coś dostać i wziąć z relacji z naszą mamą, możemy teraz usłyszeć głos, który będzie nam podpowiadał: „wspaniale sobie radzisz", „wszystko będzie dobrze", „też przez to przechodziłam, to minie".

I ten głos jest naprawdę drogocenny.

A jeśli go nie ma?

Wtedy możemy usłyszeć inny głos – poczucia winy, lęku, oceny, zagubienia. Gdy stajemy się rodzicami, mogą pojawić się uczucia, których nie rozumiemy. Skomplikowany to proces i dużo się na niego składa. Dobrze jednak, by młodzi rodzice nie zostawali sami: by ktoś, nawet jeśli nie realna babcia dziecka, wszedł w rolę babci.

Jaka to jest rola?

Chodzi o to, by ktoś wierzył, że młoda matka sobie poradzi. By dawał podparcie, ale nie wyręczał, nie rywalizował. I żeby był ktoś, kto słucha. „Mamo, wiesz co, ja widzę, że ty nie lubisz, gdy ja robię różne rzeczy inaczej, niż ty robiłaś, gdy ja byłam mała" – powiedziała mi córka, gdy zostałam babcią.

Wspaniałe, prawda? Nie było to przyjemne, ale ucieszyłam się, że mogła mi coś takiego powiedzieć. Jeśli komunikacja w rodzinie jest otwarta, bezpośrednia i jeśli traktujemy się serio, takie zdania mogą paść i są słyszane.

Gdy pojawił się mój pierwszy wnuk, dla nas wszystkich była to nowa sytuacja. Chciałam pomóc, a jednocześnie nie chciałam być inwazyjna i zabierać córce jej doświadczenia. Pilnowałam się, żeby nie wchodzić w tę sytuację jako specjalistka od małych dzieci, która wychowała własne i zajmuje się tym tematem zawodowo od wielu lat. Ani moja córka, ani ja nie byłyśmy pewne, gdzie będzie to dobre nowe miejsce dla każdej z nas.

Dlatego napisałaś, że starałaś się „nie zdradzić swojej córki z wnukiem".

Widziałam to zagrożenie. Ciągnęło mnie, żeby się nim zachwycać, a jednocześnie dzielić radami i pouczać córkę, co i jak powinna robić. Była we mnie taka część. Wiedziałam jednak, że to głupie i że nie mogę tak robić. Raczej chcę dać córce podparcie, którego potrzebuje, żeby sama mogła dać więcej swojemu pierwszemu, a potem drugiemu synowi.

Może młode matki też nie wiedzą, jakiego wsparcia potrzebują.

Dlatego warto zapytać: słuchaj, jak ci mogę pomóc? A jeśli nie wiedzą, proponować dalej: może wam zrobię zupę na cały tydzień i pozamrażam? Chcecie, żebym wam ją przywiozła, czy wolicie sami po nią przyjechać?

Ludzie zazwyczaj wiedzą, czego potrzebują. „Mamo, chcemy pobyć trochę sami" – możemy usłyszeć. Albo: „może weźmiesz psa na tydzień do siebie, bo logistycznie to dla nas chwilowo za dużo". Albo: „wiesz co, potrzebujemy pieniędzy, bo okazało się, że jednak nam nie starcza".

Urodzenie dziecka ożywia w nas wczesnodziecięce doświadczenia – naszą delikatność, kruchość, wrażliwość. I to rozwrażliwienie ma sens, to się nam przydaje, ale bywa też trudne. Zarówno u rodziców, jak i u dziadków pojawiają się uczucia, których nie rozumiemy.

Na przykład?

Pamiętam, gdy po raz pierwszy zobaczyłam, jak moja córka karmi piersią. Czego można chcieć więcej? Wspaniała scena, córka robi to ze spokojem, z jakąś pewnością, oboje są tacy zgrani.

Bardzo mnie to roztkliwiło, byłam wzruszona. Ale potem poczułam ukłucie poczucia winy. Pomyślałam: „Kurczę, nie potrafiłam być taka spokojna dla niej, taka pewna siebie, taka osadzona". I choć karmiłam piersią, co w moim pokoleniu było rzadkością, to byłam o wiele bardziej nerwowa i pełna niepokoju. A po tym uczuciu przyszło kolejne, które mnie zdziwiło i którego na początku nie zrozumiałam – przyszła fala smutku.

Jak ją teraz rozumiesz?

To był jakiś rodzaj tęsknoty. Teraz myślę, że to były moje uczucia z tamtego czasu, gdy byłam dzieckiem, bo mnie mama nie karmiła piersią. Nie miałam tego doświadczenia – leżenia spokojnie w czyichś ramionach. Moja mama urodziła się przed wojną. W ich pokoleniu nie było miejsca na takie rzeczy jak karmienie piersią. Wszyscy się cieszyli, że dziecko się urodziło i przeżyło. Nie chciałabym jednak tego tematu rozwijać.

Mówię o tym dlatego, żeby pokazać, jak maleńkie dziecko potrafi wpłynąć na uczucia nie tylko rodziców, ale i dziadków. I jak ludzie w moim wieku, wychowywani przez pokolenie straumatyzowane wojną, mają dużo na sumieniu, jeśli chodzi o wychowanie własnych dzieci.

Na przykład?

Są rzeczy, które działały na poziomie podświadomym, ale niestety – zmieniały się w aktywne działanie. Choćby to przekonanie, powtarzane przez pediatrów i innych ekspertów jeszcze w latach 90., że jeśli dziecko płacze, należy je zostawić. ↦

↦ Wypłacze się, będzie mu lżej. Pokolenie naszych córek już wie, że niemowlę potrzebuje kontaktu – że się je nosi, przytula i trzyma przy sobie. Bo właśnie to jest potrzebne małemu ssakowi.

Dzisiaj ta wiedza jest oczywista, ale kiedyś nie była. I babcie, które obserwują swoje córki, dzisiejsze matki, nie zawsze potrafią sobie poradzić z tym, co widzą i jak bardzo to się różni od tego, jak one opiekowały się dziećmi.

I co wtedy czują?

Na przykład poczucie winy. Dobrym przykładem jest karmienie, o którym już wspomniałam. Wiele kobiet z mojego pokolenia nie karmiło piersią i gdy widzą własną córkę karmiącą piersią, reagują w sposób mało pomocny: „głodny jest, daj mu butelkę", „płacze, na pewno się nie najada", „masz małe piersi, nie wykarmisz go".

W naszym pokoleniu przekaz był jasny: karmić – co trzy godziny, tylko mlekiem z proszku. Jeszcze w szpitalu dawano dzieciom wodę z glukozą. Ale przecież już wtedy czułyśmy, że jest coś nienaturalnego w karmieniu dziecka cukrem albo w odkładaniu do łóżeczka: „niech się wypłacze". Jednak wiele z nas robiło to, co zalecono w książeczce zdrowia dziecka. I myślę, że dlatego pojawia się w pokoleniu współczesnych babć poczucie winy.

Co mogą z nim zrobić?

Możemy sobie powiedzieć, że robiłyśmy najlepiej, jak umiałyśmy, mając tamtą wiedzę. Nie jest to łatwe, tym bardziej że dotyczy tak wrażliwej sfery jak opieka macierzyńska, która jest społecznie oceniana i rozliczana.

Jeśli wiesz, że robiłaś coś, co z punktu widzenia dzisiejszej wiedzy było nie bardzo dostosowane do potrzeb dziecka, możesz pójść do córki czy syna i powiedzieć: „Słuchaj, głupio mi, że to tak wyglądało. Jak sobie pomyślę, że ty leżałeś sam w tej kołysce i płakałeś, to jest mi teraz przykro. Gdzie myśmy mieli rozum, że uwierzyliśmy w takie bzdury. Jakbym mogła zrobić to jeszcze raz, zrobiłabym inaczej".

Trudne?

Poczucie winy jest nieprzyjemnym uczuciem. Żeby go uniknąć, można powiedzieć: „Takie były czasy, taka była wiedza, i myśmy wszystkie tak robiły. I co? – wyrosłeś na ludzi".

Ale jeśli tamte matki, dzisiejsze babcie, wybiorą tę drugą opcję, łatwiejszą, wejdą teraz w przestrzeń między swoimi córkami a wnukami i nieintencjonalnie, bez złej woli, będą powtarzały stare mechanizmy i krytykowały nowe. Będą walczyć raczej o utrzymanie dobrego obrazu siebie w swoich oczach. I mogą krytykować córkę czy synową, która pozwala dziecku nie dojeść obiadu. I jeszcze rzucą: „Dzieci dzisiaj rządzą".

Przekarmianie dzieci było doświadczeniem całego pokolenia. A im dziecko grubsze, jak sądzono, tym zdrowsze.

Też lubię gotować dla mojej rodziny. Pytanie, jaką gotowanie pełni funkcję i czy to jedyny sposób **na powiedzenie komuś, że się go kocha.** Oraz czy nie ma w nim modelu „matki Polki", która się poświęca.

Gdy w latach 90. zaczynałam redagować miesięcznik „Dziecko", szkoliłam się w londyńskim wydawnictwie, które wydawało podobny tytuł. Przed wyjazdem zrobiłam wśród moich czytelniczek ankietę, jakie tematy byłyby dla nich cenne. „Czego chcą się dowiedzieć młode Polki?" – zapytali w Londynie. „Jak poradzić sobie z niejadkiem" – odpowiedziałam i od razu zobaczyłam pełne zdziwienia reakcje.

Myślę, że w wielu rodzinach w Polsce, w czasie wojny i przed wojną głód był powszechnym doświadczeniem. Nie dziwię się, że po wojnie poprzez karmienie wyrażało się troskę. I to przetrwało. Do dziś młode matki, gdy odbierają dziecko z przedszkola, często pytają, co było na obiad i czy dziecko wszystko zjadło.

O czym to jest, bo przecież nie tylko o jedzeniu?

O lęku i o tym, że o doświadczeniach przeszłych pokoleń nie potrafiliśmy rozmawiać. O tajemnicach rodzinnych, które – jeśli nie zmienią się w słowa, muszą wybrzmieć w inny sposób.

Młode pokolenie zaczyna być od tego wolne. To się zmienia powoli, choćby w takich uwagach naszych córek: „słuchaj mamo, nie musisz robić trzydaniowego obiadu i pilnować, żeby on wszystko zjadł".

Gotowanie dla kogoś może być formą miłości.

Też lubię gotować dla mojej rodziny i cieszę się, gdy im smakuje. Pytanie, jaką gotowanie pełni funkcję? I czy to jedyny sposób na powiedzenie komuś, że się go kocha. Także czy w tym gotowaniu, karmieniu, nie ma modelu „matki Polki", która się poświęca, która rezygnuje ze swojego życia „dla dziecka", tak naprawdę obciążając tymi wyborami i dziecko, i siebie.

Czy ta zmiana oznacza, że ciągłość między dzisiejszymi matkami a ich matkami, współczesnymi babciami, powoli pęka?

Łańcuchy międzypokoleniowe na pewno trzeszczą, a może i zaczynają pękać. I jeśli kobiety mówią, że nie chcą, by ich matki albo matki ich partnerów wchodziły w ich macierzyństwo, to robią to także dlatego, że czują te napięcia i ten niepokój. Choć chcę też powiedzieć, że urodzenie dziecka może być nowym otwarciem między dorosłymi – czyli rodzicami a dziadkami.

Są kobiety, które przychodzą do mojego gabinetu w ciąży i przyznają, że mają z matką – żyjącą czy zmarłą – nieuporządkowaną relację i nie chciałyby przenieść tego na własne dzieci. Nie chodzi przecież o to, żeby odrzucić wszystko i działać na zasadzie odwrotności: jeśli moja matka była nieobecna, zaabsorbowana pijącym mężem, oschła, bardzo wymagająca, lub tak była przeżywana, to ja będę dla dziecka jej przeciwieństwem, będę dla niego na dwieście procent.

Jakie jest wtedy zagrożenie?

Że rodzice pomyślą, iż najważniejsze, by dali dziecku to, czego sami nie dostali. A przecież ich dziecko może potrzebować czegoś zupełnie innego.

Sporo zależy też od tego, kogo wylosowało się na genetycznej loterii – czy moje dziecko potrzebuje takiego pełnego zaangażowania? Bo jedno dziecko będzie potrzebowało, żeby je tulić, nosić, rozmawiać z nim, a inne – niekoniecznie. Motywacje, które przychodzą z zewnątrz, raczej obciążają relację, niż ją rozwijają.

Z zewnątrz, czyli?

Jeśli chcę być dla mojego dziecka jakaś tylko dlatego, że moja matka albo mój ojciec tacy nie byli, to myślę wtedy bardziej o sobie niż o naszej relacji.

Warto poznać osobę, której potrzeby chcę zaspakajać. Czyli najpierw patrzę, kto mi się urodził. Patrzę z ciekawością i próbuję go poznać. Ono mi coś komunikuje, ja się staram to odczytać, zrozumieć i jakoś odpowiedzieć. I albo mu się moje odpowiedzi spodobają i mamy obustronną przyjemność, albo nie. I wtedy mogę się zastanawiać, jak to zrobić inaczej.

To znaczy, że budowanie relacji jest procesem wzajemnego poznawania się. Im więcej przychodzi z zewnątrz, np. z relacji z naszymi rodzicami, w tym większym będziemy pomieszaniu i niepokoju.

Jakie były Twoje babcie?

Mama mojej mamy zmarła, gdy miałam rok. I moja mama mi o niej nie opowiadała. Gdy miałam 18 lat, zmarł mój ojciec i wtedy starałam się zaopiekować drugą babcią, jego matką, ale szybko miałam swoje własne dzieci i nasze drogi się rozeszły. Niewielkie mam doświadczenia z babciami.

Prawdopodobnie dlatego z takim zaangażowaniem chodziłam do bohaterów moich książek, którzy są z pokolenia wojennego, by się czegoś o tym pokoleniu dowiedzieć. Fascynowało mnie to, że można przeżyć coś niewyobrażalnie trudnego, a jednocześnie być witalnym, szczodrym, otwartym, życzliwym. Jak oni to robią? Chciałam poznać tę tajemnicę.

Co Ci dały te rozmowy?

Bardzo dużo. Dostałam wiele wzruszeń i intymnych przeżyć bliskości. Afirmację życia. Poruszało mnie, że można się wymieniać tym, co trudne, i tym, co piękne. Obserwować życie w rozkwicie.



ARCHIWUM PRYWATNE

JUSTYNA DĄBROWSKA jest psychoterapeutką i dziennikarką. Założycielka i wieloletnia redaktor naczelna miesięcznika „Dziecko". Autorka kilku książek rozmów z polskimi intelektualistami. Pracuje w warszawskim Laboratorium Psychoedukacji.

Te rozmowy były wspaniałe również dlatego, że były bardzo szczere. Jeśli masz 90 lat, nie musisz już udawać, popisywać się, czegokolwiek rozgrywać. Moi Bohaterowie i Bohaterki pokazali mi, jak patrzeć do przodu, jak nie tkwić w przeszłości, pozbyć się resentymentów. Pokazali mi, że zawsze można mieć pomysły, którymi można obdarowywać innych, niezależnie od tego, czy to będzie książka, myśl czy obraz. W tych rozmowach jest mnóstwo takiego niespożytego życia. I ta niezwykła szczerość rozmów o przygotowywaniu się do umierania i do śmierci. Był w tym spokój i bliskość.

Są zdania, które z Tobą zostały?

Jest ich wiele. „Każdy wybór to strata". „Klęska jest rzeczą nieuchronną. Życie to jest mozolne wędrowanie do przodu i padanie na kolana. Rzecz jest nie w klęsce, tylko w tym, jak my się z niej dźwigamy". „Każdy człowiek ma w sobie światło, które pozwala mu rozróżnić dobro od zła. Każdy!"

Być może także po to są babcie i dziadkowie?

Od mądrości i od radości. W naszej rodzinie dziadek Paweł, czyli mój mąż, jest od natury, a Baba Ju, czyli ja, od kultury. Zabieram moje wnuki na rozmaite wyprawy do muzeów, do teatru, na koncerty. Szukamy rzeczy, które lubimy, kiedy możemy być razem w takiej szczęśliwej beztrosce.

Gdy skończymy rozmowę, pokażę ci ich zdjęcie.

Jacy oni są?

Wspaniali! Potrafią się czasem pokłócić na śmierć i życie, czasem się biją, ale naprawdę się kochają i jeden za drugiego skoczyłby w ogień. Zobacz [na zdjęciu widać chłopców plecami do nas, dziesięcio- i trzynastolatka, na śniegu, przytulonych, patrzących na pełnię księżyca].

Lubię z nimi być, sprawia mi to przyjemność. Lubię każdego z nich z osobna i razem, chociaż są bardzo różni. Lubię, że mi zadają pytania, które mnie zmuszają do myślenia. Lubię, że robią rzeczy zaskakujące. Lubię, że mogę ich podziwiać. Lubię nasze rozmowy. Ostatnio powiedziałam, że nie potrafię wkurzać się we własnej sprawie, tylko zawsze się wkurzam w sprawie innych. W swojej potrafię się co najwyżej zasmucić. Na co mój wnuk odparł: „Babo, bo czasem smutek to jest taka maska złości". No, rozkrochmalił mnie tym.

Babo, czyli babciu?

Tak, to słowo ma siłę, prawda?

©℗ Rozmawiała ANNA GOC

TOMASZ

Stawiszyński: *Na śmierć bajkopisarza*



Zdziwiłem się bardzo, przeczytawszy, że 10 stycznia, w pięknym wieku 90 lat zmarł Erich von Däniken, byłem bowiem przekonany, że od dawna nie żyje. Dzielę się tym zdziwieniem, bo wydaje mi się, że mówi coś o losach tego giganta pseudonauki, klasyka humbugu, błyskotliwego i utalentowanego literacko hotelarza ze Szwajcarii, który święcie wierzył, że przybysze z odległych galaktyk mieli decydujący wpływ na losy ludzkości. Pod koniec lat 60. ubiegłego stulecia właśnie z powodu tej wiary porzucił hotelarski fach i oddał się całkowicie swej pasji. W efekcie powstało kilkadziesiąt książek, w których – analizując stare papirusy, teksty biblijne, wykresy i obiekty architektoniczne – usiłował dowieść, że stoją za tym wszystkim kosmici. Niczym Indiana Jones – postać nim niewątpliwie inspirowana, co stało się wprost jasne w filmie „Indiana Jones i Królestwo Kryształowej Czaszki" – podróżował do różnych egzotycznych krain i tropił tam ślady obcych cywilizacji.

Śmiałość jego tez była jednak od początku odwrotnie proporcjonalna do siły przemawiających za nimi dowodów. Naukowcy bez trudu punktowali jego naciągane teorie, selektywne (delikatnie mówiąc) podejście do faktów i fantazmaty podawane w opakowaniu „odważnej" refleksji. Niezależnie od tych krytyk, Däniken błyskawicznie podbił czytelnicze serca: stał się autorem bestsellerowym i wydawanym w kilkudziesięciu językach.

Boom jego popularności u nas to chyba lata 70. i 80., ale mnóstwo wznowień i pierwszych edycji pojawiło się także w ostatniej dekadzie XX w. Niejednokrotnie też Polskę odwiedzał, a na spotkania z nim przychodziły tłumy. W 1977 r. w redakcji tygodnika „Kultura" odbyła się też dyskusja z jego udziałem. Opcję krytyczną reprezentował Bogusław Wolniewicz – zmarły w 2017 r. filozof i logik, w ostatnich latach życia znany głównie ze skandalizujących politycznych wystąpień, jednak dla współczesnej polskiej nauki postać o wielkim znaczeniu i zasługach. Wolniewicz – w swoim niepodrabialnym stylu – skwitował twórczość Dänikena w słowach krótkich i żołnierskich: nazwał ją „prostą bzdurą" i „pomysłem niegodnym uwagi". Ale zaznaczył przy tym, że prawdopodobnym źródłem jej popularności jest zjawisko wkraczania pseudonauki w sferę opustoszałą po religii.

Jest coś niezwykle trafnego w tej obserwacji, dziś skądinąd jeszcze bardziej niż pół wieku temu. W podobnym duchu o fascynacjach UFO i przybyszach z kosmosu wyrażał się Carl Gustav Jung, dla którego był to fenomen o charakterze ściśle religijnym. Współczesny człowiek wyzbyty metafizyki – pisał w książce „Nowoczesny mit" – pokłada nadzieję na zbawienie już tylko w technologii, a przedstawiciel obcej, zaawansowanej cywilizacji jest dlań idealnym substytutem bóstwa.

I chyba tym właśnie należy tłumaczyć wielką popularność Dänikena – wybitną zdolnością do wyrażania tęsknot, fantazji i pragnień swojej epoki. Nieprzypadkowo jego proza stała się obfitym źródłem inspiracji dla kina, literatury czy komiksu: oprócz Indiany Jonesa starczy przywołać serial „Gwiezdne wrota" i niedawnego „Prometeusza" (czyli prequel „Obcego"). No i oczywiście kultowy polski cykl komiksów „Bogowie z kosmosu" ze scenariuszem Alfreda Górnego i Arnolda Mostowicza oraz rysunkami Bogusława Polcha, którego kolejne zeszyty opatrywane były adnotacją „Według Ericha von Dänikena". Nie zapomnę ekscytacji, z jaką zaczytywałem się w tych historiach na początku lat 90.

W okolicach lat 2000. sława Dänikena zaczęła jednak przygasać, a w ostatniej dekadzie, kiedy nastąpiła prawdziwa eksplozja irracjonalizmu, zajął on miejsce w panteonie zasłużonych i zakurzonych klasyków. Popularność zyskało wielu jego naśladowców, a także propagatorów teorii spiskowych i pseudonauki, cechujących się o wiele większą siłą przebicia. Butnych, pewnych siebie, bezczelnych, świetnie zorientowanych w realiach nowych technologii, umiejętnie przykrawających swój przekaz do potrzeb publiczności żyjącej w świecie coraz mniej przewidywalnym i coraz bardziej napawającym lękiem. Owszem, w twórczości takich tuzów gatunku jak Graham Hancock (spec od pseudoarcheologii) czy David Icke (ekspert od reptilian) znać inspiracje Dänikenem, ale – nie da się ukryć – uczniowie przerośli mistrza, zwłaszcza jeśli chodzi o zdolność do przyciągania uwagi i monetyzowania swoich rewelacji.

Może to naturalna kolej rzeczy, a może Däniken nie odnalazł się po prostu w tych nowych, drapieżnych warunkach. Mam wrażenie, że nigdy nie był człowiekiem cynicznym, był po prostu bajkopisarzem, który cokolwiek minął się z powołaniem. Poszukiwaczem niesamowitości, który odrobinę zbyt mocno uwierzył, że trafił na trop wielkiej tajemnicy. Jego przekaz nigdy nie był toksyczny tak, jak toksyczna i agresywna bywa współczesna pseudonauka i spiskowa paranoja. Nie podkopywał społecznego zaufania, nie wciągał w myślowe pułapki bez wyjścia, snuł po prostu swoje fantazje i szukał odpowiedzi na fundamentalne pytania.

Było w nim, krótko mówiąc, coś ujmującego i... poczciwego. W historii nauki z całą pewnością się nie zapisze, w historii popkultury, a nade wszystko w historii nieposkromionej ludzkiej wyobraźni, ma już jednak zapewnione poczesne miejsce. ©

Tomasz Stawiszyński jest filozofem i autorem podkastu „Skądinąd". Autor książek, m.in. „Potyczek z Freudem", „Ucieczki od bezradności", „Reguł na czas chaosu" i „Powrotu fatum".

REKLAMA

Z dbałością o relacje, w trosce o rodzinę...









WYDAWNICTWO MIĘTA

www.wydawnictwomieta.pl



TEZEUSZ.pl

Dajemy książkom **DRUGIE ŻYCIE**

Największy **antykwariat i księgarnia** w Polsce

W swojej ofercie mamy ponad pół miliona tytułów, w tym przeszło 10 tysięcy antyków. Docieramy w każde miejsce w kraju, skupując książki od klientów indywidualnych, bibliotek, seminariów i innych instytucji. Czasem znajdujemy pozycje unikatowe. Dzięki Tezeuszowi wyjątkowe książki mogą trafić do poszukiwaczy konkretnych tytułów, zyskując drugie życie.



Więcej szczegółów

SKUPUJEMY KSIĄŻKI w całym kraju!

Zadzwoń do nas: **883 846 389**

skup**ksiazek**.pl

REKLAMA